



Tytut oryginalu:

© 1992 by Anne Krstine Stuart Ohlogge

SEAWTCH

© 1992 by **Helen R.** Myers

WILDE IMAGININGS

© 1992 by Heather Graham Pozzessere

Anne Stuart

POTWORY
SEBASTIANA BRANDA

Tytuł oryginalu

THE MONSTER IN THE CLOSET

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dom czekał na niego samotny i cichy. Był to ostatni dom w okolicy, w którym widać było jeszcze jakieś oznaki życia. Na tle otaczających go budynków, zrównywanych i nieodwołalnie już skazanych na rozbiórkę, sprawiał wrażenie dumnej, niezdobytej twierdzy.

Mężczyzna stał naprzeciw domu. Ulica była pusta. Padał uporczywy deszcz. Oprócz kilku wybitych szyb, nic się nie zmieniło. W tej odludnej okolicy nikomu nie chciało się rozbierać porzuconego budynku.

Już od lat przedsiębiorcy budowlani chcieli wyburzyć całą dzielnicę. Właściwie nawet nie było wiadomo, po co. Dalsze okolice były niemal równie bezлюдne. Być może zamierzali po prostu wyrównać teren, położyć betonowe płyty i przemienić to miejsce w gigantyczny parking. Zrobiliby tak pewnie już dawno, gdyby przestał się upierać i sprzedawał dom.

Czuł, że powinien to zrobić. Czuł, że powinien zrezygnować i odejść stąd, nie oglądając się za siebie.

Nie mógł się jednak na to zdecydować. Dom należał do niego od dziesięciu lat, ale dopiero teraz był gotów stanąć naprzeciwko niego i spokojnie przypatrywać się zniszczonemu murowi, które widziały tyle radości i bólu. A także lęku, którego wspomnienie do tej pory wywoływało w nim dreszcz.

A jednak nie mógł porzucić tego miejsca. Wrócił tu, aby stawić mu czoło. Wiedział, że czeka go bitwa z tym domem i z własną przeszłością. Był gotów walczyć do

końca. Tylko Bóg mógłby przewidzieć, komu przypadnie zwycięstwo. Tylko Bóg... i może jeszcze szatan.

Powoli wstępował po starych schodach. Drzwi wejściowe były otwarte: dał sobie kiedyś słowo, że nigdy ich nie będzie zamykał. Czasem liczył na to, że doszczętnie go zdemolują grasujące w okolicy gangi młodocianych bandytów. Ale dzieje i reputacja tego miejsca były takie, że nawet młodzi woleli trzymać się od niego z daleka. Dom czekał na jego powrót, taki sam jak przed laty - milczący i mroczny.

Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami, gotów stanąć twarzą w twarz z przeszłością.

Gotów stawić czoło panującym w tym miejscu ciemnościom.

Gotów stawić czoło potworom.

Emma Milsom lubiła myśleć o sobie, że jest osobą zdecydowaną. Tego dnia jednak była w kropce. To, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczęła pracować z Teddym Wintersem, można było jeszcze zrozumieć. Każdy, kto w ogóle zaczął się z nim zadawać, prędzej lub później zaczynał postępować nierozsądnie. Przez pięć lat, od momentu ukończenia studiów na wydziale administracji, Emma pracowała w renomowanej firmie, Shoreham Brothers. Kto by się spodziewał, że kryzys gospodarczy zawita w progi tak szacownej instytucji! Życie Emmy w ciągu tych lat można było określić jako bezpieczne, ustabilizowane, komfortowe i nudne.

Teraz, po upływie zaledwie trzech tygodni spędzonych z tym zwariowanym pisarzem i reżyserem zarazem, czuła się, jakby trafiła na inną planetę. Teddy Winters szykował podwójną premierę: „Burzy” Szekspira oraz własnej, mrocznej tragedii, nawiązującej do słynnego dramatu.

Emma chodziła w dżinsach, trampkach i obszernych bawełnianych swetrach. Pracowała od świtu do nocy za śmieszne pieniądze, i bez widoków na przyszłość. Diabli wzięli eleganckie stroje, przyzwoite dochody z nadzieją na podwyżkę, i włoskie pantofle. Wszystko, co jej pozostało, to ukochany i nieodmiennie niewdzięczny brytyjski sportowy MGB. Nigdy nie zapalał podczas deszczu, przy osiemdziesiątce ryczał jak wariat, a palił tyle, że zastanawiała się czasem, czy przewody benzynowe nie są przypadkiem nieszczelne. A jednak kochała go do szaleństwa i prędzej sprzedałaby duszę diabłu, niż zamieniła swój samochód na inny.

Po przyjeździe do St. Bart odrzuciła ofertę Teddy'ego, który proponował jej wspólne mieszkanie w swoim apartamencie, i wprowadziła się do oddzielnego pokoju w tym samym hotelu. Miała na szczęście dość rozumu, aby, lekceważąc perspektywę kariery finansowej i zawodowej, nie marnować sobie życia osobistego.

Zgubiła ją popularność, jaką zyskała po zwolnieniu z kierowniczego stanowiska w Shoreham Brothers, wywiady w prasie i traf, który sprawił, że gazeta z jej zdjęciem wpadła w ręce Wintersa. Natychmiast przypomniał Ją sobie, odszukał i właściwie nie dał jej szans. Zresztą, prawdę mówiąc, Emma specjalnie nie walczyła z pokusą. Potrzebowała zmiany, potrzebowała czegoś, co wstrząsnęłoby trochę jej zbyt wcześnie ustabilizowanym życiem. Nie spodziewała się jedynie tak wielu czekających ją zmian.

Teddy'ego znała właściwie od dawna, ponieważ kiedyś, jeszcze jako student, umawiał się na randki z jej siostrą. Młodsza o sześć lat Emma była wówczas zupełnie oszołomiona jego błyskotliwą, barwną osobowością. Na jej siostrze Teddy zrobił mniejsze wrażenie. Wkrótce z nim zerwała, aby wyjść za mąż za studenta medycyny.

Nigdy tego nie żałowała, nawet gdy Teddy zaczął się robić sławny. On natomiast pozostał en/ant *terrible*, tyle tylko, że teraz był *enfant terrible* Hollywoodu i porównywano go z Orsonem Wellesem. Dodając zresztą natychmiast, że jest od tego ostatniego znacznie przystojniejszy.

Jednak w ciągu następnych kilku lat filmy Tedd/ego Wintersa okazały się porażkami finansowymi i artystycznymi, a jego sława nieco przygasła. On sam natomiast ani na moment nie stracił ducha. Oznajmił Emmie, że właśnie szykuje coś, co tym razem zapewni mu miejsce na szczytach sławy. Czuł w sobie niespożyte siły twórcze i wierzył, że przedstawienie zrealizowane w St. Bart będzie miało decydujący wpływ na oblicze amerykańskiego teatru lat dziewięćdziesiątych. Emma wierzyła w zapewnienia Teddy'ego. W końcu miał nie tylko scenariusz „Potworów” i finansowe wsparcie ze strony władz St. Bart, wierzących w jego gwiazdę, lecz także, co zresztą zakrawało na prawdziwy cud, zdołał nakłonić do objęcia głównej roli Sebastiana Branda. Słynny aktor miał przyjechać z Anglii, aby objąć podwójną rolę: Kalibana w „Burzy” i zarazem potwora z dramatu Wintersa. Po zdobyciu zgody Branda, Teddy odniósł kolejne sukcesy - do zespołu dołączyła Coral Aubrey wraz z mężem, Geoffreyem Beauchamps. Było to najzdolniejsze młode małżeństwo, jakie pojawiło się w ciągu ostatnich lat na scenie.

Kiedyś Emma była zupełnie zwariowana na punkcie gwiazd i marzyła o pracy w teatrze. Niestety, nie miała za grosz talentu. Nie potrafiła grać ani reżyserować, nie potrafiła szyć kostiumów, ani nawet zrobić scenicznego makijażu. W szkole średniej, choć się bardzo starała, nie zagrzała miejsca w kółku teatralnym. W końcu zrezygnowała i poszła za swoim prawdziwym prze-

znaczeniem, którym było administrowanie i finansowa obsługa przedsiębiorstw. Pracę w księgowości traktowała jednak zawsze jak rzecz wstydlivą i dlatego właśnie z takim entuzjazmem przyjęła propozycję Teddy'ego. Wydało się jej, że pojawia się szansa realizacji dawnych marzeń. Zamiast siedzieć w Pensylwanii i dbać o przebieg kariery zawodowej, wybrała ucieczkę z cyrkowcami.

- Kochaniel - Teddy wpadł z rozpędem do biura.
- Szukam cię wszędzie. Mamy dziennikarzy na głowie!

Emma spojrzała na niego znad podłogi, na której porzkiadała stopy papierów, zalegających dotąd biurko. Blond włosy tworzyły wokół głowy Teddy'ego najprawdziwszą aureolę, z przystojnej twarzy spoglądały na nią błękitne, dziecinne oczy.

- Przecież o to ci właśnie chodziło.

- Za to cię uwielbiam, Emmo! Za ten niezemski spokój. Oczywiście, że chciałem przyciągnąć prasę. Wiadomo, że aby coś osiągnąć w tym interesie, trzeba narobić szumu. Trzeba jeszcze tylko przekonać o tym Branda.

Emma położyła na odpowiedni stosik kolejny nie zapłacony rachunek za gaz.

- To on już tu jest?

- Jest. Sam się temu nie mogę nadziwić, ale przyjechał. Punktualnie, co do minuty. Powiedział, że będzie w piątek, trzynastego, Ł w piątek, trzynastego, stanął w progu. Na nieszczęście już są dziennikarze, a sama wiesz, jaki on jest.

- Wiem. Po prostu nie udziela wywiadów.

Przed przybyciem do St. Bart, Emma dowiedziała się co nieco na temat ludzi, z którymi miała pracować. Bez trudu zdobyła informacje o Teddym, Coral Aubrey i jej mężu. Natomiast o Sebastianie Brandzie, młodej gwiazdce horroru, ani słowa. Nigdy nie udzielał wywia-

dów i nie pozwalał się fotografować, a Jego przeszłość i życie osobiste były otoczone całkowitą tajemnicą.

- No właśnie. Cholemy Anglik - mruknął Teddy.

- Twoim zadaniem jest przekonać go, żeby zmienił zwyczaje.

- Słucham? Wydawało mi się, że moja praca polega na organizacji biura, porządkowaniu dokumentów...

- Z tym się nie pali. - Teddy machnął ręką. - Obiecałem Brandowi, że żadni dziennikarze nie będą go niepokoić. Przekonaj go, że jeśli powie parę słów i pozwoli pstryknąć kilka zdjęć, to potem już będzie miał święty spokój.

- Czemu sam go nie poprosisz?

- Bo nie chcę zaczynać naszej znajomości od takich drażliwych kwestii. Mamy ze sobą pracować przez jakiś czas, nie znamy się i wołałbym, żebyśmy się poznali przy Jakiejś lepszej okazji. - Teddy urwał, schylił się po leżący na wierzchu rachunek i zamarł na moment w bezruchu. - Rozbój w biały dzień - mruknął. Przerwał papier i rzucił na podłogę. - Bier się do roboty, dziewczyno. Czas ucieka.

Nie było co zwlekać. Emma wiedziała, że Teddy tak łatwo nie ustąpi. Protesty nie miały sensu. To, że i ona miała przez jakiś czas pracować z Brandem, i że również nie chciałyby zaczynać znajomości od zadrażeń, nie miało dla Teddy'ego żadnego znaczenia. Nie należał do ludzi, którzy przejmowałyby się cudzymi kłopotami. Nie miała wyjścia. Musiała stawić czoło temu całemu Brandowi, chyba... Chyba żeby udało się wziąć Teddy'ego na ból głowy.

- Mam akurat straszną migrenę... - zaczęła, nie licząc zresztą na sukces.

- W tej branży nie ma miejsca na migreny. - Teddy podał Emmie rękę i pomógł jej wstać. - Chodźmy. Czas ucieka.

Kiedy doszli do drzwi prowadzących na widownię, porzucił ją nagle i ruszył z szerokim uśmiechem w kierunku grupki reporterów.

- Brand Jest za kulisami - rzucił jej przez ramię.
- Idź, zobacz, co się da zrobić.

- Teddy... - jęknęła, ale już go nie było. Z wdziękiem urodzonego aktora, witał czekających na Branda dziennikarzy. Przez moment Emma zastanawiała się, czy nie zabarykadować się w biurze, ale wiedziała, że nic by jej to nie pomogło. Nie miała siły walczyć z Teddym.

Widownia była pusta. Za astronomiczną kwotę usunięto z niej połowę foteli. Arcydzieło Teddy'ego było tak kosztowne, a jego budżet tak skromny, że ilekroć Emma zaczynała myśleć o przyszłości, tylekroć czuła, że dostaje wrzodów żołądka.

Scena też była pusta, na deskach stały tylko podstawowe rekwizyty. Stół, dwa krzesła i staromodne żelazne łóżko.

Emma wspięła się na scenę, wypatrując Sebastiana Branda w półmroku rozjaśnianym smugami światła. Stojący przy stole mężczyzna, pochylony nad błyszczącym, srebrnym termosem z kawą, wyglądał tak zwyczajnie, że w pierwszej chwili wydawało się jej, że musi należeć do ekipy technicznej.

- Przepraszam - powiedziała i poczuła, że w tym pustym i mrocznym wnętrzu zabrzmiało to nienaturalnie głośno. - Szukam pana Branda.

Mężczyzna obrócił się powoli w jej stronę i Emmie przypomniał się natychmiast Lon Chaney jako „Upiór w operze”. Nie miała już żadnych wątpliwości, że stoi przed nią Sebastian Brand i poczuła, że nie wie, co ma mu właściwie powiedzieć. Nigdy nie oglądała jego filmów, a żadne ze zdjęć, jakie widziała, nie dawało właściwego wyobrażenia o typie jego urody.

Daleko mu było do Teddy'ego. Nie miał w sobie nawet cienia tego uroku, który natychmiast zjednywał Teddy'emu ludzi. Sebastian Brand był wysoki i szczupły. Ubrany był na czarno: w czarne dżinsy, czarną koszulę, rozpiętą pod szyją, czarne skórzane buty. Nawet otaczające wąską twarz włosy byty kruczoczarne.

Twarcz miał zwyczajną, a jednak przykuwającą uwagę. Wysokie czoło, ostry wydatny nos i długie, wąskie usta. Zaskakująco jasne oczy o dziwnym, srebrzystym odcieniu spoglądały na Emmę z nieukrywaną niechęcią.

- Kto mnie szuka? - W tonie jego głosu, bardziej nawet niż w samych słowach, zawierała się ta szczególna, nieprzyjemna pogarda cechująca wyspiarzy.

Emma poczuła ciarki na grzbiecie. Nie miała pojęcia, jak zacząć.

- Panie Brand - powiedziała wyciągając dłoń. - Jestem Emma Milsom, dyrektor administracyjny. Teddy prosił mnie, żeby porozmawiała z panem o dziennikarzach.

Nie podał ręki i Emma opuściła dłoń, czując się wystrychnięta na dudka.

- Nie mamy o czym rozmawiać - powiedział. Odwrócił się do niej plecami i nalał do kubka kawy.

- Teddy rozmawia właśnie z dziennikarzami i próbuje wyjaśnić im pańskie stanowisko - rzekła, przeklinając w duchu Teddy'ego. - Pomyśleliśmy, że mógłby pan powiedzieć im choć kilka słów.

- Żadnych kilku słów - odparł odwrócony tyłem.

Gdyby nie widoczna w tym zachowaniu pogarda, Emma byłaby mu naprawdę wdzięczna za to, że nie musi znosić jego spojrzenia. Odetchnęła głęboko.

- No dobrze - rzekła pojednawczo. - Może w takim razie zgodzi się pan choć na kilka zdjęć, cokolwiek, żeby nie urazić dziennikarzy.

- Żadnych zdjęć. - Odwrócił się do niej i Emma nie miała już wątpliwości, że woli widok jego pleców od tego nieprzyjemnie świdrującego wzroku. - Żadnych oświadczeń dla prasy, żadnych fotografów snujących się tutaj podczas prób. Wydawało mi się, że dostatecznie jasno określiłem swoje wymagania podczas rozmowy z panem Wintersem, Albo będziemy pracować na moich warunkach, albo nie będziemy pracować w ogóle.

- Będziemy pracować na pańskich warunkach.

- Emmo, kochanie. - Teddy wyrósł jak spod ziemi i objął ją ramieniem. - Widzę, że znalazłaś Sebastiana. Czy to nie cudowne, że go tutaj mamy?

- Cudowne - potwierdziła chłodnym tonem.

- Ta dziewczyna mówi mi, że mam wygłosić jakieś oświadczenie dla prasy. - Sebastian mówił na swój łodowaty, brytyjski sposób. - I żebym robił miny do aparatu. Nie rozumiem tego. Sądziłem, że jasno określiłem swoje warunki.

- Emmo! - Teddy był najwyraźniej zaszokowany. - Jak mogłaś wymyślić coś takiego? Przecież mówiłem ci, że nikomu, w żadnym wypadku, nie wolno męczyć Sebastiana. Nie mam pojęcia, jak mogłaś wyskoczyć z takim pomysłem. - Mocno obejmując dziewczynę ramieniem, Teddy przesłał Brandowi najcieplejszy ze swoich uśmiechów. - Ona jest młoda i okropnie się tym wszystkim przejmuje, Sebastianie. Po prostu ją poniosło. Daję słowo, że więcej do tego nie dopuszczę.

Emma ze zdumienia zaniemówiła, ale w wyobraźni stanęła jej wizja mordy godna zapewne nawet któregoś z głośnych filmów Branda. Kiedy ochłonęła i chciała powiedzieć swojemu szefowi, co o nim myśli, Teddy obdarzył ją uśmiechem równie słodkim jak ten, który przed chwilą dostał się nieznośnemu gwiazdorowi.

- Wracaj na swoje miejsce, kochanie. Do biura. Ona

nie rozumie teatru, Sebastianie. Biedactwo, jest księgową, nie miała pracy, więc ją tu przyjąłem. - W ustach Teddy'ego słowo „księgowia” zabrzmiało jak nazwa najstarszej profesji świata.

Niezdolna do wykrztuszenia słowa, Emma obróciła się gwałtownie i ruszyła ku krawędzi sceny, kiedy nagle dobiegł ją głos Wintersa.

- Zaczekaj sekundkę, Emmo.

Miała zamiar zignorować Jego prośbę, miała ochotę wyjść i nigdy więcej się tu nie pokazać, kiedy usłyszała głos Sebastiana.

- Wróć tu.

Ten mężczyzna naprawdę był wielkim aktorem. Fantastycznym aktorem. Czytała recenzje z filmów Branda i wiedziała, że przyczyną ich sukcesu było nie tylko przerażające okrucieństwo, ale i ogromny talent tego człowieka. Nic dziwnego, że jego głos zatrzymał ją w miejscu.

A poza tym, była to jej praca. Źle płatna i poniżej kwalifikacji, ale zawsze praca. Nie miała wątpliwości, że ma do czynienia z naprawdę wyjątkowymi ludźmi. Nieuprzejmymi, nie zrównoważonymi, skłonny do wykorzystywania innych, ale jednak wyjątkowymi.

Odwróciła się z fałszywie uprzejmym uśmiechem i postąpiła kilka kroków w Ich kierunku.

- Słucham?

- Sebastian okazał się wyjątkowo wyrozumiały dla ciebie, Emmo - powiedział Teddy.

- Wyjątkowo wyrozumiały - powtórzył Brand obrzydliwym, oschłym tonem. - Pani zadanie, panno Milsom, polega na pilnowaniu, żeby nikt nie zawracał ml głowy. Żadni dziennikarze, żadni wielbiciel, żadni początkujący aktorzy, pisarze i krytycy. Pani zadanie polega na tym, żeby zapewnić mi święty spokój.

- To nic trudnego - odparta jadowitym tonem.

Ku jej zaskoczeniu, Sebastian się roześmiał.

- Zgadzasz się z panią. Nie ma żadnego powodu, żeby ludzie pchali się do takiego wariata jak ja, a jednak coś ich do mnie ciągnie. Pani zadanie polega na tym, aby uświadamiać im ich błąd. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odpowiedziała. Pomyślała, że kłopot z tym facetem bierze się stąd, że nie brak mu pewnego szczególnego uroku. Może zresztą urok nie jest najważniejszym słowem. Można by to nazwać raczej charyzmą. Było to coś zupełnie innego, niż łatwość kontaktu, która tak pociągała ludzi u Teddy'ego. Jakaś szczególna przyciągająca siła, najwyraźniej odczuwalna w hipnotycznym spojrzeniu srebrzystoszarych oczu, siła, która sprawiała, że miała ochotę podejść do niego bliżej.

Zwłaszcza, gdy tak zdecydowanie odmawiał jej do tego prawa.

- Świetnie - powiedział Brand i w tym samym momencie Emma przestała dla niego istnieć. Odwrócił się do Teddy'ego. - Wróćmy do „Potworów” - powiedział.

Schodząc ze sceny Emma nie miała już wątpliwości, że Sebastian idealnie nadaje się do swojego zajęcia. Dla takiego monstrum jak on, wcielanie się w potwory to fraszka. Ona sama natomiast najlepiej zrobi skupiając się na swoim przeznaczeniu: finansach i administracji.

- Sebastian, kochanie, czy ty zawsze musisz być taki cholernie dokładny? - rzuciła Coral Aubrey, siadając Brandowi na kolana. - To przecież nie Pismo Świète. Połowa zabawy z Szekspirem polega na reinterpretacji tekstu.

- Na reinterpretacji tak - odparł chłodnym tonem - ale nie na układaniu nowego tekstu. Wytłumacz to jej

idiotce, Geoff - zwrócił się przez scenę do niezwykle przystojnego mężczyzny o atletycznej sylwetce.

- Sam to musisz zrobić, Sebastianie - odpowiedział Beauchamps pogodnie. - Ona nigdy nie słucha tego, co do niej mówię,

Sebastian rzucił okiem na widownię. Znowu tam była, tak samo, jak przez ostatnie trzy dni. Wiedział, kiedy wchodziła do starego, mrocznego budynku, i kiedy go opuszczała. Tylko niezwykła umiejętność koncentracji sprawiała, że nawet najmniejszym gestem, najdrobniejszym potknięciem nie zdradził na scenie emocji, jakie budziło w nim każde Jej pojawienie się w zasięgu jego wzroku.

Każdym mięśniem, każdą komórką ciała wyczuwał jej obecność. Zdumiewały go własne reakcje. Nie był w stanie ich pojąć.

Nie chodziło o to, że Emma Milsom była specjalną pięknoscią. Wręcz przeciwnie. Jak na jego gust, była zbyt wysoka, za chuda i, choć dobiegała trzydziestki, niezgrabna jak podłotek. Twarz okolona ciemnoblond włosami, z niebieskimi oczami i regularnymi rysami także nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Może to sprawa rąk, pomyślał, wygłaszając kwestię skierowaną do siedzącej mu na kolanach Goral Aubrey. Miała najpiękniejsze ręce, jakie w życiu widział. Szczupłe dłonie, długie palce z krótko obciętymi, nie lakierowanymi paznokciami. A może to sprawa bioder albo piersi? Albo tego ziego, poirytowanego wzroku, jakim na niego spoglądała w chwilach, kiedy wydawało jej się, że na nią nie patrzy.

Podczas pierwszego spotkania z Emmą, Sebastian z łatwością przejrzał grę Tedd/ego Wintersa. Winters należał do świętoszków, którzy spychają brudną robotę na innych, a w razie wpadki pierwsi podnoszą krzyk.

Sebastian nie miał złudzeń co do tego, z kim pracuje, W ogóle niewiele miał złudzeń co do ludzi. Do tych paru osób, którym ufał, należała kobieta siedząca mu w tej chwili na kolanach i Jej mąż. Choć mieli opinię nieodpowiedzialnych i zwariowanych, byli w rzeczywistości najbardziej oddanymi i lojalnymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miał. Wiedział, że zawsze może na nich liczyć.

Nie rozumiał tylko jednego. Dlaczego Emma tak spokojnie zniosła wtedy polajankę, która należała się Wintersowi.

Początkowo sądził, że spiąją ze sobą. Tak się to zwykle działo: dziewczyna zakochana w znanym reżyserze gotowa Jest znieść wszystko. A Winters wyglądał na faceta, który znakomicie potrafi rozkochiwać w sobie ludzi, a potem z całą bezwzględnością ich wykorzystywać. Emma całkiem nieźle nadawała się na jego ofiarę.

Po trzech dniach nie miał już jednak wątpliwości. Nie byli kochankami. Czuł, że nie łączy ich żadne zmysłowe porozumienie, cień emocji, zawsze towarzyszący takim związkom.

Wynikało z tego coś Jeszcze. To mianowicie, że Emma Milsom jest jego potencjalną zdobyczą.

Wolał o rym nie myśleć. Coś go drażniło w myśli, że krótki romans mógłby rozładować bez śladu te niezwykle napięcia, które dziś budziła w nim sama jej obecność.

Przez ostatnie miesiące, odkąd opuściła go Marcy, żył w celibacie. Nie tęsknił za Marcy, choć brakowało mu jej cudownego, pełnego, wspaniale zmysłowego ciała.

Emma Milsom była zbyt szczupła, zbyt delikatna, zbyt emocjonalna. Poruszała w nim strunę, której wolał nie słyszeć. Chciał ją jakoś odstraszyć. Zbyt łatwo byłoby ją zdobyć. Zwłaszcza, że czuł wyraźnie, że za złym wzrokiem, jakim na niego patrzy, kryje się fascynacja.

Odsunął Coral i wstał z niewygodnej kanapy, na której toczyli dialog.

- Musisz to wyciszyć - powiedział do aktorki. - Ale postaraj się z łaski swojej nie zmieniać tekstu, bo i tak nie dorównujesz staremu Willowi.

Potem, umyślnie powoli, aby dać Emmie czas na ucieczkę, ruszył ku krawędzi sceny.

Emma natychmiast odgadła jego zamiary. Przez jej twarz przemknął wyraz przerażenia. Uciekła do swojego biura.

Patrzył za nią z namysłem. Lepiej będzie odbyć tę rozmowę w cztery oczy, w biurze. Coral jest zbyt ciekawska. Pomyślał o lęku na twarzy Emmy i Jej spłoszonym spojrzeniu. Nietrudno będzie ją odstraszyć od siebie, i im prędzej to zrobi, tym lepiej. Zanim go kusila, a on w końcu nie mógł jej wiele dać.

Marcy zapewne powiedziałyby, że nigdy nie miał nic do dania. Wszystko wkładał w swoją sztukę. W potwory, w które się wcielał. I w potwory, które wcielały się w niego.

Więc dla swojego, i dla jej dobra lepiej będzie, jeśli ją odstraszy. Dopóki jeszcze jest do tego zdolny.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Boisz się mnie?

No tak, jasne było, że za nią pójdzie. Mogła się była domyślić, że nie będzie tracił czasu na uprzejme pogaduszki. W ostatniej chwili zdążyła się ukryć za swoim wielkim, zawalonym papierami biurkiem, gdzie czuła się trochę bezpieczniej. Przez kilka chwil, dopóki nie stanął w drzwiach i nie zmierzył jej tym dziwnym, niesamowitym spojrzeniem srebrzystych oczu, zaciskała kurczowo kciuki i modliła się, żeby nie przyszedł.

Chciała go zmylić, wybuchając w odpowiedzi śmiechem, ale w głębi serca czuła, że potrafi bez trudu przejrzeć ją na wylot.

- Nie wygłupiaj się - spróbowała jednak. - Czego miałabym się bać?

Stał w drzwiach, za którymi widać było pracujących w głębi foyer robotników. Właściwie nie miała żadnego powodu, żeby się go bać, przynajmniej do chwili, kiedy z gracją drapieżnika wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Może po prostu widziałas za dużo moich filmów - zaczął. - Może ci się wydaje, że ja i Charlie Rzeźnik to naprawdę jedna i ta sama osoba.

- W ogóle nie widziałam twoich filmów - odpowiedziała i poczuła, że chyba nie była to najstosowniejsza odpowiedź.

- Żadnego? - spytał Sebastian, szczerze zaskoczony.

- Żadnego.

Ku jej zdziwieniu, nie sprawiał wrażenia specjalnie urażonego.

- Dlaczego? - dopytywał się.

- Zbyt łatwo mnie nabrać.

- Słucham?

Emma znowu pożałowała swoich słów. Ale było za późno, żeby się wykręcać.

- Kłopot polega na tym, że ja wierzę w to, co widzę. Nie nadaję się do oglądania horrorów. Kiedy patrzę na te wszystkie potworności na ekranie, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to prawda. Oczywiście wiem, że tak nie Jest, ale to nic nie pomaga. W głębi ducha wierzę w potwory.

Stał bez ruchu. Nieruchomy jak kamień, w tym swoim czarnym stroju: czarnych dżinsach, tenisówkach i podkoszulku, ze złowrogą bladą twarzą ujętą w ramę ciemnych włosów. W jego wzroku czuła trudną do nazwania emocję.

- To tak jak ja - powiedział miękko. A potem odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Emma siedziała bez ruchu. Serce biło jej mocno, drżały ręce. Zaciśnęła pięści. Za dużo kawy, mruknęła pod nosem, chociaż wiedziała, że wcale nie chodzi o kawę. Naprawdę chodzi o to, że Brand robił na niej piorunujące wrażenie, choć nie umiała nawet powiedzieć, dlaczego.

Nie wystarczy powiedzieć, że ją pociągał. Owszem, ze swoją zgrabną i zarazem silną sylwetką oraz szczupłą, intrygującą twarzą, okoloną grzywą kruczoczarnych włosów, był szalenie pociągający.

Ale sam pociąg fizyczny nic jeszcze nie znaczył. Nawet gdy próbowała sobie wyobrazić smak jego ust, nie czuła prawdziwej ochoty, by ich skosztować. Zbyt

wiele padło z nich zjadliwych i nieprzyjemnych słów. Emma miała już za sobą kilka związków i czuła się dojrzłą, rozsądną kobietą, która w zasadzie wie, czego chce.

Ale z Brandem było inaczej. Gdy tylko zbliżał się do niej, czuła, że nie wie, jak się ma zachować.

Po tej krótkiej, dziwacznej rozmowie w biurze Emma nie umiałaby powiedzieć, czego właściwie od niej chciał. Przemknęło jej przez myśl, że może mu się podoba. Oczywiście, natychmiast uznała ten pomysł za idiotyczny.

- Co tu się dzieje? - Teddy miał narzucony na ramiona sweter i malowniczo zwichrzone włosy.

- Wyglądasz, jakbyś wybierał się na korty - odezwała się Emma niechętnym tonem. - Czekają na ciebie na scenie.

Teddy z niezmaconym spokojem oparł się rękami o biurko, rozsypując starannie poukładane papiery. - Domyślam się, że masz mi za złe spóźnienie. Ale powinnaś wiedzieć, kochanie, że moja praca nie polega na tym, żeby pilnować rozgrzewki starych wyjadaczy. Poza tym - dodał znacząco - źle spałem.

- Naprawdę?

- Dobrze wiesz, że naprawdę. Dlaczego wieczorem mnie nie wpuściłaś?

- To nie był żaden wieczór, tylko wpół do czwartej nad ranem. Obudziłeś mnie. Pomyślałam, że o cokolwiek ci chodzi, można o tym pogadać rano. - Zauważyła, że ręce już jej nie drżą. W przeciwieństwie do Branda, Teddy Wintera nie napawał jej niepokojem, nawet podczas tej nieco krepującej rozmowy.

- W ogóle mi nie chodziło o to, żeby gadać. - Teddy oparł ręce na biurku i pochylił się nad nią.

Spojrzała na jego dłonie. Jak na wysokiego, silnego mężczyznę, byty zaskakująco drobne.

- Nie ma mowy, Teddy - odparła spokojnie.
- Nie wygłupiaj się, Emmo. Wiesz, że zawsze robiłaś na mnie wrażenie.
- Nie ma mowy, Teddy. Pracujemy razem i to wszystko.

Uśmiechnął się, nie zbity z tropu.

- Nie przyjmuję tej odpowiedzi do wiadomości. Będę szturmował twoje drzwi noc w noc, aż do skutku.
- Nie sądzę, żeby spodobało się to dyrekcji hotelu.
- Nic mnie nie obchodzi dyrekcja hotelu. - Odsunął się od biurka i spojrzał z wyżyn swej sławy na zaległe rachunki. - Czego chciał od ciebie Sebastian?

Zastanowiła się przez moment, czy wziąć za dobrą monetę niedbały ton, jakim zadał to pytanie.

- Właściwie, to sama nie wiem. Chyba po prostu szukał ciebie.
- Ale co mówił?
- Teddy...
- Nie jestem zazdrosny, Emmo. - Teddy spojrzał na nią wzrokiem niewiniątka. - Nie mam skłonności do za-właszczania kobiet, jeśli same się nie oddadzą w moje ręce. Ale mam powody, żeby pytać. Czy Sebastian robi jakieś ruchy w twoją stronę? Flirtuje z tobą? Podrywa cię?

- Nie! - wykrzyknęła zaskoczona. ~ W życiu by mi nie przyszło do głowy, że ten człowiek może być zdolny do flirtu. Poza tym on nie ma żadnych powodów, żeby się mną interesować.

- No cóż, może faktycznie go przeceniam. Może nie zna się na kobietach tak dobrze Jak ja.

- Znasz się na kobietach, rzekłabym, raczej przeciętnie - zauważyła cierpkim tonem. - Ale ciągle mi Jeszcze nie powiedziałaś, czemu mnie o to wszystko pytasz.

Teddy spojrzał z zakłopotaniem na swoje drobne ręce.

- Krązą hmm... pogłoski, że hmm... zbliżanie się do Branda nie należy do najlepszych pomysłów na świecie.

- O czym ty mówisz?

- Pamiętasz historię Sally Ryan?

Pokręciła przecząco głową.

- Nic o tym nie wiesz? Zabito ją w zeszłym roku na planie, podczas zdjęć.

- Coś chyba o tym słyszałam - powiedziała niepewnym tonem.

- To było podczas kręcenia „Snów Charliego Rzeźnika”. Sally była kochanką Branda.

Emma poczuła kamień w żołądku.

- To straszne! - krzyknęła. - Biedny człowiek.

- Niewątpliwie. Zwłaszcza że to nie pierwszy raz w jego życiu.

- Co masz na myśli? - spytała czując, że wolałaby nie słyszeć odpowiedzi.

- Było więcej podobnych zdarzeń. Oczywiście, to wszystko były przypadkowe historie i nie ma w tym nic podejrzanego. - Teddy pogłaskał ją delikatnie po policzku. - Emmo, kochanie, mówię ci to wszystko tylko po to, żebyś była ostrożniejsza. Boję się, że mogłoby ci się coś przytrafić. Sebastian to bardzo niepokojący facet. Gdybym wiedział, że zechce cię w coś wplątać, to nigdy bym cię tu nie ściągnął.

Choć Emma zawsze uważała się za osobę trzeźwą i rzeczową, to jednak nie było jej łatwo otrząsnąć się z wrażenia. Jakie zrobiły na niej słowa Teddy'ego.

- Miło mi, że tak się o mnie troszczysz, Teddy, ale to zupełnie niepotrzebne. Po pierwsze, Brand w najmniejszym stopniu się mną nie interesuje. Kropka. Po drugie, nie mogę uwierzyć, żebyś traktował na serio plotki wyczytane w jakimś brukowcu. Takie pisma rozdmuchują zupełnie przypadkowe historie. Sebastian Jest aktorem

i gra potwory, ale to nie *znaczy*, na miłość boską, że sam jest potworem.

- Oczywiście, że nie, kochanie. - Teddy patrzył na nią z lekkim współczuciem. - Po prostu myślałem, że powinienem ci o tym wszystkim powiedzieć. Jestem pewien, że były to tylko nieszczęśliwe wypadki, które ktoś pozbierał i rozdmuchał dla sensacji. Ale mimo to proszę, żebyś mi obiecała jedno: jeżeli coś się będzie działo, a zwłaszcza coś niepokojącego, daj mi znać. Nie mógłbym żyć ze świadomością, że Jestem odpowiedzialny za jakieś nieszczęście. Obiecuj mi, Emmo. I bądź ostrożna.

Miała wielką ochotę uwierzyć, że Teddy usiłuje ją tylko nastraszyć, ale czuła w jego głosie prawdziwy niepokój. Trudno byłoby przypuścić, że to wszystko jest tylko grą.

- Będę ostrożna, Teddy. Ale myślę, że na razie będzie lepiej, Jeśli pójdziesz na scenę. Twój zespół jest na krawędzi buntu.

Nastój Teddy*ego natychmiast się zmienił.

- Artyści! - krzyknął. - Oni są jak dzieci. Zamów kolację, Emmo. Będziemy dziś pracować do późna.

Kiedy zamknął drzwi, odetchnęła z ulgą. Nareszcie ma przed sobą jasne i proste obowiązki. Trzeba podsumować rachunki, przeliczyć pieniądze i zdecydować, czy stać ich na zamówienie kolacji w restauracji, czy też trzeba będzie przynieść hot dogi z najbliższego baru. Odsunęła fotel i spojrzała na leżące pod biurkiem torby. Pomyślała, że nie najlepiej wybrała moment na wyprawadzenie się z Clarion Hotel. Co prawda nie wierzyła w ani jedno słowo Teddy'ego, ale z drugiej strony... Jeśli w tym, co mówił, jest choćby cień prawdy, to lepiej byłoby pozostać na razie między ludźmi.

Nie oznaczało to jednak wcale, że miała ochotę na towarzystwo Teddy'ego, który w nocy, niezbyt trzeźwy,

dobijał się do jej drzwi i darł się przy tym tak, że cały hotel musiał go słyszeć. Oczywiście, nie otworzyła mu, i nie miała najmniejszego zamiaru tego robić w przyszłości. Obawiała się natomiast, że Teddy może wymyślić jakiś inny sposób, aby się do niej dostać.

W końcu postanowiła pozostać przy swojej decyzji i wyprowadzić się na jakiś czas z hotelu. Za tydzień Wintersowi przejdzie i znowu będzie mogła spokojnie wrócić do swojego pokoju. Uczucia Teddy'ego były zmienne jak pogoda. Wczoraj gotów był umrzeć z miłości do niej, a dzisiaj, być może, w ogóle nie będzie pamiętał o jej istnieniu. Na tym zresztą polegał zarówno urok, jak i cała udręka życia z Teddym WIntersem.

Emma postanowiła poczekać, aż praca na dobre wciągnie zespół, i wtedy zanieść swoje rzeczy do jednego z pustych pokoi na poddaszu teatru. Nie miała tego wiele, wystarczą dwa kursy i będzie po wszystkim. Teddy nie będzie miał pojęcia, gdzie się przeniosła, a ona wreszcie prześpi spokojnie noc.

Słowa Emmy do głębi poruszyły Sebastiana. Wierzyła w potwory. Czy to możliwe? Wyciągnął się na starej kanapie, stojącej za kulisami i zastanawiał się nad bym, co powiedziała Emma Milsom. Przecież ona nawet nie ma pojęcia, czym są prawdziwe potwory!

On, niestety, wie sporo na ten temat. Na swoje nieszczęście zapoznał się z nimi już dawno, i od tej pory towarzyszyły mu wiernie. Czuł, że usiłują nim kierować. W pewnym momencie sądził, że zawarł z nimi rozejm, ale niedawne okoliczności pokazały mu, jak bardzo się mylił.

Tam, w ciemnościach, czekał na niego dom. Już dawno mógł wyjść. Właściwie nic nie zatrzymywało go w teatrze. Winters był zajęty pracą z Coral i Geoffem.

Nic, oprócz ukradkowych posunięć Emmy.

W przeciwieństwie do większości aktorów, Sebastian w najmniejszym nawet stopniu nie był pochłonięty własną osobą. Cała jego uwaga skupiała się na otoczeniu. Potrafił odczytać najdrobniejsze ludzkie gesty, miny i poruszenia.

Przez ostatnią godzinę ze skrywanym zainteresowaniem obserwował poczynania Emmy. Kiedy sądziła, że nikt nie zwraca na nią uwagi, drapała się po stromych metalowych schodach na strych, dźwigając wypchane torby. Rozglądała się przy tym dokoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt jej nie śledzi.

Starym gmachem wstrząsnął łoskot grzmotu, żarówki zamigotały i na moment przygasły, Sebastian z zaskoczeniem obserwował kaprysy pogody w St. Bart. Kiedyś, gdy mieszkał w tym mieście, w ogóle ich nie zauważał. Co prawda, rzadko wtedy wychodził na dwór.

Zastanawiał się, co teraz robić. Właściwie mógł wyjść z teatru i w strugach deszczu, wśród przecinających niebo błyskawic, ruszyć do domu. Lubił te nocne spacerki, lubił własną samotność pośród gwałtownych porywów wichury, która wydawała się zmierzać do ostatecznej zagłady podupadającego miasta. Czuł, że lepiej zrobi idąc do siebie, niż czekając na pojawienie się Emmy, która zresztą najwyraźniej nie życzyła sobie towarzysztwa.

Usłyszał cichy stuk, dobiegający z metalowych schodów, ale udał obojętność i wrócił na scenę.

- Idę do domu - oświadczył.

- Która godzina? - Teddy spojrzał na niego niespokojnie.

- Na pewno późna - odezwała się Coral, ziewając szeroko. - My z Geoffem też się już zbieramy. W końcu nikt ci nie zabrania przyjść rano trochę wcześniej.

- Staram się was zawsze czymś zaskoczyć. - Teddy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Gdybyśmy nie liczyli na jakieś zaskoczenie z twojej strony, nie pchalibyśmy się w to wszystko - powiedział z lekkim sarkazmem w głosie Geoff.

- To tak jak ja, Geoff - odparł Teddy.

Emma zeszła ze schodów i stanęła obok sceny. Sebastian był tego pewny, choć nawet nie rzucił w jej stronę okiem. Żadnym gestem nie zdradził, że wie o jej obecności. Podczas ciągnących się godzinami prób miał dość czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Doszedł do wniosku, że Emma Milsom należy do tego rodzaju kobiet, których zawsze unikał. I że ma powód, żeby robić Jakies odstępstwa.

- Emmo, strasznie leje. Odwieszysz pana Branda do domu?

- Lubię chodzić po deszczu - powiedział Sebastian, zastanawiając się zarazem, o co może chodzić Teddy'emu. Po co popycha ich ku sobie, zwłaszcza że sam wyraźnie ma ochotę na dziewczynę.

- Nie mogę ryzykować, że mój as dostanie zapalenia płuc - odparł Teddy. - Wchodzimy w końcową część prób i nie stać nas na to, żeby tracić czas na chorowanie.

- Co masz na myśli mówiąc o asie? - W żartobliwym tonie Coral przebijiała wyraźna uraza. - A Geoff i ja, to co? Siekana wątróbka?

- Świetnie to ujęłaś. Coral - wtrącił się Sebastian.

- Pyszna, świeża, siekana wątróbka drobiowa. Palce lizać. Podrzucić mnie do domu, dobrze. Cory?

- Spacer ci na pewno nie zaszkodzi - odpowiedziała pokazując mu język. - Poza rym, zabieramy Teddy'ego. Nie bój się, Emma to miła dziewczyna i na pewno nie zrobi ci nic złego.

Sebastian odwrócił się i spojrzał na Emmę. Pod jego

spojrzeniem wyraz buntu natychmiast zniknął z twarzy dziewczyny.

- Chętnie cię podrzucę do hotelu - powiedziała uprzejmym tonem.

Nagle poczuł, że bardzo jej pragnie. Zaskoczyła go zarówno siła tego pragnienia, jak i stanowczość wewnętrznego głosu, który mówił: Nie tkniesz tej dziewczyny.

- Nie mieszkam w hotelu - powiedział. - Mam tu dom.

- To bardzo wygodne.

- Akurat nie w jego wypadku - prychnęła Coral.

- Do jutra, Sebastianie. Rano przerobimy jeszcze raz tę scenę, w której mnie mordujesz.

- Z prawdziwą przyjemnością, kochanie - odparł.

- Mordowanie kobiet zawsze wprawia mnie w dobry nastrój.

Natychmiast wyczuł, że Emma nerwowo zareagowała na jego żart. Zaskoczyło go to. Zdumiewała go ta dziewczyna, która nigdy nie oglądała jego filmów, ani horrorów, które przyniosły mu majątek, ani bardziej ambitnych, choć nie mniej przerażających dramatów psychologicznych.

Czuł, że Emma się go boi. I czuł wyraźnie, że boi się go od czasu ich krótkiej rozmowy w biurze. Trzeba będzie coś z tym zrobić, pomyślał. Napięcie, jakie w nim budziła, zagrażało już nawet jego słynnym, fenomenalnym zdolnościom koncentracji. Miał tego dosyć.

- Będę ci szczerze zobowiązany, jeżeli mnie podrzucisz - powiedział nagle.

- Jasne - odpowiedziała bez specjalnej życzliwości.

- Chodźmy.

W drzwiach, wychodzących na niewielką uliczkę za teatrem, powitały Ich fale deszczu.

- Nie wzięłam parasola! - zawołała Emma. - Trzeba będzie wrócić na górę.

- Odrobina wody nam nie zaszkodzi - odparł. - Gdzie stoi twój samochód?

I w tym samym momencie go zobaczył. Mimo ulewy natychmiast rozpoznał MGB, rocznik 1967. Samochód, o którym zawsze marzył i którego z powodu niejasnych obaw zawsze sobie odmawiał.

Emma pobiegła pierwsza, zgrabnie przeskakując kałuże. Sebastian nie miał innego wyjścia, jak puścić się jej śladem. Gdyby wiedział, jaka czeka go podróż w rozjaśnianych błyskawicami ciemnościach, wolałby zapewne wrócić do domu piechotą.

W samochodzie było sucho i przytulnie. Przez zalane wodą szyby nie było niemal nic widać. Sebastian przyglądał się, jak Emma usiłuje zapalić.

- Wiesz, kiedy Jest dużo wilgoci w powietrzu, to mamy kłopoty z zapalaniem - odezwała się niezbyt pewnym tonem.

- MG są z tego znane - odpowiedział beztrosko, rozpijając się wygodnie na siedzeniu.

Uchwycił jej ukradkowe spojrzenie i wydało mu się, że poprzez lęk i niechęć wyczuwa niejasno ten rodzaj zrozumienia, jakiego mu zawsze brakowało. Poczł, że gdyby wyciągnął rękę, to mimo całego lęku, Emma nie próbowałaby mu się wymknąć. Nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd wie, że tak właśnie jest. Był natomiast pewien, że dziewczynie potrzeba miłości. Nie miał wątpliwości, że niezależnie od tego, ile razy była już z kimś związana, to nie były to ani związki, w których otrzymałaby wszystko, na co zasługiwała, ani takie, w których sama dałaby wszystko, na co Ją było stać. Jego rozważania przerwał warkot silnika.

- Skręć w pierwszą w prawo - powiedział. - Będę ci mówił, Jak Jechać.

Podczas drogi obserwował ją. Nie uszła jego uwagi jej

niewyraźna mina, coraz mniej pewna w miarę, jak zbliżali się do najgorszej części miasta. Emma natomiast czuła się przerażona, jadąc przez nie znane sobie, słabo oświetlone i zawalone śmieciami uliczki. Na jej szczęście deszcz pozapędzał do domów ludzi, którzy zwykle godzinami wystawali na rogach, czekając na okazję do zrobienia jakiegoś, z reguły podejrzanego, interesu. Mrok, burza i deszcz nadawały okolicy dostatecznie pośpny wygląd. Kiedy się w końcu zatrzymali, była pewna, że Sebastian robi jakiś ponury żart. Zaparkowała wóz naprzeciw domu, który jej wskazał.

- To tutaj mieszkasz?

- Tak - powiedział, sięgnął do stacyjki i wyłączył silnik. - Musimy porozmawiać.

Spojrzała na niego wystraszona. We wnętrzu samochodu panował półmrok, rzęsy deszcz sprawił, że światło ulicznych latarni ledwo do nich docierało.

- Oczywiście - powiedziała tak uprzejmym tonem, że przez moment spodziewał się, iż dorzuci do tego jeszcze uniżone „panie Brand”.

- Chciałbym, żebyś wreszcie przestała mnie śledzić.

Mimo półmroku dostrzegł, że policzki dziewczyny pokryły się rumieńcem.

- Nie rozumiem?

- Śledzisz mnie, świetnie to widzę. Posłuchaj, nie nadaję się na przedmiot infantylnych marzeń. Jeżeli masz zwyczaj przesyipiać się z gwiazdami przewijającymi się wokół twojego szefa, to w tym wypadku nie masz o czym marzyć. Geoff jest żonaty, a ja nie wchodzę w grę.

- Dalej cię nie rozumiem.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Nie rozumiesz? Może i nie. Ustalmy w takim razie jedno - trzymajmy się z dala od siebie, dobrze? Nie

przesiaduj na widowni w czasie prób, chyba że Teddy cię poprosi o coś konkretnego. Staraj się nie wpuszczać dziennikarzy, a ja ze swej strony będę się stara! nie wchodzić ci w drogę. Nie wydaje ci się, że to będzie najlepsze rozwiązanie?

- W dalszym ciągu nie mam pojęcia, o co ci chodzi - odpowiedziała. - Jakie rozwiązanie? Zapewniam cię, że kiedy siedzę na próbach, to nie po to, żeby snuć erotyczne marzenia, w których grałbyś główną rolę. Prawdę mówiąc, specjalnie mnie nie pociągasz. Wręcz przeciwnie, wydajesz mi się jednym z najbardziej antypatycznych ludzi, jakich w życiu spotkałam. Słyszałam, że jesteś świetnym aktorem, ale celowo nie oglądałam twoich filmów. W każdym razie zapewniam cię, że nie masz do czynienia z rozgorączkowaną wielbicielką, gotową zedrzeć z ciebie ubranie. Jestem na to trochę za stara! Jeśli mam być szczerą, to nie mam na to specjalnej ochoty, panie Brand.

Emma wydawała się naprawdę zła i urażona. Choć chodziło mu właśnie o to, żeby uniemożliwić pojawienie się między nimi sympatii, Sebastian poczuł, że teraz dopiero naprawdę zaczyna jej pragnąć.

- Świetnie - mruknął sięgając do klamki. - Do zobaczenia jutro - powiedział i wysiadł z samochodu, zanim zdążyła go pożegnać jakąś zjadliwą uwagą.

Emma patrzyła znad kierownicy, jak wchodzi po kamiennych schodach ponurego domostwa i otwiera drzwi, które najwyraźniej w ogóle nie były zamknięte na klucz. Patrzyła na blade światło, dobiegające gdzieś z głębi domu, patrzyła na swoje rozdygotane ręce.

- Wstrętny, nadęty kretyń - powiedziała na głos. - Obrzydliwy angielski idiota. Beztalencie. Głupi, egocentryczny czub.

Rzucanie obelg pod adresem Sebastiana niewiele jej pomogło. Zwłaszcza że to, co powiedział, było niebezpiecznie bliskie prawdy.

Choćby nawet z całych sił starała się temu zaprzeczyć, to i tak pozostawało faktem, że go śledziła. Jak również i to, że patrząc, jak porusza się po scenie, snuła erotyczne marzenia. Czowała, jak coś ją do niego przyciąga. Zupełnie jak królika, który nie może się oprzeć spojrzeniu węża.

No dobrze, pomyślała, ostrzegł ją. Będzie się starała trzymać od niego z dala. Jeżeli Teddy będzie potrzebował kogoś, kto asystowałby mu podczas prób, to niech sobie tego kogoś poszuka. W końcu, to wcale nie należy do jej obowiązków. Będzie siedziała w swoim biurze i więcej nawet nie zaszczydzi spojrzeniem tego cholernego Branda.

Pozostawał tylko jeden problem. Jej najśłodsze marzenie, jej skarb, jej Jedyna prawdziwa miłość, jej samochód skazany jest na nocleg w pobliżu tego potwora. To prawdziwy cud, że zapalił pod teatrem. Nie miała jednak wątpliwości, że cuda się nie powtarzają i że nie ma mowy o tym, aby MGB zapalił po raz drugi.

Dla pewności podjęła jeszcze jedną próbę, starając się przy tym nie zalać silnika. Potem z rezygnacją zamknęła drzwiczki od wewnątrz. Nie miała najmniejszej ochoty nocować w zepsutym samochodzie, w okolicy pełnej bandytów i narkomanów, lecz z drugiej strony wszyscy bandyci świata wydawali się jej mniej przerażający od spotkania z tym potwornym Sebastianem Brandem. Opuściła trochę oparcie, zamknęła oczy i ułożyła się jak mogła najwygodniej, gotowa czekać na blask poranka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zapała w łagodną, miłą drzemkę. Gdyby nie złość i przygnębienie spowodowane zachowaniem Sebastiana, zasnęłaby pewnie spokojnym, twardym snem. Zanim to jednak nastąpiło, wyrwało ją ze stanu błędnego odrętwienia gwałtowne stukanie w okno.

Za szybą ujrziała niewyraźną, ciemną sylwetkę, spowitą w strugi deszczu. Dopiero gdy zorientowała się, że z drzwi do domu Sebastiana pada światło, gwałtownie potrząsnęła głową.

- Zostaję tutaj! - zawołała.

Zapomniała, że ma do czynienia z aktorem.

- Jeśli zaraz nie wyjdiesz - wrzasnął groźnym tonem - to rozwalę okno i wywlokę cię stąd siłą!

Uwierzyła mu wprawdzie natychmiast, ale podjęła jeszcze jedną próbę.

- Dam sobie radę - odrzyknęła starając się, aby zabrzmiało to buńczucznie.

- Otwieraj te cholerne drzwi!

Nie miała wyboru. W mgnieniu oka wyciągnął ją z samochodu na deszcz.

- Czego tu jeszcze szukasz? - warknął.

Jeszcze zanim przebrzmiało pytanie, już była kompletnie przemoczona.

- Zgasiłeś silnik - wyjaśniła przekrzykując szum ulewy. - To cud, że w ogóle zapalił pod teatrem. MG nie cierpi deszczu.

- Chodź do domu - powiedział rozkazującym tonem.

- Nie, dziękuję, bardzo mi tu dobrze. - Odwróciła się i chciała wsiąść do samochodu, ale chwycił ją za ramię i gwałtownie przyciągnął do siebie.

- W takiej okolicy nie możesz nocować w samochodzie. I tak będziesz miała sporo szczęścia, jeśli go tu jeszcze rano znajdziesz.

- Nie mam zamiaru...

- Owszem, masz. - Sebastian powlókł ją za sobą przez jezdnię i po stromych schodach prosto do domu. Nie opierała się. Była kompletnie przemoczona i drżała z zimna. W dodatku, gdy rozejrzała się po okolicy, przestała wątpić w prawdziwość niebezpieczeństw, jakimi straszyl ją Brand.

Kiedy znaleźli się w holu, Sebastian zatrzasnął drzwi i nagle zaległa cisza i spokój.

Wnętrze domu miało zdecydowanie odmienny charakter od Jego elewacji. Ktoś musiał je starannie odnowić. Wycyklinowane podłogi lśniły świeżym lakierem, ściany i boazerie czystą bielą. Zapach farby i świeżego drewna mieszał się z aromatem kawy.

Za kawę Emma oddałaby w tej chwili duszę.

- To nie moja wina - zaczęła. - Gdybyś nie zgasił silnika...

- Przestań się klócić i ściągnij to mokre ubranie.

- Sebastian zdjął przez głowę płaszcz przeciwdeszczowy i przyczesał włosy.

- A co mam włożyć na siebie? - spytała z jadowitą słodyczą w głosie.

Sebastian zawahał się przez moment i Emmie wydało się, że ma zamiar podejść do niej, objąć ją i przyznać, że wszystko, co mówił jej w samochodzie, było jedynie stekiem niedorzecznych bzdur.

Oczywiście nie takiego nie zrobił.

- Na górze jest łazienka i świeże ręczniki, a ubrania znajdziesz w szafie - powiedział. - Ja tymczasem naleję ci kawy.

Perspektywa kawy sprawiła, że Emma zaniechała dalszych protestów. Postanowiła, że dla ocalenia godności wystarczy oficjalne i chłodne traktowanie gospodarza.

Wewnątrz budynku nie było ścian, zostały tylko drewniane belki wspierające strop, więc wchodząc na górę po malowanych na biało schodach pozostawała cały czas w zasięgu wzroku Sebastiana. Nie oglądała się za siebie. Czuła na sobie wzrok tego mężczyzny równie wyraźnie, jakby to były jego ręce. To skojarzenie wystarczyło, by mimo mokrych ubrań w mgnieniu oka zrobiło się jej gorąco.

Na piętrze znajdowało się także tylko jedno obszerne pomieszczenie, tak jak i parter pomalowane na biało. Na środku stało łóżko nakryte nieskazitelnie białą pościelą. Obok znajdowało się krzesło i stół, a pod ścianą kosze pełne czarnych ubrań.

Wszystko to były oczywiście ubrania Sebastiana. Nie pozostawało jej nic innego, jak wybrać któreś z nich i udać się do łazienki.

To jedno pomieszczenie przynajmniej miało ściany. Ujrzała nieco zardzewiałe, stare krany i ogromną wannę. Ściągnęła sweter, wytarła głowę grubym, puszystym ręcznikiem i włożyła grubą bawełnianą bluzę.

Ubranie pachniało pralnią i płynem do płukania tkanin. Kiedy miękka materia otuliła jej zziębnięte piersi, Emma poczuła się nagle tak, jakby działo się z nią coś bardzo tajemniczego. Spojrzała w pęknięte, nierówne lustro i oniemiała, widząc przemianę, jaka się w niej dokonała.

Na co dzień Emma patrzyła na siebie jak na naj-

zwyczaj niej szą w świecie, umiarkowanie pociągając kobietę. Twarz okalały równo przycięte włosy, a oczy patrzyły spokojnie i trzeźwo. Teraz mokre i potargane włosy nadawały jej rysom trochę niesamowity wyraz, a w oczach krył się tajemniczy cień, jakby lęk i wy-czekiwanie.

- Szaleństwo - powiedziała niepewnym głosem, usiłując przyczesać włosy palcami. Nie chciała używać szczotki Sebastiana. Czowała, że w ten sposób posuwała-by ich dziwną zażyłość za daleko. Wykrzywiła się do swego odbicia. Naprawdę złościło ją to, że ten cholerny Brand był tak bliski prawdy. Rzeczywiście, durzyła się w nim jak głupia nastolatka, a nie kobieta zbliżająca się do trzydziestki.

Postanowiła zachowywać się rozsądnie, wypić kawę, pogadać z Sebastianem i przekonać go swoim naturalnym zachowaniem, że nie ma mowy o żadnym zauro-czeniu jego osobą.

Wracając z łazienki zauważyła jeszcze jedno drzwi, znajdujące się dokładnie na wprost schodów.

Niezwykłość tego miejsca polegała na tym, że jako je-dyne w całym domu nie zostało odnowione. Chropowa-ta ściana miała brudnozielony kolor, a same drzwi były ciemnobrązowe i poobijane. Emma podeszła bliżej i dotknęła dłonią starej, porcelanowej klamki.

Była lodowato zimna. Drzwi jednak okazały się zamknięte na klucz. Przestraszona hałasem, jakiego narobiła próbując je otworzyć, wróciła szybko na scho-dy. Sebastian czekał na nią na dole, z dłonią na poręczy.

Emmie zrobiło się gorąco. Nie ulegało wątpliwości, że widział, jak próbowała otworzyć dziwne drzwi. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć się przed nim ze swego wścibstwa.

- Znalazłaś coś ciekawego? - Głos Sebastiana był wrogi i zimny.

Z nieruchomą, gniewną twarzą obramowaną czarnymi włosami wydał się Jej groźny. Pomyślała, że najlepiej będzie wziąć byka za rogi.

- Co to za drzwi? - zapytała.

- Do garderoby. Trzymam tam oczywiście zwłoki moich żon - odparł natychmiast. - A czego się spodziewałaś?

- Zapomniałam Już, że grałeś Sinobrodego.

- Podobno nie oglądałaś moich filmów.

- Ten film kandydował do Oscara. Pamiętam, że zastanawiałam się, jak to jest możliwe, żeby dawać Oscara za rolę w horrorze.

- Naprawdę jestem dobry - powiedział miękko i Emmę uderzyła dwuznaczność jego słów.

Może to była sprawa wzroku. Mimo półmroku panującego w obszernym pomieszczeniu, czuła wyraźnie niezwykłą intensywność spojrzenia jego srebrzystych oczu. Przez chwilę w pokoju panowało milczenie, jakby oboje na coś czekali.

- Kawa stygnie - powiedział Sebastian i nastrój przysł.

Emma poszła za nim przez obszerne pomieszczenie. Przed kominkiem stała kanapa i cztery krzesła. Na stole z szklanym blatem i na podłodze wokół leżały sterety książki i pism.

Pod odległą ścianą znajdowały się białe kuchenne szafki i kuchenka. Poza tymi kilkoma sprzętami pomieszczenie było kompletnie puste.

Na kuchennym blacie stały kubki, z których unosił się aromatyczny zapach.

- Dolałem kropkę brandy. Dobrze ci to zrobi - powiedział i podał jej kubek.

Emma nie miała wątpliwości, że powinna poprosić Sebastiana o telefon, wezwać taksówkę albo pomoc drogową, a przynajmniej odsunąć się od niego i wypić swoją kawę przy kominku, gdzie na pewno byłoby jej ciepło.

Nie mogła zdecydować się na żaden z tych rozsądnych gestów. Pociągnęła łyk kawy i poczuła, jak po całym ciele rozchodzi się rozkoszne ciepło.

- To rzeczywiście dobre - powiedziała z wdzięcznością.

Sebastian wyjął kubek z jej rąk i odstawił go na kuchenny blat. Potem ujął twarz Emmy ciepłymi dłońmi i spojrzał jej głęboko w oczy. Pokręcił głową i zduszonym głosem powiedział coś, czego nie zrozumiała, coś, co brzmiało jak „idiotyzm”. Nie miała pojęcia, czy chodziło mu o nią, czy o niego samego.

Zresztą, nie miało to już żadnego znaczenia, ponieważ Sebastian zaczął ją całować. Zrozumiała teraz niejasne przecucia, które towarzyszyły jej, odkąd weszła do tego domu. Zrozumiała, czego się naprawdę bała i czego zarazem najbardziej na świecie pragnęła.

Czuła, jak wargi Sebastiana delikatnie ocierają się o Jej usta. Oczy Emmy zamknęły się same, pograżając ją w ciepłym, aksamitnym mroku. Jego ruchy stawały się coraz bardziej zdecydowane, pocałunki wyrażały teraz pragnienie i wolę przełamania wszelkich barier, jakie między nimi istniały. Emma rozchyliła wargi i poczuła na nich ciepły, smakujący kawą i brandy język Sebastiana.

Umiał całować. Z napięciem i czułością, delikatnością i powściąganym pożądaniem. Całował ją tak jak artysta, który tworząc arcydzieło, wkłada w każdy ruch całe swoje doświadczenie i pasję, a także miłość. Czuła, że nie pozostaje Jej nic innego, jak poddać mu się z drżeniem serca.

Uniosła ręce, żeby go objąć, i zaskoczył ją kontrast między delikatnością dłoni dotykających jej twarzy a stalowymi mięśniami pod miękką, czarną bluzą. W momencie, gdy zacisnęła palce na jego ramionach, Sebastian nagle odsunął ją od siebie i cofnął się w cień.

Sięgnął po kubek i wypił jego zawartość tak szybko, jak skazaniec sięgający po swoją porcję cykuty.

- Pomoc drogowa już przyjechała - powiedział lakonicznie.

- Przecież ja nigdzie...

- To ja zadzwoniłem.

- Och! - Poczowała, że drżą i wilgotnieją jej dłonie. Pający w pokoju półmrok nie pozwalał dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Szybko przyjechali - powiedziała.

- Prosiłem, żeby się pośpieszyli.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Wyobrażam sobie. - Nagle poczuła się spokojna i opanowana. Podeszła prosto do Sebastiana, stanęła przy nim i sięgnęła po swój kubek. Wzdrygnął się, jakby w nagłym lęku, że go dotknie. Gwałtowny ruch jego zwinnego, silnego ciała nasunął Emmie na myśl dzikie zwierzę, którego los zawsze pozostaje zawieszony między przeznaczeniem myśliwego i ofiary.

Wypiła do dna zawartość swego kubka i podała go Sebastianowi, który, chcąc nie chcąc, musiał go od niej wziąć. Usta, wilgotne jeszcze od jego pocałunków, dosłownie ją paliły i musiała powstrzymać się, żeby nie otrzeć ich dłonią.

- Dziękuję ci za gościnność - powiedziała kpiącym tonem.

Nie odpowiedział. Skinął głową i oparł się o kuchenny blat. Śledził ją wzrokiem do chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy wyszła, nie zrobił najmniejszego ruchu. Nawet nie drgnął, kiedy za oknem przesunęło się migające światelko pomocy drogowej, holującej samochód Emmy. Czekał go niełichy rachunek za ich błyskawiczne przybycie, i to w dodatku do tak podejrzonej okolicy, ale nie żałował. Nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby tylko przyjazd mechaników spóźnił się o moment, pocałowałby Emmę jeszcze raz. A wtedy byłby zgubiony.

Zamknął oczy, usiłując zatrzeć obraz jej pełnej napięcia twarzy. Nic nie pomogło. Przeciwnie, dopiero teraz dziewczyna stała mu przed oczami jak żywa. Cierpienie wyryte w jej rysach udzieliło mu się nagle z taką siłą, że zupełnie stracił głowę. Tak trudno było mu się zmusić w samochodzie, żeby powiedzieć jej te wszystkie obraźliwe bzdury, a teraz sam wszystko zepsuł. Jak idiota!

Odepchnął się całym ciałem od blatu i sięgnął trzęsącymi się rękami po butelkę i kubek. Nagle zmienił zamiar, odstawił swój kubek i podniósł ten, z którego piła Emma. Najwyraźniej musiał się poddać i przyjąć do wiadomości, że jeśli chodzi o tę dziewczynę, to zupełnie stracił rozum. Trudno, pomyślał, trzeba będzie spróbować jeszcze raz. Inaczej oboje będą zgubieni.

Pociągnął spory łyk brandy, przykładając usta do krawędzi kubka w tym samym miejscu, gdzie dotykały go wargi Emmy.

Teatr był cichy i spokojny. Wszystko wyglądało tak, jak w chwili, gdy wychodziła stąd z Sebastianem. Samotna żarówka nad sceną nadawała obszernej sali nie-realny, niesamowity wygląd. Emmę przebiegł mimowolny dreszcz.

Straciła zupełnie poczucie czasu. Musiało już być do-
brze po północy, ale nie miała pojęcia, czy była pier-
wsza, druga czy trzecia.

Spojrzała w górę, na metalowe schody prowadzące
na poddasze. Przez chwilę myślała z rozpaczliwą tęsk-
notą o czystej pościeli i miękkim materacu, czekającym
na nią w przytulnym hotelowym pokoju.

Oczywiście, powrót do hotelu nie wchodził teraz
w grę. Oznajmiła w recepcji, że zwalnia pokój, a co gor-
sza przeniosła już do teatru wszystkie rzeczy.

Parę godzin zajęło jej uporządkowanie miejsca, w któ-
rym miała zamieszkać. Stare dekoracje ustawiła pod ścia-
nami, a rekwizyty przestawiła tak, żeby mieć choć trochę
miejsca dla siebie. Otworzyła okno, wpuszczając do zaku-
rzonego wnętrza podmuch świeżego, wilgotnego powie-
trza. Nie miała już siły, żeby zejść z powrotem na dół, pod
prysznic. Ledwo żywa wsunęła się do śpiwora i z wes-
tchnieniem ulgi wyciągnęła się na wznak. Na ustach czuła
ciągle pocałunki Sebastiana, a na ciele całkowicie realny
dotyk jego miękkiej, czarnej bluzy.

Nie miała już żadnych wątpliwości, że powinna się
trzymać od niego z daleka, jeżeli nawet nie dla jego do-
bra, to na pewno własnego. Nie umiała natomiast od-
powiedzieć sobie na pytanie: dlaczego? Zachowanie Se-
bastiana było właściwie zupełnie nedoręczne. Przycią-
gał ją do siebie i jednocześnie odpychał. Każda próba
zrozumienia takiego postępowania kończyła się sprze-
cznościami nie do rozwikłania.

Z jednej strony nie miała wątpliwości, że Sebastian
jej pragnie, z drugiej - że wyraźnie stara się uniknąć
zbliżenia. Pomyślała, że może po prostu ktoś na niego
czeka w Anglii. Niech to diabli! To też musi być niezła
jędza. Emma nie była w stanie zdobyć się na życzliwość
wobec ewentualnej towarzyszkii życia Sebastiana.

Dosyć tego, postanowiła. Trzeba będzie zapomnieć o głupich sentymentach i przestać durzyć się w tym cholernym facecie.

- Zapomnij, idiotko, bajkę o Kopciuszku - powiedziała do siebie. - W życiu gwiazdy filmowe nie żenią się z księgowymi.

Ajednak, kiedy zasypiała, przemknęło jej przez myśl, że dobrze było wreszcie spotkać mężczyznę, który umie całować.

Przez trzy dni Emma zdołała uniknąć spotkania z Sebastianem. Nie było to nawet takie trudne. Zrywała się wcześniej rano i schodziła na dół, by wziąć prysznic. Potem szybko zjadała śniadanie w barze naprzeciw teatru. Jedzenie było obrzydliwe, a jedyną zaletą kawy była wysoka temperatura i zawartość kofeiny. Kiedy w teatrze zaczynał się ruch, siedziała już w biurze nad rachunkami. W momencie rozpoczęcia prób była tak zaabsorbowana pracą, że nawet nie zauważyła, kiedy za matową szybą w drzwiach przesuwiał się czarny cień Sebastiana.

Czasem przychodziło jej na myśl, że powinna mu oddać bluzę. Dopiero po paru dniach zorientowała się, że Sebastian też zapomniał o jej swetrze. Wzajemny zwrot ubrań mógłby być znakomitym pretekstem do rozmowy, ale zamiast to wykorzystać, Emma wolała powiedzieć sobie, że obejdzie się bez swetra.

Któregoś popołudnia zjawił się u niej Teddy.

- Emmo, skarbie, co się z tobą dzieje?
- O co ci chodzi?
- Gdzie ty się podziewasz?
- Siedzę w biurze.
- Nie chodzi mi o to, gdzie siedzisz w dzień, bo to jest dla mnie jasne. Mam do ciebie całkowite zau-

fanie i wiem, że niczego tu nie zaniedbasz. Nie poradziłbym sobie bez ciebie - dodał obdarzając ją ciepłym uśmiechem.

Emma patrzyła na niego chłodno. Dobrze wiedziała, że Teddy potrafi sobie świetnie ze wszystkim poradzić.

- Robię, co mogę - odpowiedziała wreszcie.

- Zaslugujesz na medal. A gdzie sypiasz? U Sebastiana?

Stanowczo byloby lepiej, myślała potem Emma, gdyby się nie zarumieniła. Trudno z przekonaniem twierdzić, że ktoś nas nie interesuje, kiedy na sam dźwięk jego imienia dostaje się rumieńców.

- Nie, Teddy - odpowiedziała, daremnie licząc na to, że Teddy po raz pierwszy w życiu straci swoją zwykłą spostrzegawczość i nie zauważy wypieków na jej policzkach.

- To czemu się czerwienisz?

- Bo zadajesz mi kłopotliwe pytania. Brand w ogóle mnie nie interesuje.

- Trzy dni temu byłeś u niego.

Emma z wrazenia przyłgnęła do oparcia fotela.

- Teddy! Ty mnie śledzisz?

- Nie żartuj - odpowiedział chłodno. - Po prostu lubię wiedzieć, gdzie mogę zastać swoją asystentkę o każdej porze dnia i nocy. Praca twórcza to nie to samo, co siedzenie w biurze od dziewiątej rano do piątej po południu.

- Nie sypiam z Brandem, Teddy - powtórzyła Emma, starając się zachować cierpliwość. - Po prostu znalazłam sobie mieszkanie.

- Pamiętaj, że zawsze możesz się wprowadzić do mnie. Na pewno nie zabraknie ci miejsca.

- W porządku, Teddy, ale boję się, że nie mogę być na zawołanie przez dwadzieścia cztery godziny

na dobę. Siedzę tu od rana, dopóki ci Jestem potrzebna. Tych parę godzin w nocy muszę mieć do swojej dyspozycji.

Przez moment twarz Teddyego była zupełnie nieruchoma, ale spokój maskujący złość ustąpił zaraz miejsca dobroduszości.

- Oczywiście, skarbie. Zresztą wcale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Mamy ważniejsze sprawy. Chodzi o to, żebyś się zorientowała, czy dźwigi na scenie są już gotowe. Zaraz przywiozą dekoracje i chciałbym mieć pewność, że będzie można poustawiać wszystko na miejsce. Potem przyjadą jacyś dziennikarze, pewnie Im znowu chodzi o Sebastiana. Może wreszcie się zgodzi z nimi pogadać. Poproś go.

- Nie mam go zamiaru o nic prosić - odparła ostrym tonem. - Nigdy nie udzielał żadnych wywiadów i wątpię, żeby miał zmienić zdanie. Kiedy mam się zająć tymi windami?

- Najlepiej zaraz.

- Dam ci znać, jak to wygląda,

- Niech cię Bóg ma w swej opiece, kochanie. - Teddy przesłał jej na drogę całusa. - I uważaj na schodach.

Mieszkając od trzech dni w teatrze, Emma zdążyła go już nieźle poznać. Wiedziała, gdzie znajdują się stanowiska sterowania windami i nie miała wątpliwości, że w ciągu ostatnich dni nikt nic przy nich nie robił. Postanowiła jednak zejść na dół z bardzo prostej przyczyny. Wreszcie miała powód, żeby pójść na scenę. Sprawdzając stan maszyny, będzie mogła rzucić okiem na Sebastiana.

Kiedy otworzyła drzwi do piwnicy, okazało się, że przekreśliła niewłaściwy kontakt i że schody są nie oświetlone. Chciała zawrócić, lecz nagle ogarnęła ją pokusa przezwyłączenia lęku. Skoro miała za chwilę sta-

wiść czoło Sebastianowi, to doprawdy nie ma powodu, aby obawiać się ciemności. Świetnie pamiętała położenie dolnego kontaktu, na ścianie tuż przy schodach. Wyężając wzrok, ruszyła przed siebie. Pierwszy stopień, na którym postawiła nogę, pękł z trzaskiem. Straciła równowagę, w ciemności nie uchwyciła poręczy i poczuła, że spada.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Emmie wydawało się, że spada w głąb czarnej czeluści bez końca. W rzeczywistości nie trwało to nawet kilku sekund, gdy wylądowała na podeście znajdującym się w połowie wysokości schodów.

Po długiej chwili usiadła, oparła się plecami o ceglana ścianę i usiłowała uświadomić sobie, co się właściwie stało. Nie było to wcale łatwe. Dygotała. Nie potrafiła opanować szloch zrodzonego po części z lęku, po części z bólu.

Nie miała pojęcia, jak długo trwało, zanim pozbierała się na tyle, żeby powoli zejść po pozostałej części schodów. Kiedy dotarła na dół, kolana ugięły się pod nią i musiała na chwilę przysiąść. Spodnie miała podarte, czuła ból w kostce i biodrze.

To wszystko wyglądało bardzo dziwnie: nigdy nie zdarzały się Jej wypadki, a tymczasem poprzedniego dnia miało miejsce inne wydarzenie, po którym powinna być ostrożniejsza. Ktoś usunął barierkę zabezpieczającą otwór wykuty w stropie pierwszego piętra. Idąc przez nie oświetlone pomieszczenie, w ostatniej chwili dostrzegła dziurę w podłodze. Swoją drogą, pomyślała, gdybym w nią wpadła, uniknęłabym dzisiejszego wypadku.

Wszystko to wina Sebastiana, zdecydowała wreszcie. Gdyby nie pochłoneły ją rozmyślania na jego temat, patrzyłaby pod nogi. Tymczasem w starym teatrze, znajdującym się w trakcie remontu, nie brakowało okazji do złamania sobie nogi, jeśli nie gorzej.

W końcu o tym, czy windy zostały naprawione, mogła się dowiedzieć bez wychodzenia zza biurka. Właściwie nawet nie spodziewała się, że ktoś coś z nimi zrobił. Wpakowała się w tę kabałę jak idiotka! Następnym razem po prostu zapyta monterów.

Nad głową usłyszała odgłos kroków i poprzez dębowe deski dopłynął do niej ze sceny krystalicznie czysty i wyraźny głos Sebastiana. Emma знаła treść sztuki na tyle, żeby wiedzieć, że zbliża się właśnie kulminacyjna scena morderstwa. Sebastian wabi Coral do łóżka, w którym rozegra się namiętna scena miłosna, zakończona śmiercią dziewczyny. Nie miała najmniejszej ochoty tego słuchać.

Poza tym bała się, że Teddy wysze za nią kogoś, kto popełni ten sam błąd i skończy tak jak ona albo nawet gorzej. Musi wydostać się z piwnicy i kazać robotnikom zabić tamte drzwi deskami, dopóki nie skończy się remont schodów.

Na szczęście drugie schody, te prowadzące na scenę, były w dobrym stanie i w ciągu paru minut Emma zdołała wydostać się na górę. Kiedy usiadła na najwyższym stopniu, z widokiem na scenę, była złana potem, drżały jej dłonie, a ból w kostce dawał się mocno we znaki.

Ze swojego miejsca widziała Sebastiana kłęczącego nieruchomo nad martwym ciałem Coral. Na scenie panował nastrój mrozącej krew w żyłach grozy.

W tym momencie ją dostrzegł. Zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje, już był przy niej.

- Co się do diabła stało?! - zawołał.

- Spadłam ze schodów. Trzeba zamknąć prawe drzwi do piwnicy, bo tamte schody mogą się w każdej chwili do reszty zawalić. - Próbowała uwolnić się z jego objęć. - Muszę natychmiast porozmawiać z robotnikami. Ktoś tam może spaść...

- Gdzie się uderzyłaś? - Zwolnił uścisk tylko po to, żeby delikatnie przesunąć ręką po jej włosach. - Uderzyłaś się w głowę, straciłaś przytomność...?

Emma zdołała wyswobodzić się z rąk Sebastiana tylko dlatego, że czuła, że za chwilę nie będzie w stanie znieść jego dotyku. Dotyku, którego pragnęła bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Nic mi nie jest - powiedziała stanowczo. - Zdrapałam się w nogę.

Zza pleców Sebastiana nagle wyrósł Teddy.

- Co się stało?

- Emma miała wypadek - odpowiedział Sebastian. Puścił ją, ale nadal nie odrywał od niej wzroku.

- Widzisz, kochanie! - wrzasnął niespodziewanie Teddy, odsuwając na bok Sebastiana. - Czy cię nie ostrzegalem...? - znacząco zawiesił głos.

Przez chwilę Emma nie rozumiała.

- Nie bądź idiotą, Teddy - odpowiedziała wreszcie, nie bacząc na to, że rozmawia bądź co bądź ze swoim pracodawcą.

Teddy'ego jednak trudno było obrazić.

- Zabieram cię do lekarza - powiedział stanowczo.

- Musimy się upewnić, że nic ci nie jest.

- Co się właściwie stało?

Emma ujrzała piękną, zatrokaną twarz Coral.

- Nic wielkiego - odparła cierpliwie czując, że zaraz zacznie krzyczeć. - Pękł pierwszy stopień schodów do piwnicy i spadłam. Naprawdę nic mi się nie stało i najlepiej będzie, jeśli będziecie kontynuować próbę i pozwolicie mi wrócić do biura.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedział Teddy złowieszczym tonem.

Całe szczęście, że nic nie wie o tym, co było wczoraj, pomyślała Emma. Wystarczył jeden wypadek, żeby po-

czciwy Teddy zaczął wietrzyć spisek jakichś piekielnych mocy.

- Mnie się to też nie podoba - odezwał się Sebastian.
- Co to za ludzie?

Odwrócili się wszyscy razem, patrząc na trójkę ludzi energicznie posuwających się w stronę sceny. Emma nie musiała widzieć aparatu, by pojąć, że mają do czynienia z dziennikarzami z lokalnej gazety. Czowała, jak Sebastian zeszytywniał w momencie, gdy fotograf wymierzył w nich obiektyw.

Złość dodała jej sił. Zerwała się, podbiegła do krawędzi sceny i energicznie odtrąciła reportera. Na swoje szczęście nosił aparat na pasku, bo inaczej pewnie musiałby sobie sprawić nowy.

- Nie wolno tu robić żadnych zdjęć - powiedziała słodkim tonem. - Jak się tu państwo dostaliście?

- Wejście było otwarte - odpowiedziała młoda kobieta z antypatyczną, choć niewątpliwie ładną buzią. - Dałiśmy znać, że przyjedziemy, więc uznaliśmy otwarte drzwi za zaproszenie do wejścia. - Minęła Emmę bez dalszych wyjaśnień i zwróciła się do Teddy'ego. - Nie może pan ignorować mediów, panie Winters.

- Nawet mi to nie przyszło na myśl - odparł Teddy ze swoim najbardziej urokliwym uśmiechem. - Rzecz w tym, że mamy swoje zasady i podczas prób...

Jednak dziennikarka już go minęła i poszła prosto do Sebastiana. Emma mimowolnie zacisnęła pięści.

- Panie Brand, sam pan widzi, że nie mamy klów ani pazurów. Parę słów, parę zdjęć, nic nie będzie to pana przecież kosztowało. - Kobieta mówiła to wszystko przyzmiłym tonem łaszącej się kotki, napierając przy tym na aktora wydatnym biustem.

Obrzydliwie piękna, pomyślała Emma czując, jak wzbiera w niej fala prawdziwej nienawiści. Wiedziała, że

Jeśli Sebastian da się złapać na wdzięki tej kobiety, to zrobi coś strasznego.

Patrząc dziennikarce prosto w oczy, Brand ujął ją w ramiona. Potem najzwyczajniej w świecie obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i bez żadnych ceregieli pchnął w stronę drzwi, po czym bez słowa udał się w stronę wyjścia za kulisy.

Fotograf jeszcze raz uniósł obiektyw i Emma bez chwili namysłu wytrąciła mu aparat z ręki.

- Wie pani, ile ta zabawka kosztuje? - warknął mężczyzna.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jak jeszcze raz spróbuje pan zrobić tutaj zdjęcie, to rozbiję ją panu na głowie - odcięła się wściekła.

Zdawało jej się, że z daleka dobiegł ją stłumiony śmiech Sebastiana, ale nie była tego pewna. Zniknął za kulisami, więc pewnie się przeszłyszała.

- Moi panowie - powiedział tymczasem Teddy ciepłym tonem i rozpostarł szeroko ręce. - I pani - dodał mrugając okiem do zirytowanej kobiety. - Wszystkimi nam, pozostałym na scenie, będzie niezwykle miło udzielić państwu jak najdalej idącej pomocy. Nie będę zaskoczony, jeśli panna Aubrey i pan Beauchamps wyrażą zgodę na kilka zdjęć, a chyba państwo przyznacie, że zarówno oboje razem, jak i każde z osobna, są znacznie bardziej atrakcyjni niż ten nieszczęsny odludek, Jakim jest pan Brand.

Emma pokuśtykała do wyjścia patrząc, jak Teddy rozsnuwa wokół oszołomionych dziennikarzy swoje wdzięki.

Poleciała robotnikom zabić deskami wejście do piwnicy i kulejąc wróciła do biura. Siadła i napiła się czarnej lury wypełniającej termos. Choć nie było tego po niej widać, znajdowała się ciągle w szoku wywołanym upadkiem. I przede wszystkim... dotknięciem Sebastiana.

- No i jak się mamy? - Na opalonej, przystojnej twarzy Geoffreya malowała się troska.

Emma uśmiechnęła się do niego czując, jak ją opuszcza napięcie. Nareszcie facet, który na pewno nie ma żadnych ukrytych zamiarów.

- Wszystko w porządku. Trochę się potłukłam, ale to nic poważnego. Żadnych złamań, żadnych wstrząsów, nic z tych rzeczy. Mam nauczkę, żeby patrzeć, gdzie idę.

Geoff wszedł do pokoju, zsunął okulary na czubek nosa i zmierzył ją spojrzeniem.

- Zawsze wydawałaś mi się osobą, która świetnie wie, dokąd idzie. Może ci czegoś trzeba? Bandaży? Lekarzy? Łyk brandy?

Przypomniała sobie ten ostatni raz, kiedy piła brandy. U Sebastiana. Potrząsnęła głową.

- Naprawdę niczego mi nie trzeba. Dzięki za troskliwość.

- Ja też się o ciebie martwię - odpowiedział Geoff jakby chcąc się usprawiedliwić - ale teraz występuję jako posłaniec. Miałem się upewnić, czy rzeczywiście nic ci się nie stało.

- W takim razie podziękuj Coral za troskę.

- To nie Coral. - Geoff podszedł do biurka, nalał sobie kawy i pociągnął łyk. - On nie jest wcale taki straszny, na jakiego wygląda.

- Nie rozumiem, o kogo ci chodzi - skłamała Emma.

- Naprawdę? - spytał Geoff z uśmiechem, od którego mdały nastolatki. - To nie jest łatwy facet. Nigdy nie był łatwy. Zresztą chyba już zdajesz sobie z tego sprawę. Ale jest świetnym kumplem, prawdę mówiąc. Jednym z niewielu ludzi, na których Coral i ja zawsze możemy liczyć. Nie przyjechalibyśmy tutaj, gdyby nie on. Nauczyliśmy się akceptować jego wymagania i po-

wiem ci, że wyszło nam to tylko na dobre. A zresztą, zapomnij o tym. Wątpię, żeby z wami miało być podobnie. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś była dla niego wyrozumiała i żebyś nie wierzyła w te głupoty, które ludzie mówią.

- Geoff...

Powstrzymał ją ruchem ręki.

- Na razie wystarczy. Naprawdę nie nadaję się na swata. Do zobaczenia.

Po jego wyjściu Emma sięgnęła po kawę, ale kubek wysliznął się jej z dłoni i czarny płyn zalał rozrzucone na biurku papiery. Przez chwilę usiłowała walczyć z bałaganem, lecz wreszcie poddała się.

- Wychodzę - powiedziała do napotkanego w korytarzu stolarza. - Gdyby ktoś pytał, to wrócę dopiero, jak wszyscy pójdą.

W chwilę potem znalazła się na ulicy. Był rześki, jesienny dzień. Z prawdziwą przyjemnością wciągnęła w płuca świeże powietrze.

- Nie chciałabym się wtrącać, Sebastianie - odezwała się Coral niewinnym tonem.

- Ale masz zamiar to zrobić - dokończył za nią i odsunął notes. - Zapanuj nad tą pokusą, Coral. Nie potrzebuję niczych porad, uwag, ani sugestii. Nawet tych, które płyną z najlepszych intencji.

- Kochanie, zachowujesz się jak pies, co ma chorą łapę i nie da się nikomu dotknąć. Znam cię dobrze i wiem, że coś cię gnębi. Chcę ci pomóc.

- Jak na przykład? - spytał czując, że robi właśnie to, na co nie miał najmniejszej ochoty, czyli zachęca Coral do udzielania mu rad.

- Poddaj się. Naprawdę, kochanie, to najlepsze wyjście. Ona zupełnie nie potrafi ukrywać uczuć, ga-

pi się na ciebie jak cielę na malowane wrota. A ty miotasz się jak bajroniczny kochanek. To wszystko Jest potwornie głupie. Czemu po prostu nie pójdziesz z nią do łóżka?

- Słuchaj, Coral - powiedział ze śmiertelną powagą.

- Uważaj, Następnym razem, Jak będziemy ćwiczyć scenę morderstwa, mogę się troszeczkę zanadto przyłożyć.

- Już lepiej zajmij się straszaniem Emmy. Na niej to robi większe wrażenie.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak, i zupełnie nie rozumiem, po co ją próbujesz straszyć. Jest ładna, niegłupia i ma na tyle dobry gust, żeby się w tobie zakochać. Powinieneś to docenić. Cóż złego w tym, że spełnisz marzenia dziewczyny?

- Ty nie masz w ogóle pojęcia, o czym mówisz, Coral. Już lepiej bądź cicho.

- O mój Boże - jęknęła Coral po chwili milczenia.

- Nie mogę uwierzyć.

- W co?

- Więc nie tylko ona jest zakochana. Wielki Sebastian Brand wpadł w sidła miłości! - zawołała z widoczną satysfakcją.

- Coral, będę cię musiał udusić jak psa - odparł głosem przesyconym smutkiem. - Potem powiem, że to był wypadek, że po prostu zbyt realistycznie podeszliśmy do pracy.

- Na miłość boską, w czym problem? Ona kocha ciebie, ty kochasz ją, więc czemu tylko jęczycie zamiast przystąpić do czynu?

- Coral, nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać. Nie doceniałem twojej wybujałej fantazji. Zapamiętaj sobie, że nie kocham nikogo oprócz siebie. Miłość Jest zdecydowanie najbardziej przecenianym uczuciem na świecie. To tylko kłopoty i strata czasu.

- Sebastianie. - Coral objęła go ramieniem. - To prawda, że z miłością zawsze są kłopoty, ale nigdy, przenigdy, miłość nie Jest stratą czasu.

Zmierzył ją spojrzeniem pełnym melancholii.

- Daj spokój. Naprawdę nie interesują mnie twoje fantastyczne teorie na temat miłości. Może powinnaś to wszystko opowiedzieć Geoffowi.

- Co opowiedzieć Geoffowi? - spytał wspomniany, zrećnie wdrapując się na scenę.

- Sebastian jest w morderczym nastroju - wyjaśniła Coral. - Gdzie byłeś?

- Na prośbę naszego morderczo nastrojonego przyjaciela zasięgałem wieści o zdrowiu pięknej Emmy. Wszystko w porządku, Sebastianie.

Coral obróciła się z miną triumfatorki.

- Nic cię ona nie obchodzi i wysyłasz mojego męża, żeby się wypytywał o jej zdrowie? Ty jesteś prawdziwym rycerzem, kochanie.

- Cicho bądź, Coral. - Sebastian podszedł do Geoffa. - Gdzie ona jest?

- Wyszła z teatru. Podejrzewam, że poszła do domu.

- Nie sądzę - odparł Sebastian. - A gdzie Winters? Dalej czaruje dziennikarzy?

- Tak mi się wydaje. Wiesz, mógłbyś trochę rozjaśnić swój wizerunek. Parę słów do tej pięknotki rzeczywiście by ci nie zaszkodziło... Dokąd idziesz?

- Wychodzę. Nie mam nastroju do pracy.

Coral wydała z siebie dramatyczne westchnienie.

- Co ja słyszę z ust przodownika sztuki scenicznej? To musi być miłość.

- Odczep się, Coral.

- Sam się odczep, skarbie.

W teatrze nie było ani śladu Emmy. Sebastian zre-sztą nie liczył specjalnie na to, że ją spotka. W tej chwili

bardziej go interesowała sprawa schodów do piwnicy. Wypadek, do którego doszło tego ranka, poruszył w nim jakąś szczególną, bolesną strunę. Nigdy nie lubił wypadków. A odkąd doszło do tragedii na planie „Snów Charliego Rzeźnika”, miał na ich punkcie prawdziwy uraz. Bał się, że coś podobnego może się powtórzyć. A teraz w dodatku czuł dziwny lęk, że to coś mogłoby się przytrafić właśnie Emmie.

Cholerna Coral, pomyślał. Trudno zaprzeczyć, że w domysłach przyjaciółki bolała go głównie ich trafność. Zbyt dobrze znał Ją i Geoffa, żeby liczyć na to, że uniknie ich życzliwego wtrącania się. Wiedział, że swym lodowatym tonem może zmrozić każdego na świecie, z wyjątkiem Coral. Miał zresztą wątpliwości, czy w ogóle istnieje jakiś sposób, żeby zbić z tropu tę kobietę.

Ale teraz i tak nie miał ochoty zastanawiać się nad Coral. Chciał spokojnie pomyśleć o Emmie. I bynajmniej nie o jej smukłych nogach i cudownych ustach. Chciał się zorientować. Jak doszło do wypadku, i czy na pewno był to tylko wypadek.

Emma wyszła z kina dopiero o północy. Nigdy w życiu nie obejrzała tylu filmów naraz. Przez osiem godzin siedziała na wytartych i zgoła nie luksusowych, pluszowych fotelach kina „Klejnot”, i pochłaniała wzrokiem kolejne Almy Sebastiana Branda. Przegląd obejmował dużą część jego dzieł, od pierwszego niskobudżetowego „Rzeźnika Charliego”, aż do najnowszych: „Sinobrodego” i „Dybuka”.

Kiedy siadała przed ekranem, sądziła, że filmy będą po prostu odstręczające. Trochę liczyła się z tym, że mogą ją nastraszyć, do głowy jej jednak nie przyszło, że wyjdzie z kina trzęsąc się strachu.

Filmy o Charliem pozostawały jeszcze w kręgu czarnego humoru, „Sinobrody” robił większe wrażenie, ale

naprawdę przerażający był dopiero „Dybuk”. Zafascynowana śledziła srebrzyste, niesamowite oczy Sebastiana, które zresztą były jedynym znajomym rysem - cała reszta kryła się pod potworną charakteryzacją. Kiedy już nie mogła znieść tego dłużej, wstała i wyszła z kina.

Puste ulice wypełniało rozproszone w lodowatym deszczu światło latarni. Idąc w stronę teatru ani razu nie obejrzała się za siebie, bo nie miała wątpliwości, że gdyby tylko poszukała wzrokiem znajomej sylwetki Charliego, z pewnością by ją ujrzała.

W starym gmachu nie było śladu żywej duszy. Emma odetchnęła z ulgą. Nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z Teddym, a tym bardziej z Sebastianem Brandem.

Od początku wiedziała, że nie powinna oglądać tych filmów. Dlaczego nie posłuchała głosu rozsądku? Zbyt łatwo daje się nabierać. Kiedy zobaczyła blask morderczego szалу w srebrzystych oczach Sebastiana, bez wahania uwierzyła w jego prawdziwość. Kiedy jego delikatne dłonie unosiły nóż, nie miała wątpliwości, że z ostrza kapie najprawdziwsza krew.

Wspinając się po stromych schodach na poddasze, nie mogła się uwolnić od wspomnienia tych scen. Lecz jeszcze większe wrażenie zrobił na niej krótki, przesycony intensywnym erotyzmem epizod z „Sinobrodego”.

- Idiotka - powiedziała na głos, wchodząc do swojego pokoju. I wtedy przypomniała sobie, że podobne słowo wypowiedział Sebastian, zanim zaczął ją całować.

Zamknęła okno i podeszła do śpiwora. Czuliła, że na ból w kostce najlepiej zrobiłaby jej długa, gorąca kąpiel, aspiryna i miękkie, wygodne łóżko. Niestety, w najlepszym razie mogła skorzystać z zardzewiałego pryszniaka znajdującego się na dole, w garderobie.

Zapaliła lampkę nocną i z westchnieniem wyciągnęła się na śpiworze. Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że pod

plecami ma coś miękkiego. Wsunęła rękę pod śpiwór, wyciągnęła to coś i natychmiast ze stłumionym okrzykiem upuściła na ziemię.

Sweter. Ten sam sweter, który zostawiła w łazience Sebastiana, i który tylko on mógł tu przynieść.

Przyląpała się na tym, że nieświadomie gładzi bawełnianą materię. Zesztywniała w napięciu. Musi przestać o nim myśleć, inaczej czekają ją koszmary albo, co gorsza, erotyczne sny przypominające to, co zobaczyła dziś w kinie. W tej jednej scenie było więcej zmysłowości niż w jej dotychczasowym życiu erotycznym.

Nagle poczuła się lepiej. Tak, to nie była prawdziwa miłość. To była jedynie obsesja seksualna, absurda, bezsensowna fascynacja, niezdrowa i zapewne nietrwała. Kiedy się wreszcie uwolni od hipnotycznej obecności Sebastiana, będzie z powrotem sobą i wszystko, co zostanie, to żenujące wspomnienie.

Na to przynajmniej liczyła. Może po prostu za długo już tkwi w tym idiotycznym układzie. Teddy kręci się jak pies za własnym ogonem i z rzadka robi jakiś sensowny ruch. Aktorzy grający główne role pracują co prawda ciężko, ale brak im kierownictwa, a reszta ról nie jest jeszcze obsadzona. Tymczasem koszty już dawno przekroczyły budżet, zwłaszcza biorąc pod uwagę rozmach, z jakim Teddy przebudowywał teatr. A ona sama nie zobaczyła dotąd ani centa.

Odejdzie. To bardzo proste. Jutro. Oczywiście, o ile nie będzie padało. Załaduje do MG cały swój dobytek i odjedzie nie oglądając się wstecz. Nic, poza czarną bluzą Sebastiana, nie będzie jej odtąd przypominało tych dni, przeżytych jak w gorączce.

Idąc pod prysznic, zatrzymała się na chwilę na krawędzi pustej sceny. Na środku, w upiornym blasku żarówki, stały rekwizyty: stół, kilka krzeseł i łóżko.

Przedmioty rzucały niesamowite, czarne cienie. Przemknęła się pod ścianą i udała do łazienki w damskiej garderobie, gdzie długo, z rozkoszą, wystawiała ciało na uderzenia wody, splukując z siebie całe zmęczenie i ból.

Wytarła się starannie i założyła jedwabną halkę, na którą narzuciła męską flanelową koszulę.

Bezszelестnie wróciła na scenę i ruszyła okrężną drogą w stronę schodów. Czowała przesądny lęk przed wejściem na środek - sama nie wiedziała dlaczego. Nagle pomyślała, że jeśli ma naprawdę pokonać czające się za plecami zmory, to musi przewyciężyć swoje absurdalne obawy. Dotarła więc do środka sceny, skąd ruszyła w stronę schodów.

I wtedy właśnie usłyszała ten hałas. Najwyraźniej dobiegał z męskiej garderoby, z drugiej strony sceny. Emma zeszytywniała. Nie przyszło jej do głowy, że w starym gmachu może być jeszcze ktokolwiek oprócz niej.

Teraz wiedziała, że Jest Inaczej. W teatrze panowała absolutna cisza i nie było wątpliwości, że zza sceny dobiegają jakieś odgłosy.

Znieruchomiała I zamieniła się w słuch. Dobiegający hałas nie przypominał rozmowy ani śmiechów. Ten, kto oprócz niej znajdował się w teatrze, był równie samotny jak ona.

Przypomniała sobie ostrzeżenia Teddy'ego i poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Przez myśl przemknęły jej postaci z obejrzanych wieczorem filmów. Charlie Rzeźnik, Sinobrody, Dybuk. Nagle poczuła, że wokół, czekając na chwilę sposobną do zadania ciosu, tańczą swój szalony taniec potwory.

- Nie - powiedziała, ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie. Miała ochotę się odwrócić i pobiec pędem po metalowych schodach na poddasze, zatrzasnąć za sobą

drzwi i zastawić je sprzętami wypełniającymi pokój. Ty-
le tylko, że nic by to nie pomogło. Wiedziała, że jedynym
sposobem na potwory jest podjąć z nimi walkę.

Chwilę trwało, zanim zdołała zmusić swoje ciało do
ruchu. Potem, bardzo powoli, ruszyła w stronę krótkie-
go, ciemnego korytarzyka, prowadzącego do męskiej
garderoby.

Nie miała wątpliwości, kogo w niej spotka. Nie miała
jednak pojęcia, jak się to spotkanie skończy. Wiedziała
jedynie, że musi tam wejść i stawić mu czoło. Inaczej
nigdy nie będzie mogła spokojnie spojrzeć sobie w oczy.

W garderobie panował półmrok. Większość żarówek
była przepalona, pozostałe odbijały się w obiegającym
całe pomieszczenie lustrze. Pośrodku stał nieruchomo
Sebastian. Napotkawszy w lustrze spojrzenie Emmy,
obrócił się powoli w jej stronę. Poczula, że znalazła się
w koszmarnym śnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Krótką chwilą, kiedy mierzyli się wzrokiem, wydawała się Emmie wiecznością. Sebastian miał na sobie czarne dzinsy, w rękę trzymał tubę z farbą do ciała.

Na Jego twarzy, piersi i ramionach widniały szerokie, czerwone pasy. Wyglądał tak drapieżnie i groźnie, że Emma straciła zdolność rozróżnienia pomiędzy prawdziwym Sebastianem a potworami, w które wcielał się w filmach.

Cofnęła się w odruchu paniki, otulając się ciasniej flanelową koszulą.

- To... ty... próbujesz charakteryzacji? - spytała ze ściśniętym gardłem. - Tak ma wyglądać potwór?

Najbardziej przerażało ją uparte milczenie Sebastiana. Dopiero po dłuższej chwili wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Myślałem o zieleni, ale czerwień jest lepsza. Przypomina krew.

Uśmiechnął się dziwnie. Jeśli ten uśmiech miał ją uspokoić, to w najmniejszym stopniu nie osiągnął swego celu. Emma poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Faktycznie, to robi wrażenie - powiedziała niepewnym głosem, odstepując krok do tyłu.

Twarz Sebastiana na powrót znieruchomiała.

- Gdzie byłeś? Nie myślałem, że tu dziś wrócisz.

Emma świetnie wiedziała, że kłamie.

- Poszłam do miasta - odparła krótko. - Po co tak długo dziś siedzisz?

Odłożył tubę z farbą na szafkę,

- Eksperymenty wciągają. Może powinienem wziąć farbę do domu, ale nie spodziewałem się, że wrócisz.

- Co za różnica?

Zrobił krok w jej stronę.

- Tak byłoby mądrzej. No więc, gdzie byłaś?

- W kinie.

W oczach Sebastiana, w pięknych oczach kochanka osadzonych w szatańskiej twarzy, pojawił się błysk zrozumienia.

- Poszłaś obejrzeć moje filmy, prawda? Powiedz, czy warto mnie nabierać?

- Myślę, że nie.

- Nie - powiedział miękkiem głosem, zbliżając się do niej. - Ja też myślę, że nie.

Emma cofała się. Niepewnymi palcami wyczuła framugę i wyszła tyłem z garderoby, nie spuszczać wzroku z Sebastiana.

- Już lepiej pójść...

- Emmo, boisz się mnie? - Sebastian szedł za nią krok w krok, patrząc jej w twarz. Jego silne ciało połyskiwało kusząco w niesamowitym świetle.

- Ciągłe mnie o to pytasz.

- A ty nigdy nie odpowiadasz. Nie musisz. Twoje zachowanie mówi samo za siebie. Śmiertelnie się mnie boisz. Właściwie dlaczego? Myślisz, że poderżnę ci gardło, jak Charlie? Ze cię uduszę, jak Sinobrody? - W każdym jego ruchu kryła się groźba.

Emma poczuła za plecami coś twardego i nieustępliwego. Nie ośmieliła się oderwać wzroku od Sebastiana, drżącą ręką namacała poręcz łóżka stojącego na środku sceny.

- Wcale się ciebie nie boję - rzekła porywczo.

Miał ją! Dłonie Sebastiana gwałtownie schwyciły po-

ręcz za jej plecami i Emma stała uwieczona między jego stalowymi ramionami.

- Boisz się, maleństwo. Boisz się i to cię złości. - Sebastian patrzył jej prosto w oczy, jego usta znajdowały się niebezpiecznie blisko. - I to cię właśnie bierze. Może nie?

Nie była w stanie ani uciec przed nim, ani skłamać.

- Tak - przyznała. - To prawda.

Ujrzała triumf w jego oczach.

- Męczy cię to wszystko, co? Nie podoba ci się, że seks, strach i gniew mogą mieć tyle ze sobą wspólnego. Myślałaś, że to wszystko powinno wyglądać zupełnie inaczej. Jakos tak jaśniej i lżej, prawda? I nie masz pojęcia, co do mnie czujesz, choć wiesz, że coś w tym jest, tak? - Mówiąc to, dotknął swego czerwonego czoła, a potem przeciągnął palcem po czole Emmy, robiąc na nim czerwoną smugę. - Tu to czujesz - wyszeptał ochryplym głosem i dotknął swej piersi. Emma czekała w napięciu. Palec Sebastiana zbliżył się do niej i odcisnął między jej piersiami czerwony znak. - O, tutaj to wszystko czujesz.

Nie była się w stanie ruszyć. Znajdowała się we władzy jego niesamowitych, błyszczących oczu, lecz także we władzy własnego, tak długo tłumionego, pożądania. Owładnął nią w chwili pierwszego spotkania. Od tej pory nieustannie albo o nim myślała, albo z najwyższym trudem zmuszała się do tego, aby nie myśleć.

Teraz już nie było ucieczki. Zresztą, nie chciała uciekać. Nie miała pojęcia, co się będzie dalej działo. Po ośmiogodzinnej dawce seksu i śmierci na panoramicznym ekranie, nie wiedziała zupełnie, czego się spodziewać. Ale to i tak nie miało teraz znaczenia. Była pewna, że tylko jedno by ją zabiło: gdyby odwrócił się i odszedł.

- Emmo - Twarz Sebastiana była tak blisko, że nie miała pojęcia, czyjego usta naprawdę muskają jej wargi, czy tylko tak jej się wydaje. - Cały kłopot w tym, że jestem też zły. Jak ty. Opętałaś mnie. I doprowadzasz mnie do szału. - Puścił poręcz łóżka i przygarnął ją gwałtownie do siebie.

Potem ją pocałował i to przesądziło o wszystkim. Emma wpiła się palcami w jego włosy i posłusznie rozchyliła usta. Pocałunki Sebastiana były zupełnie inne niż poprzednio: gwałtowne, łapczywe, pełne szalonej, niczym nie hamowanej namiętności.

Zdarł jej z ramion flanelową koszulę i gorąco przygarnął. Czująca śliskość farby pokrywającej jego gorącą pierś, nieprzytomnie szarpała i gładziła na przemian jego czarne włosy, gdy nagle poczuła, że unosi się w powietrzu. Sebastian trzymał ją na rękach, a potem rzucił na stojące pośrodku sceny łóżko i ukleknął nad nią. W upiornym świetle żarówki ich cienie wydawały się przez moment niezależnymi od ich woli, tajemniczymi istotami, tańczącymi wokół nich dziki taniec.

Sebastian trzymał mocno ramiona Emmy i patrzył na nią. W swojej charakterystyce wyglądał jak demon, w ciemnościach błyszczały tylko oczy. Wstrzymując oddech czekała na jakiś gest, na to, aby wreszcie dotknął jej ciała jak kochanek.

Ani drgnął. Czując, jak narasta w niej napięcie, spętęgowane nieprawdopodobieństwem sytuacji, w jakiej się znaleźli: na scenie przed ogromną pustą widownią, przed którą wykonywali swój spektakl w tak intensywnej ciszy, że Emma miała ochotę przerwać ją krzykiem.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała wreszcie zduszonym głosem. Podniecenie, jakiego jeszcze w życiu nie

zaznała, napinało jej mięśnie. W środku swojego jęstwa czuła kulę ognia, czekającą na jego dotyk.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, a potem puścił jej ramiona i delikatnie odgarnął włosy z oczu.

- Strach jest fantastycznym afrodyzjakiem - powiedział, - Ale tylko do czasu. Powiedz mi, że się nie boisz. Powiedz, że mi ufasz.

W tym momencie, pod delikatnym dotykiem jego palców, Emma powiedziałaby wszystko, czego by tylko żądał. Przyznałaby się do tego, że ją zupełnie opętał, do tego, że go szaleńczo pragnie, do tego, że z niepojętych przyczyn jest w nim nieprzytomnie zakochana.

Powiedziałaby nie kłamiąc wszystko, czego tylko mogłby zapragnąć, ale nie to. Tylko nie to, że się go nie boi.

Czekał cierpliwie, dopóki nie zrozumiał, że nie usłyszy z jej ust upragnionego wyznania. A wtedy Jego twarz gwałtownie pociemniała.

- Będiesz więc miała, czego chcesz - mruknął przez zęby i cofnął rękę. I znowu najgorszym, co mogła sobie wyobrazić, była świadomość końca. Teraz na pewno wstanie i odejdzie.

Stało się jednak inaczej. Sebastian jednym ruchem zerwał z niej halkę, chwycił ją za rękę, rozciągnął szeroko na łóżku i rzucił się na nią z drapieżnymi pocałunkami. Teraz wydawało się, że nie ma w nim już nic oprócz gniewu, choć być może, przemknęło jej przez myśl, była to właśnie rozpaczliwa próba wymuszenia na niej upragnionej odpowiedzi. Naraz przestał Ją całować, uniósł głowę i zapytał:

- O to ci chodziło? Wymarzyłaś sobie, że się będziesz pieprzyć z gwiazdą? Trochę brutalności, odrobina strachu i może będzie tak wspaniale, Jak nigdy dotąd, co?

Otworzyła szeroko oczy,

- Ty draniu! - zawołała. - Puść mnie!

- Niel Sama tego chciałaś. Wieczorem pójść do łóżka z potworem, a rano żyć spokojnie dalej tak, jakby to był tylko sen.

- Sebastianie - błagała go drżącym głosem - nie rób tego. Nie rób tego mnie, ani sobie.

Schwycił ją twardymi palcami pod brodę.

- Ani słowa więcej, Emmo. Już jest za późno. Skoro nie chcesz mi powiedzieć tego, co chcę usłyszeć, to niech to wszystko diabli wezmą. - I zamknął jej usta pocałunkiem.

Emma była już pewna, że nic Jej nie grozi. W dodatku czuła niejasno, że Sebastian przestaje panować nad sobą i traci przewagę, jaką dotąd zawsze nad nią posiadał.

Objęła go za szyję i zaczęła oddawać pocałunki z całą siłą długo tłumionej namiętności. Przez chwilę jakby się zawahał, lecz wkrótce na nowo podjął grę i na starym metalowym łóżku, stojącym na środku pustej sceny, zaczął się rozgrywać niesamowity taniec zmysłów.

Dotknął jej ramion dłońmi. Następnie zaczął powoli przesuwając ręce wzdłuż ciała, musnął jej piersi, pieszczotliwie przesunął palcami po brzuchu, biodrach i udach. W ślad za rękami podążały jego gorące usta. Jej ciało bezwolnie napięło się w łuk, a z ust wyrwał się Jęk rozkoszy. Miała wrażenie, że jego dłonie i usta wędrują po jej ciele jednocześnie zbyt szybko i nazbyt wolno.

- Podoba ci się? Powiedz, mała. - Sebastian usiłował nadać swemu głosowi chłodne, twarde brzmienie, starał się odzyskać panowanie nad sobą. Emma wiedziała jednak, że są teraz partnerami w tej dziwnej grze, którą prowadzili od chwili pierwszego spotkania. W grze, w której z jednej strony kryła się wzajemna fascynacja

i opętanie, a z drugiej lęk przed tym opętaniem i potrzeba niezależności.

Teraz ona z kolei przejęła prowadzenie. Zaczęła całować jego twarz, szyję i ramiona pokryte śliską, oleistą farbą. Sebastian leżał na plecach pozwalając jej robić, co chce, albo może nie mając dość siły, aby z nią walczyć. Jego dłonie poruszały się niespokojnie w jej włosach, wahając się pomiędzy delikatnością pieszczot i płynącymi z napięcia paroksyzmami agresji.

W pewnym momencie stracił kontrolę nad sobą, przewrócił ją na plecy, chwycił za ręce i wyciągnął je za jej głowę, aż do metalowych prętów łóżka. Emma, jakby zgadując jego zamiary, zacisnęła palce na pionowych prętach, pozwalając mu ochłonać.

- Jesteś wiedźmą - powiedział głosem ochryplym z emocji. - Wiesz o tym, prawda? Wydaje ci się, że się mnie boisz. Kobieto, nigdy w życiu nikt mnie tak nie przestraszył jak ty.

Patrzył na nią wzrokiem nieprzytomnym z podniecenia. Emma miała wrażenie, że klęczy nad nią szatan z piekła rodem, który zwabił ją tutaj, aby zawładnąć jej duszą. Czuła, że od chwili, kiedy ją posiadzie, przestanie być sobą, przestanie być dawną spokojną i pilną Emmą Milsom. I poczuła gdzieś w głębi siebie pełną zgodę na ten fakt.

Kiedy ich oddechy spowolniały wreszcie, a serca przestały bić jak szalone, Emma poczuła pragnienie, by pozostać z nim w tym uścisku na zawsze. Wiedziała, że to niemożliwe. Kiedy otrząsnął się i odsunął, nie zrobiła najmniejszego gestu, żeby go zatrzymać.

Sebastian usiadł na krawędzi łóżka, tyłem do niej, i spojrzał na pustą widownię. Jego plecy były wymazane farbą. Emma spojrzała na własne ciało. Nie było na nim jednego miejsca, w którym skóra zachowałaby natural-

ny kolor. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć Sebastiana. On tymczasem sięgnął po swoje ubranie i dłoń Emmy opadła na łóżko.

Ubierał się szybko i z naturalnym wdziękiem, zupełnie nie zwracając na nią uwagi. A potem odszedł bez słowa, nie rzuciwszy na nią okiem.

Nie mogła w to uwierzyć aż do chwili, gdy usłyszała łoskot ciężkich metalowych drzwi. Była sama, kompletnie sama, a mężczyzna, z którym przeżyła coś, czego nie sposób było porównać z żadnym Innym momentem jej życia, odszedł, tak jakby nic się między nimi nie zdarzyło.

Poczuła chłód. Wstała i z wysiłkiem podniosła flanelową koszulę. Nogi się pod nią trzęsły, czuła się słaba i wyczerpana. Marzyła w tym momencie jedynie o tym, by wtulić się w silne, gorące ciało Sebastiana i zasnąć.

Narzuciła na siebie miękką flanelę i ruszyła w stronę schodów na poddasze. Była spocona i wymazana farbą. Powinna się wziąć w garść, pójść pod prysznic i zmyć z siebie tę czerwień wraz z wszelkimi myślami o Sebastianie Brandzie.

Nie miała najmniejszego zamiaru tego zrobić. Nie teraz. Była zbyt zmęczona i śpiąca. Marzyła o tym, aby wyciągnąć się w śpiworze i zasnąć. Może, pomyślała, kiedy się prześpi, łatwiej jej będzie pozbierać się i zastanowić nad tym wszystkim, co między nimi zaszło.

Czuła, że miała całkowitą rację, kiedy się go bała. Teraz było za późno. Na metalowym łóżku stojącym na środku sceny przestała istnieć Emma Millsom. Jej śmierć była równie pewna. Jakby padła ofiarą jednego z potworów granych przez Sebastiana. Po kobiecie, której wydawało się, że wie, czego chce, która nie miała żadnych wątpliwości, z kim i czym chce w życiu być.

nie pozostało śladu. I w dodatku nie miała pojęcia, kto zajął jej miejsce.

- Dziwka - rzucił Sebastian zatraskując za sobą drzwi i cisnął zwinięty w kłębek, mokry płaszcz w głąb holu. Brzmienie tego słowa spodobało mu się, więc powtórzył je jeszcze raz, nieco głośniej.

Dom milczał. Nie było w tym nic dziwnego. Ten stary dom był istotą zbyt potężną, żeby zajmować się cierpieniem pierwszej lepszej istoty ludzkiej.

Sebastian wszedł do kuchni, otworzył butelkę brandy, chlusnął obficie do kubka. Bolały go stopy. Wrócił do domu w lodowatej ulewie boso, bo nie mógł zostać z nią w tym samym budynku na tyle długo, żeby odzyskać buty.

Gdyby nie odszedł od Emmy natychmiast, nie umiałby odejść od niej już nigdy. A zostać nie mógł dlatego, że za nic w świecie nie chciał jej już więcej dotknąć. Jak mógłby to zrobić po czymś tak niesamowitym i cudownym jak to, co przeżyli na pustej scenie? To, czego doświadczył, wykraczało poza jego najśmielsze oczekiwania.

- Niech ją diabli - powiedział. Wypił brandy killkoma łykami i powtórnie napelnił kubek. Nie sądził, że go to tak zaboli. Wydawało mu się, że nic go już nie zaskoczy. Mógł mieć każdą kobietę, której by tylko zapragnął. Piękniejszą, bogatszą, inteligentniejszą niż ta przeklęta Emma Milsom. Wszystkie kobiety marzyły o tym, żeby się z nim przespać, żeby móc pochwalić się koleżankom, że spędziły noc z potworem i żyją.

Zawsze było tak samo. Nawet wtedy, kiedy zaczynała. Sebastian zagrał właśnie w pierwszym horrorze, a Geoff- to było jeszcze zanim poznał Coral - specjalizował się w rolach bystrych przystojniaków. Wynajmowali razem mieszkanie i, co zawsze zdumiewało Seba-

stiana, odwiedzające ich kobiety wcale nie Ignęły do Geoffa. Jakaś niepojęta siła pchała je w ramiona Sebastiana.

Początkowo poddawał się bez oporu, ale szybko go to zmęczyło i nauczył się chronić swe ciało i swoją prywatność. Reguły gry były jasne. On spełniał ich fantazje, one dawały mu chwilę zapomnienia. Teraz sam wszystko popsuł, ulegając głupim pragnieniom. To wina tego piekielnego domu. Sądził, że pokonał potwory, wydawało mu się, że znalazł sposób, aby uwolnić się z ich mocy.

I właśnie wtedy dopadły go z innej strony. Nie mogły się do niego dostać przez głowę, wdarty się więc do jego serca. Albo raczej do łędźwi, pomyślał z gryzącą ironią.

- Niech ją diabli - powiedział, usiłując zatrzeć w pamięci obraz delikatnej, wrażliwej twarzy i przepastnych błękitnych oczu. Oczu, w których można było utonąć. Cisnął kubek i ruszył w stronę schodów na piętro.

Zatrzymał się przed drzwiami, za którymi uwięzione były straszne tajemnice tego miejsca. Wyciągnął rękę i dotknął drewna. Kiedy cofnął dłoń, na drzwiach zostały ciemnoczerwone ślady, przypominające plamy krwi. Na ich widok Sebastian poczuł dreszcz lęku.

Wszedł pod prysznic, usiłując zmyć z siebie wraz z farbą wspomnienie Jej rąk i ust. Niczego nie pragnął w tej chwili bardziej niż tego, żeby o niej zapomnieć. Po kąpieli, kiedy dokończył butelkę brandy i nagi zwałił się na łóżko, uderzyła go nagła myśl.

Między Emmą Milsom a wszystkimi kobietami, które przewinęły się w ciągu paru ostatnich lat przez jego życie, Istniała jedna zasadnicza różnica. Jego dotychczasowe kochanki pragnęły go, bo budził w nich lęk, Emma przeciwnie, pragnęła go mimo przerażenia, jakim ją napawał. To nie strach ją podniecał. Lęk nie miał tu właściwie nic do rzeczy. Liczyła się dziwna, niezwykła

siłą, jaka wiązała ich ze sobą i popychała jedno w ramiona drugiego. Teraz też nie mógł myśleć o niczym innym poza Jej ciałem, wtulonym w ekstazie w jego ciało.

- Niech Ją diabli - powtórzył w nagłym przyplywie wściekłości. Nie miał najmniejszej ochoty leżeć samotnie w tym wielkim łóżku. Czuł, że jego ciało tęskni za jej ciałem do bólu, a dusza za Jej duszą. - I mnie też!
- dodał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

~ Nie masz czegoś, co mogłabym włożyć?

Coral Aubrey wyłoniła się zza pleców siedzącej przed lustrem w damskiej garderobie Emmy. Na twarzy aktorki malował się wyraz najwyższego niesmaku. Emma nerwowo owinęła się ciasniej w sweter.

- Słucham?

- Wysmarowałam sobie cały tyłek na czerwono. Ze też musiałam akurat dzisiaj włożyć białe spodnie - narzekala Coral. - Ktoś wysmarował farbą to cholerne łóżko na scenie. Po jaką cholere?

Emma podziękowała Bogu, że połowa żarówek w garderobie jest przepalona i w ciemnym pomieszczeniu niewiele widać. Na twarzy, na piersiach, na brzuchu - wszędzie miała ślady tej samej farby, której obecność na łóżku wywołała oburzenie Coral.

- Nie mam pojęcia - odparła, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Coral spojrzala na nią uważnie.

- Powiedziałaś to całkiem jak Sebastian.

Emma nie miała ochoty wdawać się w rozmowę na temat Sebastiana.

- Nie jestem pewna, czy coś znajdę - odezwała się, grzebiąc w torbie. - Zwłaszcza coś, co by pasowało na ciebie.

- Nic się nie przejmuj, skarbie - odparła Coral ze śmiechem. - Jeśli znajdziesz coś w miarę wygodnego.

to już będzie dobrze. Wstałam Geoffa do hotelu po jakieś ubrania, ale z nim nigdy nie wiadomo, kiedy wróci i co przywiezie.

- Ja mogę pojechać.

- W żadnym wypadku. Wiem, że Teddy traktuje cię tu jak chłopca na posyłki, ale miałam okazję zajrzeć do biura i zobaczyć, co ty naprawdę potrafisz. Dziewczyno! Jeśli dociagniemy to całe przedsięwzięcie do premiery, to tylko dzięki tobie. Nam, artystom, potrzebni są do życia tacy rozsądni ludzie.

- Rozsądni? - odparła Emma z nutą ironii w głosie.

- O, Boże! Wiem, że to głupio brzmi. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że cię szanuję. Teddy nigdy by sobie bez ciebie nie poradził. W końcu nawet Sebastian ledwo sobie daje radę z miłością swojego życia.

- Z miłością swojego życia? - Emma nie zdołała się oprzeć, choć czuła, że połyka zarzucony na nią haczyk.

- Słyszałaś chyba o jego prywatnym teatrze? To taki maleńki eksperyment, przy jego domu w Cotswolds. Oni tam naprawdę robią cudowne rzeczy, i ja z Geoffem nie możemy się doczekać, żeby wziąć w tym udział. Oczywiście, o ile Sebastian wszystkiego nie zawali - dodała Coral, uśmiechając się porozumiewawczo do Emmy.

- Powinien zatrudnić kogoś do papierkowej roboty. Jakiegoś porządnego księgowego - odparła udając, że nie rozumie, o co chodzi aktorce.

- Pomyślałam, że możesz potrzebować pracy - Coral nie dawała się zbić z tropu. - To, co tu robimy, ma moim zdaniem krótkie nogi. Może nawet krótsze, niż ci się zdaje. Masz ważny paszport?

- Tak, ale na razie nie mam zamiaru robić z niego żadnego użytku. - Emma sięgnęła do torby po miękki

bawełniane dresy i wyciągnęła sweter, który oddał jej poprzedniego wieczora Sebastian.

- O, to będzie w sam raz - Coral wyciągnęła sweter z opornych rąk Emmy. - No, to co myślisz? Nie masz Jeszcze dosyć Teddy'ego? Pogadać z Sebastianem o tej robocie?

- Nie! - Zabrzmiało to dużo głośniejszym, niż zamierzała.

- Nie - powtórzyła spokojniejszym tonem. - To byłaby tylko strata czasu.

Ku rozczarowaniu Emmy, Coral bynajmniej się nie upierała przy swej propozycji.

- Może masz rację. Sebastian i tak jest dzisiaj wściekły, zwłaszcza odkąd przeczytał gazetę. W każdym razie lepiej będzie trochę zaczekać.

- Naprawdę nie ma na co czekać... A jaką gazetę?

Coral westchnęła, ściągnęła przez głowę u mazany czerwona farbą pulower i rzuciła go na podłogę.

- To ci cholerni reporterzy. Teddy ich wcale nie ugłaskał, co mnie zresztą specjalnie nie dziwi, I dzisiaj sobie na nas użyli. W gazecie jest wielki artykuł ze zdjęciami na temat tragedii towarzyszących od początku kariery Sebastiana. Moim zdaniem, nikogo nie powinno to wszystko obchodzić, ale sama wiesz, jak to jest z gazetami. Nikogo nie oszczędzą.

- Powiedziałaś, że są tam zdjęcia?

- No tak, zdjęcia - odparła Coral, ściągając spodnie i zakładając dres Emmy. - Jest nawet wasze wspólne zdjęcie. Trochę niewyraźne, bo było robione z daleka, ale całkiem... hm, jakby to ująć...

Na myśl o tym, że na pierwszej stronie popołudniówki znajdzie się jej zdjęcie z Sebastianem, Emmie zrobiło się słabo. Czy to możliwe, żeby ktoś oprócz nich dwojga był nocą w teatrze?

- Nie mam pojęcia, jak to ująć. Powiedz sama.

- Romantyczne - zdecydowała się wreszcie Coral.
- Pamiętasz, to było zaraz potem, jak upadłaś. Sebastian trzyma cię w ramionach i patrzycie sobie w oczy z prawdziwym napięciem. No, oczywiście, to, co im powiedziałaś, to jeszcze inna historia...

- Co ja powiedziałam? - wykrzyknęła Emma. - Przecież ja z nikim nie rozmawiałam. Powiedziałam im tylko, żeby się stąd wynieśli.

Coral spojrzała na nią życzliwiej.

- Też mi się tak wydawało. No, w każdym razie oni tam cytują Jakieś twoje wypowiedzi na temat Branda i Idących w ślad za nim nieszczęść. Boję się, że Sebastian w ogóle się nie zorientował, że te cytaty trącą raczej stylem Teddy'ego niż twoim. W każdym razie, oczywiście lepiej będzie trochę poczekać z tą rozmową na temat waszego wyjazdu do Anglii.

- Nie jadę z nim do żadnej Anglii! - krzyknęła Emma. I w tej chwili wiedziała już, że nie ma na świecie rzeczy, której by bardziej pragnęła.

- Może po prostu przylecisz później, jak już będziemy na miejscu - rzekła pojednawczo Coral. - Już Ja się

0to postaram. Dzięki za ciuchy. Wydaje mi się, że całkiem mi w nich nieźle. - Obróciła się zadowolona przed lustrem i dorzuciła: - Boże, co ja bym dała, żeby mieć twoją figurę. Wy, Amerykanki, jesteście takie wysokie

I macie we krwi jakąś taką szczególną grację. Dlaczego ja nie mogłam się tu urodzić?

I zanim Emma zdołała wyrazić swoje zdumienie, Coral zniknęła. Emma patrzyła za nią, nie rozumiejąc. Coral była dla niej zaskakująco miła i zadziwiająco życzliwa, ale, gdy mówiła, że zazdrości jej urody, wydała się Emmie niespełna rozumu. A w dodatku, najwyraźniej była w ciąży. Teddy, który nie miał o tym pojęcia, obrażał siebie, że ich współpracą obliczona jest na lata,

a tymczasem dla Gorał była to, w najlepszym razie, kwestia kilku miesięcy.

Nie zastanawiała się jednak nad tym długo. Czuła, że najważniejsza jest sprawa wywiadu w gazecie. Postanowiła natychmiast odszukać Sebastiana.

Znalazła go siedzącego samotnie na widowni, pogrążonego w lekturze grubego rękopisu. Wiedziała, że Sebastian świetnie czuje jej obecność, choć nie daje tego po sobie poznać. To była jedna z najgorszych chwil w jej życiu, tak stać nad nim i czekać bezradnie, aż ją w końcu zechce zauważyć. Na jego dłoniach, na palcach, które pieściły ją w nocy, zauważyła ślady farby, a tymczasem traktował ją teraz jak powietrze. Nie mogła tego znieść. Odwróciła się, pragnąc czym prędzej odejść, i wtedy Sebastian podniósł głowę.

- Chciałaś czegoś? - zapytał lodowatym tonem.

Patrzył na nią takim wzrokiem, że Emma poczuła.

Jak serce w niej zamiera.

- Nie - odparła czując, że głos więźnie Jej w gardle, i ruszyła z powrotem ku wyjściu.

- A może jeszcze parę historyjek dla prasy? Może jakieś pikantne szczegóły z ostatniej nocy, co? Na pewno chętnie to kupił

Odwróciła się do niego.

- Z nikim nie rozmawiałam, rozumiesz?!

- Daruj, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć.

Powinna była odejść wcześniej, kiedy Jeszcze mogła się na to zdobyć. Teraz zależało jej już tylko na tym, żeby jej uwierzył.

- Sebastian, ja naprawdę...

Dotknęła jego ramienia i poczuła, jak jego stalowe mięśnie mimowolnie się napinają. Sądziła, że odtrąci jej rękę, ale tylko spojrział na nią z taką obojętnością, jakby miał do czynienia z kimś zupełnie obcym.

- Cały kłopot w tym - powiedział niemal uprzejmie - że ci za grosz nie ufam.

Cofnęła dłoń, jakby się sparzyła i szybko odwróciła twarz, aby ukryć łzy. Na oślep ruszyła ku drzwiom, gdy dogonił ją gromki głos Teddy"ego.

- Sebastian, pozwól na scenę. A ty, Emmo, wracaj do siebie. Weź się wreszcie za jakąś pożyteczną robotę. I tak już nam wszystkim nieźle dołożyłaś tym wczorajszym wywiadem.

Emma spojrzała na niego z wściekłością. W końcu to on był jedyną osobą, która rozmawiała z dziennikarzami. Patrzyła, jak Sebastian wstaje i, nie rzuciwszy jej nawet jednego spojrzenia, oddala się w stronę sceny.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nareszcie nie brakowało jej pracy. Po sensacyjnym artykule telefony po prostu się urywały. Wszyscy chcieli rezerwować bilety. Wydawało się, że nagle mieszkańcy St. Bart nie marzą o niczym innym, tylko o ujrzaniu pechowego gwiazdora na własne oczy. Nawet dostawcy, którzy ostatnio coraz natrzczywiej dopominali się o pieniądze, zaczęli sprawiać wrażenie życzliwych mecenasów, zainteresowanych tylko popieraniem sztuki.

Dopiero późnym popołudniem Emma znalazła chwilę czasu, żeby przeczytać artykuł, który narobił tyle zamieszania. W trakcie lektury poczuła, że robi Jej się niedobrze. Przypisywane jej wypowiedzi były głupie i wulgarne, a ich celem mogło być jedynie wzbudzenie podniecenia czytelników.

Już miała wyrzucić gazetę do kosza, kiedy Jej spojrzenie padło na zdjęcia. Coral miała rację. Choć fotografie były niezbyt wyraźne, Jedno nie ulegało wątpliwości: było w nich wyraźne, romantyczne napięcie. W sylwetce pochylonego nad nią Sebastiana było coś mrocz-

negó i niebezpiecznego. Ona sama natomiast patrzyła mu prosto w oczy, a jej spojrzenie było zupełnie jednoznaczne. Nikt, kto zobaczył to zdjęcie, nie mógł mieć wątpliwości, że Emma go po prostu kocha.

- SzeF panią woła - powiedział jakiś robotnik, wtykając głowę w drzwi.

Emma starannie złożyła gazetę i schowała do szuflady. Szare, niewyraźne zdjęcie było teraz dla niej jedyną, cenną pamiątką po tym wszystkim, co przeżyła z Sebastianem. Po bym wszystkim, przemknęło jej przez myśl, co bezpowrotnie minęło.

- Czego chce? - Emma wiedziała, że prędzej czy później czeka ją rozprawa z Teddym, ale w tej chwili nie miała na nią ochoty,

- Nic nie mówił. Prosił tylko, żeby pani przyszła na scenę.

Chciała spytać, czy jest jeszcze Sebastian, ale zrezygnowała. Nie miała najmniejszej chęci pokazywać komukolwiek, ile ten człowiek dla niej znaczy. Trudno, jeśli go spotka, spojrzy mu prosto w oczy. Ci cholemi dziennikarze z St. Bart mogą sobie myśleć, co chcą, lecz dla niej najważniejsze jest to, że nie ma się czego wstydić. Widownia była pusta i ciemna. Emma poczuła nagły przyływ lęku, tym bardziej niezrozumiały, że przecież od kilku dni przebywała w tym starym gmachu dzień i noc.

Powoli weszła po schodkach na scenę.

- Halo! - zawołała. - Jest tu ktoś?

Chciała pójść w stronę męskiej garderoby, lecz zatrzymała ją myśl, że może spotkać tam Sebastiana. Przypomniała sobie spojrzenie, jakim obdarzył ją rano i miała ochotę rozplakać się.

- Emma? - To nie był głos Tedóyego. Przez scenę zbliżała się do niej Coral. - Szukasz kogoś? Wszyscy już...

To, co zdarzyło się potem, przypominało koszmarny sen. Emma usłyszała złowieszczy trzask, uniosła wzrok i krzyknęła:

- Coral!

Za późno. Na scenę runęły z łoskotem urządzenia oświetlające. Emma rzuciła się w stronę aktorki, której na szczęście nie uderzył żaden z wielkich, ciężkich reflektorów. Coral leżała wśród rozbitego szkła, przygniecioną ramą, na której zawieszono były lampy. Nie ruszała się, jedynie ciche jęki zdradzały, że żyje. Emma zaczęła bezradnie szarpać metalową listwę, usiłując unieść szczątki konstrukcji i odsunąć je z poranionego przez okruchy szkła ciała Coral.

- Odsuń się - krzyknął nagle ktoś za jej plecami.

Poznała głos Sebastiana. Posłusznie odstepowała na bok, pozwalając Brandowi i Teddy'emu ściągnąć z Coral masywną ramę.

- Nie stój tak! - krzyknął Sebastian. - Zadzwoń po pogotowie.

Karetką przyjechała w ciągu paru minut. Stojąc w drzwiach prowadzących na zalaną deszczem ulicę, Emma patrzyła, jak Geoff ostrożnie znosi żonę do czekającego samochodu. Teddy chciał wsiąść z nimi, lecz Sebastian zatrzymał go i zatrzasnął drzwi.

- Nikogo im w tej chwili nie trzeba - powiedział zimnym, twardym głosem.

- Chciałem się tylko upewnić, że nic się jej nie stało. Czuję się odpowiedzialny...

- Tak? - zapytał Sebastian spokojniejszym tonem. - Ciekawe.

- Jadę do szpitala. - Teddy chciał odejść, lecz Sebastian przytrzymał go za ramię swoją żelazną ręką.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - powiedział tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie pozwoli

nikomu nachodzić swych przyjaciół. - Sam tam pojedę, a wy poczekajcie na mój telefon.

- Na pewno wszystko będzie dobrze. Mały wstrząs i parę zadrapań. - Teddy objął Emmę ramieniem.

Wywinęła się natychmiast spod jego ręki,

- Ale co z dzieckiem?

Sebastian przymrużył oczy.

- Skąd wiesz, że Goral jest w ciąży?

- Co?! W ciąży? - zawołał Teddy. - Przecież ja tak na nią liczyłem! To przedstawienie będzie szło przez lata! No, może i lepiej, że to się stało przez premierę. Znajdę jeszcze kogoś odpowiedniejszego na jej miejsce.

Emma spojrzała na niego ze zgrozą. Sebastian przez moment stał nieruchomo. Jakby się nad czymś zastanawiał.

- Dobry pomysł - powiedział po chwili spokojnym tonem. - Przy okazji rozejrzyj się za odpowiedniejszym potworem. - I bez pożegnania zniknął w mroku.

- Sukinsyn - powiedziała Emma.

- Nie zwracaj uwagi na jego chimery, kochanie - odparł Teddy, któremu najwyraźniej nie przyszło do głowy, że Emma miała na myśli jego. - On nie mówi tego na serio. Jutro sam tu wróci i poprosi, żebym o wszystkim zapomniał. Teraz jest w szoku i nie wie, co mówi.

- Nie bądź idiotą, Teddy - krzyknęła Emma. - Ta kobieta omal nie zginęła, a ty się martwisz tylko o swoje głupie przedstawienie.

- W moim przedstawieniu nie ma nic głupiego. Ta sztuka pokaże wszystkim, co potrafię. To będzie fundament mojej kariery. A ty nie powinnaś się wcale dziwić. Ostrzegalem cię i masz. Najpierw te schody, teraz to. Coral mogła zginąć na miejscu. - Teddy miał rzeczywście wylęknioną minę.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to nie był przy-

padek? Nie wygłupiaj się, Teddy. Wszyscy przecież przy tym byliśmy. Nie próbujesz mi chyba wmówić, że ktoś ukrywa się w teatrze i szykuje kolejne zasadzki.

- Czemu nie? - upierał się Teddy.

- A poza tym - powiedziała Emma - te reflektory spadły nie na mnie, ale na Coral. A nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jakiś wariat postanowił wymordować wszystkie kobiety w okolicy.

Teddy zrobił smutną minę.

- Boję się, że chodziło o ciebie. Zapominasz, kochanie, że Coral miała twoje ubrania. Ktoś, kto znajdował się nad sceną, mógł was po prostu pomylić.

Emmie zrobiło się zimno.

- Nie mów mi takich bzdur. Nie mów mi, że Coral mogła zginąć razem ze swoim dzieckiem z mojego powodu.

- Wcale nie z twojego, skarbie. Raczej z powodu kogoś, kto jest nie całkiem normalny. Kogoś, kto udaje, że cię kocha, a naprawdę...

- Nie mam ochoty tego słuchać - przerwała mu gwałtownie. - To, co wygadujesz, to są kompletne bzdury. Mam już tego dosyć, Teddy. Proszę cię, trzymaj się ode mnie z daleka.

Emma wróciła do teatru. Kiedy mijała robotników uprzątających scenę, przyszło jej do głowy, że razem z resztkami metalowej konstrukcji i odłamkami szkła znikną ostatnie ślady, które mogłyby odpowiedzieć na pytanie, czy wypadek Coral był naprawdę wypadkiem, czy też efektem czyjegoś szaleństwa. Jednego tylko była pewna: jeżeli ktokolwiek chciał jej spuścić na głowę ramę obwieszoną lampami, na pewno nie był to Sebastian.

W biurze była tylko przez moment. Wzięła torebkę i sprawdziła, czy są w niej kluczyki do samochodu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, myślała, i ten cholerny sa-

mochód w ogóle zapali, to zaraz będę u Sebastiana. Było Jej teraz wszystko jedno, co stanie się dalej z MGB. O siebie zaś się nie bała. Miała wrażenie, że nawet w najpodlejszych okolicach St. Bart nie grozi jej nic gorszego niż tu, w teatrze.

Samochód zapalił. O niczym więcej na razie nie myślała. Czuła, że musi porozmawiać z Sebastianem i wiedziała, że jedynym miejscem, gdzie go przedzej czy później spotka, jest stary dom przy wyludnionej ulicy.

A jednak, kiedy weszła po schodach i stanęła przed czarnymi, lśniącymi od deszczu drzwiami, przemknęło jej przez myśl, że może mimo wszystko Teddy ma rację. Może to prawda, że jakaś część duszy Sebastiana znajduje się we władzy potworów. I może tej nocy, kiedy byli w teatrze, tylko szczęśliwy przypadek uratował jej życie?

Spojrzała w ciemne okna. Dom nie dawał znaku życia. Sebastian był jeszcze z pewnością w szpitalu. Emma postanowiła zdać się na zrządzenie losu. Jeśli samochód zapali jeszcze raz, wtedy rzuci to wszystko i wyjedzie z St. Bart jeszcze tego wieczoru. Jeżeli nie zapali, wówczas stawi czoło losowi.

Ręce jej drżały, kiedy przekręcała klucz w stacyjce. Przez moment miała nadzieję, że silnik zapali, natychmiast jednak zakrzusił się i zgąsł.

- Potrzebuje pani pomocy?

Przerażona spojrzała na ulicę. Zza szyby spoglądała na nią surowa twarz policjanta.

- Wszystko w porządku - odparła.

- Problemy z silnikiem? - Mężczyzna za szybą odsunął czapkę znad oczu i spojrzał na nią zyczliwiej. - Nie powinna pani jeździć o tej porze, po takiej okolicy.

- Przyjechałam do znajomego.

- To pewnie do tego aktora. To ostatni człowiek, jaki

tu Jeszcze mieszka. Poza nim w tych ruderach nocują Już tylko bezdomni. Cała ta dzielnica czeka na wyburzenie.

- To niesamowite miejsce.

- No, nie zawsze tak tu wyglądało. - Policjant miał najwyraźniej ochotę na pogawędkę. - Patroluję ten rejon od trzydziestu lat. Pamiętam, jak ta ulica tętniła życiem. Teraz to wszystko diabli wzięli.

- Oprócz tego domu. - Emma rzuciła spojrzenie na posiadłość Sebastiana.

- Tak, oprócz tego domu - powtórzył policjant. - A z tym domem to też niezła historia.

- Jaka historia? - spytała niezbyt pewna, czy chce ją usłyszeć.

- Właściwie to nie gorsza niż z innymi domami w tej okolicy. Wie pani, to nigdy nie była specjalnie przyzwoita dzielnica, ale akurat ta historia trafiła do gazet. Pewnie dlatego o niej słyszał ten aktor. Jego prawnik kupił dla niego ten dom parę lat temu i teraz nikt nic nie może zrobić z tym miejscem.

- A ta historia?

- Mieszkała tu cała rodzina: matka, ojciec i ich dzieciak. Ten ojciec to był kawał łobuza i znęcał się nad nimi. No, ale wie pani, w tamtych czasach przepisy nie pozwalały się wtrącać w prywatne sprawy. Chyba że doszło do Jakiegoś wykroczenia. A już dzieciaki, to się traktowało jak przedmioty. No i jak rodzice wychodzili pić, to zamykali tego małego w garderobie. Raz pobili się na ulicy i wpadli pod samochód, no i oboje zginęli na miejscu. A ten chłopak przesiedział tydzień zamknięty w tej garderobie, zanim go ktoś znalazł.

- O Boże - wyszeptała Emma.

- Na szczęście, nic mu się nie stało - twarz policjanta rozjaśnił uśmiech. - Trafił do szpitala, a potem zjawił

się ktoś z rodziny, jakaś ciotka, chyba z Anglii, i zabrała go ze sobą. No, tak czy siak, ciarki przechodzą, jak o rym pomyśleć, że chłopak siedział przez tydzień w tej klitce, a jego rodzice leżeli w grobie.

- Straszne - powiedziała Emma. - Wpadnie pan na filiżankę kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję pani, ale muszę już iść. A pani niech tu uważa. Jakby się ktoś kręcił koło domu, to na pewno po nic dobrego. Pani wtedy przekręci 911, to ktoś tu zajrzy.

- Dobrze - odpowiedziała. Poczekała, aż policjant zniknie za rogiem, i powoli weszła na schody.

Kiedy nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły i znalazła się w ciemnym holu. Zostawiła za sobą otwarte drzwi i ruszyła w mrok. Zadzwoił telefon, a po chwili usłyszała głos Geoffa, nagrywający się na magnetofon.

- Z Coral wszystko w porządku. Dziecku też nic nie grozi. Tylko nie wiemy, gdzie ty się do diabła podlewasz. Dzwonię, bo Coral kazała ci powiedzieć, żebyś na siebie uważał. Ona ma znowu te swoje choleme przeżucia, ale może po prostu jest wystraszona.

Kiedy Emma odnalazła wreszcie telefon i podniosła słuchawkę, po drugiej stronie brzęczał już tylko sygnał. Stała zamyślona przy aparacie i zastanawiała się, gdzie może być Sebastian, skoro nie ma go w szpitalu, i co powinna zrobić w tej sytuacji.

Mogłaby zaparzyć sobie kawę, usiąść na kanapie i poczekać na niego. Mogłaby napalić w kominku, żeby zrobiło się trochę przytulniej. Mogłaby przynajmniej zamknąć drzwi wejściowe.

Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Jej wzrok powędrował na piętro i powoli ruszyła ku schodom. Wiedziała już, dlaczego pomimo remontu te jedne drzwi w całym domu zostały nietknięte. Kiedy stanęła na górze, mimo

panującego mroku nie miała wątpliwości, że drzwi do garderoby są szeroko otwarte.

Izdebka Sinobrodego, pomyślała i przystanęła na moment. Jaki był los ostatniej żony Sinobrodego? Na filmie została uratowana przez pięknego księcia. Na miłość boską, a jeśli to sam książę jest Sinobrodym?

Stała nieruchomo w ciemnościach, nasłuchując szumiącego na ulicy deszczu i tajemniczych skrzypnięć i szmerów, rozlegających się w starym, szykującym się do snu domu.

Wyteżając wzrok weszła w gęsty mrok, wypełniający niewielkie pomieszczenie.

Ciężkie drzwi same się za nią zamknęły i Emma znalazła się pośród atramentowej czerni. Odwróciła się i zaczęła w popłochu szukać klamki. Kiedy na nią wreszcie natrafiła i gwałtownie szarpnęła, serce w niej zamarło. Drzwi nie ustępowały, ktoś musiał przekreślić klucz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ogamał ją paniczny lęk. Zaczęła walić w drzwi, błagając tego, kto ją zamknął, aby pozwolił jej wyjść. Kimkolwiek jednak ów ktoś był, zniknął bez odpowiedzi. Kiedy się wreszcie uspokoiła i usiadła na podłodze, dom, ten tragiczny, straszny dom był pogrążony w ciszy.

Ze wszystkich sił starała się opanować lęk.

- No, cicho, dziewczyno - powiedziała głośno. Dźwięk własnego, zachrypniętego głosu dobrze jej zrobił. - Nigdy się nie bałaś ciemności, nigdy nie miałaś skłonności do klaustrofobli. To tylko garderoba. Ciasna, pusta garderoba. Żadne tam duchy, żadne potwory. - Przy tym ostatnim słowie głos jej się jednak załamał.

Przyszło jej namyśl, że może w garderobie jest jakaś lampka. Podniosła się i zaczęła obmacywać ściany. Ani śladu kontaktu. Pomyślała o chłopcu, siedzącym w tym pomieszczeniu całymi godzinami, całymi dniami, czekającym w ciemnościach na powrót rodziców, którzy tymczasem leżeli martwi. Ile razy tu siedział wcześniej? Ile miał lat, kiedy zaczęli go zamykać? Jak mogli być takimi potworami?

Ogamał ją gniew. Na myśl o bezbronnym dziecku, siedzącym godzinami w tej garderobie, poczuła się silna i dorosła. Ona przynajmniej nie ma wątpliwości, że prędzej czy później ktoś ją wypuści. Miała też dosyć rozumu, żeby zapanować nad wyobraźnią i nie bać się żadnych istot spoza tego świata.

Oparła się o ścianę, wsunęła ręce do kieszeni i krzyknęła z radości. Jej palce natknęły się na mały, kanciasty kształt. Pudełko z resztką zapalek.

Tylko trzy. Trzeba więc spożytkować je jak naj rozsądniej. Przede wszystkim chciała się rozejrzeć po więzieniu Sebastiana, chciała się przekonać, że ma rację, że nie ma powodu do lęku, bo wokół niej nie ma nic prócz pustych ścian.

Zapaliła zapalną i uniosła ją do góry. Teraz wiedziała, skąd pochodzą potwory Sebastiana.

Było ich pełno na ścianach i drzwiach, tak wysoko, jak tylko mógł sięgnąć ośmioletni chłopiec. Były nawet na podłodze. Przerażające, upiome stwory, nasmarowane dziecianną ręką. Rysunki były stare. W niektórych miejscach ktoś usiłował je zmyć, ale farba wgrzyła się w ścianę i zarysy postaci były rozpoznawalne.

Zapalną sparzyła jej palce. Emma upuściła ją na podłogę i na powrót znalazła się w ciemnościach. Gdy policjant opowiadał jej historię nieszczęsnego dziecka, wiedziała, że mówi o Sebastianie. Teraz wiedziała również, dlaczego grał rolę potworów. Zrozumiała, że nosi w sobie ogromny ładunek lęku, nagromadzonego w czasie niezliczonych godzin spędzonych samotnie w tej ciemnej klitce.

Usiadła w kącie i rozplakała się na głos. Płakała nad małym chłopcem, zranionym głębiej, niż ktokolwiek się mógł domyślać, i nad mężczyzną, zbyt zamkniętym w sobie, aby się przed kimkolwiek naprawdę otworzyć. Płakała wreszcie nad sobą i nad swoimi beznadziejnymi marzeniami.

Sebastian czuł się źle. Niepokój objawił się bólem w okolicach żołądka. Nie poszedł prosto do szpitala. Nie miał sił na przyjęcie kolejnych ciosów. Długo wahał się

samotnie po mokrych od deszczu ulicach, zastanawiając się nad wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Kiedy wreszcie dotarł do szpitala, Goral czuła się dobrze. Nogę miała w gipsie, skaleczenia opatrzone, dziecko było bezpieczne. Zostawił ją z Geoffem czując, że dobrze im zrobi, jeśli spędzą jakiś czas sami.

On też zresztą potrzebował samotności. Musiał przemyśleć na chłodno coś, co przyszło mu do głowy w drodze do szpitala. Jeśli Jego szalone domysły są prawdziwe, to wszyscy muszą się liczyć z poważnym niebezpieczeństwem.

A zwłaszcza Emma.

Nie chciał się o nią martwić. Nie chciał w ogóle o niej myśleć, ale los zadecydował Inaczej. Starał się trzymać od niej z dala, lecz to była tylko strata czasu. To, co ich łączyło, opierało się na jakimś głębokim pokrewieństwie dusz i walka z tym nie miała sensu.

Zostawił ją przed teatrem pełnym zasadzek. Zostawił ją z człowiekiem, do którego nie miał najmniejszego zaufania. Czuł, że ogarniają go szalone podejrzenia. Czuł, że musi się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, zanim cokolwiek zrobi. Być może powinien spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że to nie Teddy, ale on sam jest dla tej dziewczyny największym zagrożeniem.

Kiedy wyszedł ze szpitala, rozpadało się na dobre. Pod wpływem nagłego impulsu, ruszył w stronę teatru. Czuł, że nie może tak zostawić Emmy. Chciał ją zobaczyć, dotknąć, był nawet gotów z nią walczyć, jeśli będzie trzeba, ale nie miał wątpliwości, że musi znaleźć się przy niej.

Gmach był kompletnie pusty. W kącie sceny leżały resztki potłuczonych reflektorów. Zdał sobie sprawę z faktu, że jeśli ktokolwiek spowodował ten wypadek

umyślnie, to teraz już nie sposób ustalić winnego. Zresztą ludzie i tak uznają to po prostu za następne z serii nieszczęść, jakie miała ścierać Jego osoba. Dziwne, że dopóki nie przyjechał do St. Bart, nikt nie próbował układać jego losów w tak konsekwentny ciąg. Śmierć Sally Ryan była dla wszystkich szokiem, ale nikt nie widział w niej udziału fatum. Resztę opisanych wypadków można było zresztą określić jako, w najlepszym razie, mocno naciaganą. Sebastian nie był pewien, kto to wszystko wymyślił? Jakiś znudzony reporter? Czy... Teddy Winters?

Wspinając się po schodach był pewien, że znajdzie Emmę skuloną w śpiworze i pogrążoną we śnie. Na myśl o jej gorącym, nagim ciele poczuł przypływ pożądania i czułości. Otworzył drzwi i ku swemu zdumieniu stwierdził, że pokój, w którym sypiała Emma, jest pusty. Przez otwarte okno wpadał zimny deszcz. Sebastian poczuł nagły lęk.

Nie miał pojęcia, która może być godzina. Ale nie ulegało wątpliwości, że nieobecność Emmy może oznaczać tylko Jedno. Jest gdzieś z Teddym.

Starał się uspokoić. Wiedział, że po tym wszystkim, co powiedział dzisiaj rano, nie ma żadnego prawa do Emmy. Mogła iść tam, gdzie chciała i z kim chciała. Równie dobrze z Teddym Wintersem.

Po raz pierwszy zaczął się poważnie zastanawiać nad tym, co powiedział Tedd/emu w trakcie kłótni pod teatrem. Z jednej strony miał ochotę zostawić wszystko i wyjechać z St. Bart na zawsze, z drugiej czuł, że jeszcze nie skończył swojej walki z potworami. Wiedział, że dopóki tego nie zrobi, nigdy nie będzie naprawdę wolny.

Musiał przyznać, że w ciągu ostatniego miesiąca nie zbliżył się do zwycięstwa. Przeciwnie, uwikłał się w swo-

je obsesje bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Być może, pomyślał, nie nadszedł jeszcze czas.

Może zresztą nigdy to nie nastąpi. Powinien po prostu sprzedać ten dom, wyjechać i nigdy nie wracać. Być może, kiedy cały budynek zostanie zrównany z ziemią, a Jego tajemnice przemienia się w stertę gruzu, będzie naprawdę wolny. Stara garderoba, wypełniona dziecinnymi rysunkami, wreszcie przestanie istnieć.

Nie od dziś podejrzewał, że to jest jedyne wyjście. Nie był jedynie pewien, czy potrafi się zdobyć na taki krok.

Nie miał natomiast wątpliwości, że nie powinien szukać Teddy'ego i Emmy. Bał się wystąpić w roli zazdrosnego kochanka. Farsa nigdy nie była jego specjalnością. A co do Emmy Milsom, pomyślał, to najlepiej będzie, jeśli wreszcie wsiądzie do tego cholemnego grata i raz na zawsze zniknie z jego życia.

A jeśli tego nie robi, to co? Trudno, każdy musi sobie sam radzić w życiu. Ona też.

A jednak przez cały czas nie mógł się otrząsnąć z uczucia wewnętrznego niepokoju.

W pierwszej chwili nie zauważył jej samochodu. Wsiadł z taksówki i wbiegł po schodach. Dopiero na widok otwartych na oścież drzwi rozejrzał się po ulicy i dostrzegł jedyną w swoim rodzaju sylwetkę MG, zaparkowanego naprzeciw domu.

W pierwszym momencie poczuł przypływ naglej, przejmującej radości. Nie poszła nigdzie z Teddym. Czekala tu, w jego domu. Czekala na niego. Ale zaraz potem powrócił niepokój. Sebastian wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się wokół.

Nigdzie nie było śladu Emmy. Ekspres był lodowato zimny, na kominku leżały wygasłe polana. Przemknęło mu przez myśl, że może czeka na niego w łóżku.

Wspiął się po schodach. Nie zapalając światła, podszedł do łóżka. Było puste.

Poczuł, że ogarnia go wściekłość. Gdzież ona może być, do diabła!? Siedzi w samochodzie, tak jak poprzednio? Ale przecież drzwi były otwarte, światła zapalone, więc co się z nią mogło stać?

I nagle zrozumiał. Czując rosnące przerażenie, skierował się prosto do garderoby.

Drzwi były zamknięte, a w zamku nie było klucza. Zastukał.

- Emma? - zawołał, nie mogąc zapanować nad panicznym lekiem. - Emma?

Wtedy Ją usłyszał. Cichy szloch, który go dobiegł, przeszył mu serce wspomnieniem dzieciństwa.

- Emma! - krzyknął. - Poczekaj moment, nie mogę znaleźć klucza!

- Sebastian? - Głos Emmy drżał. - Wypuść mnie stąd!

Uderzył ramieniem w drzwi, Z zaskakującą łatwością ustąpiły, pękając z trzaskiem. Emma leżała skulona w kącie, nakrywając rękami głowę, otoczona przez jego rysunki, przez talizmany, które zawsze broniły go przed atakiem potworów.

Podniósł ją z ziemi, przytulił i kołysał w ramionach, całując jej mokre policzki, czoło i oczy. Szeptał jej, co tylko mu przyszło na myśl. Mówił, że wszystko już minęło, że jest bezpieczna, że ją kocha i że nigdy nikomu nie pozwoli Jej skrzywdzić.

Emma uspokajała się powoli. Przestała szlochać i tylko od czasu Jej ciałem wstrząsał spazm. Sebastian patrzył na nią zszokowany, rozpoznając w jej lękach własne dziecinne strachy. A zarazem poczuł, że on sam nie jest Już dłużej dzieckiem, lecz dorosłym mężczyzną. Miał wrażenie, że rozbijając jednym ciosem drzwi do garderoby zdobył nad potworami nagłą przewagę. Uświadomił

sobie, że nie Jest już zamkniętym, bezradnym dzieckiem, ale silnym, dorosłym mężczyzną.

Kiedy wodził ustami po policzku Emmy, niespodzianie uniosła głowę, szukając Jego warg. W pierwszej chwili w ich pieścizotach więcej było czułości niż pożądania, lecz wkrótce oboje poczuli to samo niezwykłe, głębokie napięcie, które połączyło ich poprzedniej nocy.

Sebastian delikatnie ułożył ją na łóżku, nie przestając jej całować. Emma odwzajemniała jego pocałunki. Jedną rękę wsunęła w jego włosy, drugą zaczęła rozpinąć mu koszulę. Oboje tęsknili za dotykiem swoich nagich ciał. Sebastian całował jej twarz, potem szyję, uniósł w górę sweter i dotarł do piersi. Emma wysunęła palce z jego włosów, ściągnęła miękki sweter i rzuciła go w otaczający ich mrok. Ciemność nie była Już wroga i niebezpieczna, spowijała teraz kochanków i skrywała ich opętaną miłość przed całym światem.

Później leżeli przytuleni do siebie marząc, by ta chwila zamieniła się w wieczność.

- Co się właściwie stało? - spytał wreszcie Sebastian.

- Nie mam pojęcia. Przyszłam tu, bo chciałam z tobą porozmawiać. Dom był pusty, albo tak mi się przynajmniej wydawało. - Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. - Weszłam na górę i drzwi do garderoby były otwarte. 1... zajrzałam do środka.

- Izdebka Sinobrodego - powiedział Sebastian z ironią w głosie. - A czy nie widziałas nikogo na ulicy?

- Tylko policjanta, takiego starszego.

- To Joe. On tutaj Jest od początku świata. Tak mi przynajmniej mówił.

Emma zawahała się przez moment.

- On jest bardzo rozmowny.
- Aha. Domyślałam się, że w takim razie nie mam już przed tobą tajemnic?
- Nie mam pojęcia, jakie możesz mleć jeszcze tajemnice - odparła. - Teraz zastanawiam się tylko, jak oni mogli ci to zrobić? Jak to możliwe, żeby rodzice mogli coś takiego zrobić własnemu dziecku? Jak...
Sebastian położył jej palec na ustach.
- Cicho. To wszystko już się nie liczy - powiedział.
- To już dawno minęło. I tak miałem więcej szczęścia niż inni.
- Więcej szczęścia? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Tak. Jako dziecko wypracowałem sobie własną terapię. Widziałaś te wszystkie potwory na ścianach garderoby? Broniły mnie przed atakami lęku. Kiedy dorosłem, nauczyłem się wykorzystywać potwory, zamieszkiwać w nich. Dzięki temu nie mogą mi nic zrobić. Tyle przynajmniej powiedziała mi za grube pieniądze terapeutka.
- I co ty na to?
- Ja? Powiedziałem „dziękuję pani uprzejmie”, zapłaciłem, co miałem zapłacić, i wróciłem do pracy.
- To wszystko?
- Nie całkiem. Dodała jeszcze, że prędzej czy później będę musiał wrócić do swojej przeszłości i stawić potworom czoło w otwartej walce. Inaczej będą mi towarzyszyły do końca życia.
- Wydaje mi się, że ta kobieta zasłużyła sobie na każdego pensa, jakiego jej zapłaciłeś - powiedziała Emma.
- To dlatego tu przyjechałeś? Żeby stawić czoło potworom z dzieciństwa?
- Tak.
- Położyła głowę na jego piersi i Sebastian poczuł, że z oczu Emmy znowu płyną łzy.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptała. - Nie mogę uwierzyć, że on był do tego zdolny.

- Kto?

- Twój ojciec.

Sebastian poczuł, jakby nagle przetoczyła się po nim ciężka fala. Przytulił Emmę mocniej i powiedział:

- Słuchaj, kochanie, mój ojciec był uczciwym, porządnym człowiekiem. Robił, co mógł, ale po prostu nie mógł sobie z nią poradzić. To nie on. To matka.

Emma przyjęła tę rewelację ze stoickim spokojem.

- To dlatego... - zaczęła po chwili, ale urwała nie wiedząc, jak skończyć.

- To dlatego byłem taki podły wobec ciebie, tak?

- dokończył za nią Sebastian. - Ponieważ nienawidziłem swojej matki, a teraz nienawidzę wszystkich kobiet? Nie, kochanie. Z rym dałem sobie radę Już dawno. Byłem podły, bo jestem nieszczęsnym, nikczemnym głupcem, który niczego nie boi się bardziej niż tego, że mógłby kogoś pokochać.

- Sebastianie...

- Ani słowa więcej - powiedział i zakrył jej usta dłonią. - Resztą zajmijmy się rano, łącznie z tym, kto cię zamknął w tej cholernej garderobie. Teraz pora spać.

- Sebastianie... - zaczęła Jeszcze raz, więc zamknął jej usta pocałunkiem. I od tej chwili nie było już mowy o dalszej rozmowie, ani zresztą o śnie.

Emma leżała skulona, czując przytulone do siebie gorące ciało Sebastiana, a na sobie lekką puchową koldrę. Śpiący mężczyzna obejmował ją ramieniem, a ona zastanawiała się nad wszystkim, co wydarzyło się tej nocy. Czowała, że coś podobnego Już nigdy więcej się między nimi nie powtórzy. Kiedy się rano przebudzą, Sebastian będzie się wstydził tego wszystkiego, co jej mówił, a ona

sama będzie się wstydziła swojej żalostnej bezradności i lęku. Teraz jeszcze wszystko trwało w cudownej harmonii, leżeli razem, zmęczeni i bliscy sobie tak, Jak tylko może być bliskich sobie dwoje ludzi.

Deszcz przestał padać, przez okna wpadało rozproszone światło latarni. W głębi pomieszczenia wisiały na wykręconych zawiasach czarne drzwi do garderoby, niczym mroczne wspomnienie godzin lęku i udręki. Na samą myśl o tym Emma wtuliła się mocniej w ciało Sebastiana.

Dreczyło ją tyle pytań. Miała ciągle tyle wątpliwości. Tej nocy jeszcze wszystko to było od niej odległe. Bliski był Sebastian, bliskie było jego ciało, Jego ramiona. I tak miało być przynajmniej do rana...

Nagle Emma poderwała się, budząc swym ruchem Sebastiana.

- Co się stało?
- Usłyszałam coś dziwnego - zaczęła niepewnie.
- W starych domach słychać różne dziwne odgłosy - powiedział obojętnym tonem.
- To nie był taki dźwięk, jaki masz na myśli. I w dodatku ten zapach... - Emma usiadła gwałtownie na łóżku. - To przecież benzyna!

Sebastian w mgnieniu oka zerwał się z łóżka i sięgnął po spodnie.

- Ubieraj się! - zawołał.

Emma zbierała już swoje rzeczy, nie czekając na Jego zachętę.

- Co to jest? - rzuciła, wciągając przez głowę sweter.
- Dom się pali. Kompletnie zapomniałem...
- O czym? - Przed oczami stała Jej finałowa scena z „Dybuka”, w której Brand i towarzysząca mu aktorka giną wśród płomieni wznieconych przez potwora. - Sebastianie, coś ty zrobił? W tej samej chwili pożałowała swych słów. Mimo ciemności wyczuła, że Sebastian,

z którego jeszcze przed sekundą tryskała energia, zeszywniał i znieruchomiał.

- Co? - W jego głosie usłyszała ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, choć nie miała pojęcia, jakim.

- Przepraszam - powiedziała, ale nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Ruszaj się, Emmo - powiedział.

- Naprawdę, nie chciałam...

- Ruszaj się, na miłość boską! Szybko!

Ponieważ nadal siedziała bez ruchu, Sebastian powłókł ją za sobą przez pokój ku schodom. Przemknęło jej przez myśl, że ją zepchnie w dół, i wtedy właśnie w pokoju, za ich plecami, wybuchła ognista kula.

Cisnienie powietrza sprawiło, że oboje runęli ze schodów. Na parterze też szalał ogień, płomienie łapczywie pożerały stary, drewniany dom. Cała konstrukcja wydawała się trzeszczeć i pękać, a powietrze wypełniał gęsty, gryzący dym. Emma podbiegła do frontowych drzwi i szarpnęła za klamkę. Byli zamknięci na klucz.

Sebastian odepchnął ją, zrobił parę kroków w tył i staranował drzwi z rozpędu. Nie drgnęły. Spróbował jeszcze raz, a kiedy nie pomogło, zaklął.

- Musimy się dostać do okna! - krzyknął.

Jego twarz była napięta i twarda. Odblask płomieni sprawił, że Emma przypomniała sobie nagle wczorajszą noc i smugi czerwieni, pokrywające Jego ciało.

- Ale okna są tam - powiedziała bezradnie, wskazując na część pomieszczenia pogrążoną w płomieniach.

- Nie mamy wyboru - zawołał Sebastian, przekrzykując huk szalejącego ognia. Z daleka dobiegły ich dźwięki syren, ale pożar rozprzestrzenił się tak szybko, że nie było żadnej pewności, czy dożyją chwili, kiedy strażacy wyważą drzwi.

- Masz, owiń się! - zawołał, zdzierając z siebie koszulę.

- Nie! - odepchnęła jego rękę. - Poparzysz się.

- Przestań się kłócić!

- Załóż koszulę, bo się stąd nie ruszę.

Sebastian zaklął, wciągając koszulę na grzbiet i podał Emmie rękę.

- Chodź! - krzyknął i schwytał mocno jej dłoń.

Poczuła, że paraliżuje ją paniczny lęk, ale kiedy nią szarpnął, posłusznie ruszyła za nim w dym i płomień. Przez moment nie widziała i nie czuła nic prócz piekielnego żaru, potem usłyszała brzęk tłuczonego szkła i nagle wyładowała na szorstkim, twardym asfalcie.

Początkowo nie docierało do niej, co się dzieje. Czuła na sobie jakieś ręce, ktoś wyrwał ją z objęć Sebastiana, ktoś inny usiłował nałożyć jej na usta maskę tlenową. Szarpnęła się gwałtownie.

- Sebastian! - krzyknęła i otworzyła oczy.

Stał o parę kroków od niej. Miał skaleczoną dłoń, popaloną koszulę, a na jego zaczerwienionej od ognia twarzy malował się groźny wyraz.

- Emmol! Na miłość boską! Tak się o ciebie balem!

- Teddy wyciągnął do niej ramiona. Przez mgnienie oka poczuła pokusę odwzajemnienia jego uścisku. Teddy nie był groźny, Teddy by jej nie zranił, Teddy był normalnym, rozsądnym człowiekiem, którego duszy z pewnością nie zamieszkiwały potwory.

- Nie zbliżaj się do niego - usłyszała głos Sebastiana i poczuła, że żelazna ręka odciągają od Wintersa. Spojrzała na Sebastiana i skonstatowała, że jego pełne nieważności spojrzenie skierowane jest ku Teddy'emu.

- Nie wygłupiaj się, Sebastian - powiedział Teddy z ujmującym uśmiechem. - Gdybym nie przyjechał tu, żeby się upewnić, że Emmie nic się nie stało, to oboje

byście się żywcem upiekli w tej ruderze. Gdybym nie zadzwonił po straż...

- Gdybyś nie podpałił domu - głos Sebastiana był przesycony nienawiścią.

- Nie żartuj, stary. Ja przecież nie mówię, że to ty jesteś czemuś winny. Masz ostatnio pecha. Takie rzeczy każdemu się mogą zdarzyć. Naprawdę, nikt cię tu o nic nie wini. - Głos Teddy'ego był ciepły i przyjazny. - Nie wygłupiaj się. Puść Emmę, przecież nic się nie stało.

Sebastian spojrział Emmie w oczy. Dostrzegła w nich szaleńczą rozpacz.

- Wybieraj - powiedział twardym, ochryłym głosem.

Przez moment nie miała pojęcia, co robić. I nagle poczuła lęk. Sebastian mówił od rzeczy. Teddy nie mógł podpalić domu, był przecież normalnym, spokojnym człowiekiem, którego w przeciwieństwie do Branda nie nękały żadne potwory, żadne upiorne wspomnienia z dzieciństwa. Zresztą, jaki sens miałyby, gdyby próbował skrzywdzić swego najlepszego aktora?

Wahała się chwilę za długo.

- Jak chcesz - powiedział Sebastian bezbarwnym, martwym głosem. Odwrócił się i zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dokąd jedziemy? - spytała Emma, choć naprawdę było jej wszystko jedno. Z przyjemnością rozparła się na miękkim siedzeniu BMW i zamknęła oczy. Bolały ją oczy i gardło, stłuczona przy skoku z okna noga, i serce.

- Trzeba się tobą zająć, kochanie - powiedział Teddy. - Napijesz się czegoś, weźmiesz kąpiel, znajdziemy ci jakieś ubranie i poczujesz się jak nowo narodzona.

- Nie chcę jechać do ciebie do hotelu.

- Wiem, wiem. Nie mam zamiaru cię tam zabierać. Ostatnio nocowałeś w teatrze, prawda? Zawiozę cię do teatru.

Emma wcale nie była pewna, czy chce tam jechać. Miała poczucie, że przez swoje wahanie, przez brak wiary, straciła coś niezwykle cennego. Czuła się tak przygnębiona, że najchętniej zwinęłaby się w kłębek i umarła.

- No dobrze - powiedziała wreszcie zmęczonym głosem. - Ale ja wyjeżdżam, Teddy. Jutro rano.

Teddy nie oponował.

- Może tak będzie najlepiej. Lepiej, żeby cię tu nie było, dopóki kręci się tu ten Brand.

- Teddy. przestań mi wmawiać, że to Sebastian jest wszystkim winny.

- Przestań się oszukiwać, Emmo. - Teddy zatrzymał się przed tylnym wejściem do teatru i zgasił silnik. - Rozumiem, że jesteś w nim zakochana, ale nie możesz zamykać oczu na fakt, że ten facet jest niebezpieczny.

Za wiele wokół niego wypadków, za wiele nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. To wszystko jego sprawka. Te schody do piwnicy, te rozbite reflektory, no i ten pożar.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że Sebastian zostanie?

- Mamy żelazny kontrakt. - Ku zaskoczeniu Emmy, Teddy wysiadł pierwszy, okrążył auto i otworzył drzwi. - Poza tym jedyne, na co można liczyć w przypadku Branda, to jego profesjonalizm. On nigdy nie spóźnił się na próbę, a co dopiero mówić o zerwaniu kontraktu. Nawet gdyby chciał, to nie będzie w stanie rozwiązać umowy. Z czego zresztą wynika, że jedyne, co możemy zrobić, to rozstać się z tobą.

- Dziękuję za troskę - powiedziała czując, że nie stać jej na nic więcej poza sarkazmem.

Teatr był pusty, zimny i mroczny. W upiornym świetle połyskiwały szczątki rozbitych reflektorów. Emma podeszła do nich i nagle poczuła się słaba i wystraszona.

- On nie mógłby tego zrobić - powiedziała bardziej do siebie niż do Teddy'ego. - Nie mogę uwierzyć, żeby to Sebastian ukrywał się za tym wszystkim. Musiałby być szaleńcem, a ja wiem, że nie Jest.

- OJ, Emmo, Emmo. - Teddy objął ją ramieniem. - Ty kompletnie zwariowałaś na punkcie tego faceta. Musisz ochłonąć i spojrzeć na to wszystko z dystansu. Zrozum, kilka razy próbował cię zabić, zatrzasał cię w garderobie, próbował cię spalić żywcem. On musi żywić Jakąś paranoiczną nienawiść do kobiet, które go kochają. Myślę, że to wszystko sprawa jego relacji z matką.

Emma poczuła, że w Jej żołądku rośnie lodowata kula. Teddy wiedział, że była zamknięta w garderobie. Ponieważ nie usłyszał o tym ani od Sebastiana, ani od niej, to fakt ten można było wyjaśnić tylko w jeden sposób: sam musiał ją tam zamknąć. A Jeżeli tak, to...

- A co z jego matką? - spytała starając się zachować spokój.

Teddy wzruszył ramionami i uśmiechnął się czarująco.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale psychologia uczy, że wszystkie nasze problemy biorą się ze złych stosunków z matką.

Emma skupiała całą uwagę na tym, aby ukryć strach.

- Może masz rację - rzekła powoli.

- Poza tym, czy jest jakaś inna możliwość? Albo jest tak, jak mówię, co znaczy, że Sebastian żywi wobec ciebie ambiwalentne uczucia i jednocześnie próbuje cię i uwieść i zabić, albo mamy do czynienia z serią naprawdę niewiarygodnych przypadków.

- Jest jeszcze jedna możliwość.

- Jaka?

- Za tym wszystkim może się kryć ktoś zupełnie inny.

- Ale kto? - Teddy patrzył na Emmę z rozbijającą niewinną miną - Czy widzisz jakiś powód, dla którego ktoś jeszcze miałby chcieć cię skrzywdzić?

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie nie masz żadnego podejrzanego.
- Teddy uśmiechnął się słodko.

- Nie powiedziałabym. - Emma starała się zachować pozory spokoju. - Skąd wiedziałeś, że ktoś mnie zamknął w garderobie?

Teddy nie dał się zbić z tropu.

- To nie ty mi o tym powiedziałaś? - spytał z promiennym uśmiechem.

- Nie wiedział o tym nikt oprócz Sebastiana. I oprócz tego kogoś, kto mnie tam zamknął.

Teddy rozsiadł się na łóżku pośrodku sceny i spojrzał Emmie w oczy.

- No, to wpadłem.

Emma nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? - spytała.

- No cóż, gdybym próbował się wykręcać, to byłaby tylko strata czasu. Powiem ci coś, Emmo. Lubię gry. I tak się składa, że los obdarował mnie inteligencją. Skromnie mówiąc dużo, dużo większą, niż zwykłych śmiertelników. Więc lubię pociągać za sznurki i patrzeć, jak towarzystwo porusza się pod ich dyktando po scenie.

- I po to te wszystkie wypadki? Żeby nas wszystkich przestraszyć?

Emma nie była w stanie pojąć, jak to możliwe, by Winters mówił to wszystko takim pogodnym, zadowolonym z siebie tonem.

- Ależ broń Boże! Jak można podejrzewać mnie o coś takiego? Miałem bardzo konkretne powody, żeby to wszystko zaaranżować, tylko że wy wszyscy byliście za głupi, żeby je przejrzeć. Nie odniosłem zasłużonego sukcesu w Hollywood. No cóż, trudno. Ale moje „Potwory” pokażą światu, z kim ma do czynienia. Napisałem genialną sztukę, ściągnąłem najlepszych aktorów, zabrakło ml tylko jednego. Reklamy. Musiałem jakoś zwrócić uwagę dziennikarzy na to, co tu robimy.

- I to ty wymyśliłeś całą tę historię o kławie wiszącej nad Sebastianem? O iych wszystkich kobietach, poronionych albo zabitych w jego obecności?

- Naprawdę była tylko Sally Ryan. Zresztą, oni byli tylko znajomymi. No, ale sama wiesz, jacy są ludzie. Wystarczyło podpuścić paru dziennikarzy i już wszyscy się pchają na premierę. Jestem pewien, że sama w gruncie rzeczy przyznasz ml rację. Pozwolić, żeby „Potwory” przeszły nie zauważone, to byłaby zbrodnia. To

arcydzielo, które nada nowy kierunek literaturze i teatrowi. Zasluguje na każdą ofiarę.

- Na pewno nie na moje życie.

Teddy uśmiechnął się do niej z anielską cierpliwością.

- Każdemu byłoby trudno pogodzić się z taką myślą.

- Gdybyś tak nie sądził, to nie zadzwoniłbyś po straż pożarną. Musiałeś pożałować tego, że podpaliłeś dom.

- No, nie całkiem. Ja po prostu nie miałem pojęcia, że Jest z tobą Sebastian. Potrzebny mi był tragiczny wypadek, ale nie śmierć aktora, na którym stoi całe przedstawienie. Rozumiesz?

- Nic nie rozumiem. Wychodzę. Będziesz musiał sobie poszukać innej ofiary, Teddy.

- Ależ kochanie. - W głosie Teddy'ego zabrzmiała nuta szczerego żalu. - Boję się, że jesteś w błędzie.

Dopał ją zanim zdążyła zejść ze sceny. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki Jest silny. Szarpanina trwała tylko moment.

- Nie utrudniaj, skarbie - wysapał, wlokąc ją na środek sceny. - Żałuję, że muszę to zrobić, ale sama rozumiesz. To będzie świetna historia. Biedna dziewczyna, beznadziejnie zakochana w wielkim aktorze, wiesz się na scenie. Żeby zobaczyć to miejsce, ludzie będą się pchali drzwiami i oknami, a przy okazji docenią znakomitą grę Sebastiana. Jeśli nie dla mnie, to zrób to dla niego, koteczku.

Emma beznadziejnie zmagala się z przerastającym ją o głowę, silnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Teddy przewrócił ją na łóżko i przytrzymując jedną ręką, drugą zarzucił jej na szyję styczek sporządzonej z grubej liny. Emma szamotała się z nim nieprzytomnie...

- Puść ją, Winters! - Potężny głos Sebastiana, dobiegający gdzieś z widowni, sparaliżował na moment Teddy*ego.

Oboje z Emmą równocześnie przebiegli wzrokiem wielkie, mroczne wnętrze, w którym nikogo nie było widać.

- Nie bądź idiotą, Brand - odpowiedział spokojnie Winters. - Przecież ty musisz to zrozumieć. Wiadomo, że ludzie są za głupi, żeby się poznać na tym, co dobre. Trzeba Ich trochę podkręcić.

- Puść ją, do diabła! - Głos Sebastiana wydawał się dobiegać z tak daleka, że Emma poczuła nagły lęk, że nie zdoła jej uratować. Pocieszała ją jedynie myśl, że Sebastian, mimo że w niego zwątpiła, nie porzucił jej na pastwę losu.

- Zobaczysz, stary, tak będzie lepiej - odparł z niezmaconym spokojem Teddy i lina zacisnęła się na szyi Emmy.

Nagle, tuż obok sceny, rozległ się trzask otwieranych drzwi i jakiś głos wykrzyknął:

- Policja, Winters! Puść linę!

Ucisk liny nagle ustąpił i Emma upadła bezwładnie na łóżko. Rozciągając oburącz sztywną pętlę szlochala nieprzytomnie, niewiele rozumiejąc z tego, co działo się wokół niej. Pojawili się jacyś ludzie, ktoś zakładał Teddy'emu kajdanki, jakiś głos ostrzegał go, że cokolwiek odtąd powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu.

Wtedy dopiero zobaczyła nad sobą Sebastiana. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Twoje szczęście, że policjanci mają więcej oleju w głowie niż ty. Inaczej dyndałabyś teraz na środku sceny - powiedział. Potem odwrócił się od niej i odszedł.

- Emma, kochanie - wołał z przymilnym uśmiechem Teddy, którego policjanci prowadzili w stronę wyjścia. - Wiem, że rozumiesz i nie masz mi za złe. Prawda?

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

- Pomyśl sam, to będziesz wiedział - szepnęła Emma.

- Naprawdę, nie powinnaś sobie zadawać tyle trudu
- mówiła Coral jadąc na wózku przez międzynarodowe lotnisko w St. Bart. - Zwłaszcza że za chwilę sama masz samolot do domu.

- Drobiazg - mruknęła Emma.

Od aresztowania Teddy'ego Wintersa minęły trzy dni, teatr był zamknięty, realizacja przedstawienia zawieszona na czas nieokreślony. Teddy wyszedł za kaucją i z niezmałym spokojem udzielał wywiadów w prasie i w telewizji. Coral i Geoff wracali do Anglii. Po Sebastianie wszelki śluch zagał.

Emma nie mogła zrozumieć, dlaczego zwleka z powrotem do domu. Chyba tylko z powodu głupiej, niczym nie uzasadnionej nadziei, że Sebastian jeszcze się pojawi. Choćby po to, żeby powiedzieć, że było mu z nią miło w czasie kilku spędzonych razem chwil.

Ona nie mogłaby powiedzieć mu z czystym sumieniem tego samego. Dla niej przeżycia ostatnich dni były czymś wstrząsającym i przejmującym, czymś, co do głębi zmieniło jej duszę. Na pewno nie były po prostu miłe.

Teraz jednak, wraz z wyjazdem Coral i Geoffa, Emma nie miała powodu dłużej zwlekać. Raz po raz dzwoniła do niej matka, błagając, żeby wreszcie wróciła do domu. Dzwonili też przyjaciele i znajomi, jakby nagle nie mogli bez niej się obejść. Przedłużanie pobytu w St. Bart nie miało sensu. Emma postanowiła odprowadzić Coral i wracać.

- No, jest Geoff - powiedziała Coral, gdy zbliżyły się do stanowiska odlotów. - Sam - dodała niezadowolonym tonem.

- Przepraszam, kochanie, ale gdzieś poszedł - powiedział Geoff i schylił się, aby pocałować żonę. - Cześć, Emmo.

- Cześć, Geoff. Znowu chciałeś wystąpić w roli swata? - spytała Emma z rezygnacją. Czuliła ulgę, że nie ma z nimi Sebastiana. Wymuszone przez przyjaciół spotkanie byłoby dla niej jeszcze bardziej bolesne niż fakt, że najwyraźniej nie chciał jej w ogóle widzieć.

- Robię, co mogę, ale bez powodzenia. Jedź z nami do Anglii, Emmo. Coral potrzebuje towarzystwa, a tobie też nie zaszkodzi mała zmiana.

- To prawda - dorzuciła Coral. - Poza tym nie mam najmniejszej ochoty spędzać sześciu godzin z tymi dwoma wariatami.

- Z dwoma? - powtórzyła Emmy z pytaniem w głosie.

- Leci z nami Sebastian. Jeżeli zdąży - wyjaśnił Geoff. - Zniknął przed chwilą bez słowa.

- Nie żartuj sobie. Nie wyobrażam sobie, żeby Sebastian mógł się gdziekolwiek w życiu spóźnić - odezwała się Coral. - Na pewno zaraz tu będzie,

- Już Jest spóźniony - odparł Geoff spoglądając na zegarek. - No to co, Emmo? Lecimy?

W jego głosie było tyle nadziei, że Emma nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Oczywiście, że nie. Ale dziękuję za zaproszenie. Zresztą, nawet gdybym chciała z niego skorzystać, to nie mam przy sobie paszportu.

- Wrzuciłam go do twojej torebki, kiedy się ubierałaś - wtrąciła Coral. - Masz jeszcze Jakąś wymówkę?

- Po prostu nie chcę.

- Trudno. - Coral uściśniła dłoń Emmy. - Ale pamiętaj, nie wolno ci tego tak zostawić. Oboje tego potrzebujecie.

- Idzie - mruknął Geoff.

Emmę przebiegł dreszcz, niemniej odwróciła się w stronę, w którą patrzył Geoff, starając się ukryć poruszenie.

Sebastian był jak zwykle ubrany na czarno. Czarne spodnie, czarny podkoszulek i czarna płócienna marynarka. Miał zabandażowaną dłoń i ślady oparzeń na policzku. Wyglądał tak obco i obojętnie, że Emma miała ochotę się rozplakać.

Geoff wyszedł na spotkanie przyjaciela i zamienił z nim kilka słów. W tym momencie poproszono pasażerów pierwszej klasy o udanie się do wejścia na płytę lotniska. Geoff wrócił po wózek Coral, uśmiechnął się do Emmy porozumiewawczo i ruszył w stronę drzwi.

Emma śledziła ich wzrokiem. Patrząc na pasażerów ustawiających się posłusznie w kolejkę, zbierała w sobie siły na pożegnalne spotkanie z Sebastianem.

- Spóźnisz się na samolot - powiedziała wreszcie, odwracając się gwałtownie i patrząc w jego pełne skupienia, srebrzyste oczy.

- Nie - odpowiedział po prostu i Emma poczuła lęk, że odejdzie, zanim zdąży mu powiedzieć choćby cząstkę tego wszystkiego, o czym myślała nieustannie w ciągu ostatnich dni.

- Nie idź jeszcze - niemal krzyknęła.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Muszę ci wytłumaczyć...

- Nic mi nie musisz tłumaczyć.

- Ale chcę - powiedziała gwałtownie, - Zanim odejdziesz, chcę ci powiedzieć... - Poczuła, że ma mokre policzki i zorientowała się, że płacze. Zła na siebie, otarła łzy wierzchem dłoni. Nie miała najmniejszej ochoty budzić w nim litości. - Chcę cię przeprosić za to, że ci nie zaufałam. Naprawdę, bardzo tego żałuję. Ale zrozum. To, że cię kocham, nie znaczy, że potrafię czytać w twoich myślach.

Nigdy xnl nic nie tłumaczyłeś, nigdy mi nic nie powiedziałaś o swoich podejrzeniach. Możliwe, że i tak powinienam ci ufać. Nie potrafiłam. Trudno. Teraz tego żałuję, ale myślę, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- To wszystko, co chciałaś ml powiedzieć? - zapytał miękki, łagodnym tonem.

- Tak - odparła. - Może jeszcze to, że cię kocham, choć pewnie nie jest to taka doskonała miłość, jakiej ci potrzeba. - W głośnikach rozległ się głos po raz ostatni wzywający do wyjścia pasażerów lecących do Londynu.

- Idź już, bo się spóźnisz na ten cholerny samolot.

- Nigdy się nie spóźnię - odpowiedział łagodnie.

- Przyszedłem dopiero teraz, bo szukałem cię w teatrze. Wiesz, Emmo, ja też nie jestem doskonałym kochankiem. Ani nie umiem się otwierać przed ludźmi. Jeżeli coś ma z tego wyjść, to musisz mi pomóc. Emmo, kocham cię. Powiedz, czy chcesz mi pomóc?

Nie musiała się odzywać, bo Sebastian wyczytał odpowiedź w jej oczach. Objął ją i pocałował, i w tym pocałunku zawarło się wszystko, czego oboje nie umieli jeszcze nazwać, choć było dla nich w tej chwili najważniejsze na świecie.

Sebastian chwycił ją pod ramię i pociągnął w stronę wejścia na płytę.

- Nie mam biletu - zaprotestowała zaskoczona.

- Oczywiście, że masz. Kupiłem go, zanim pojechałem do teatru.

Sebastian wręczył kontrolerowi bilety i przytulił ją mocno. Mężczyzna przyjrzał się Im uważnie.

- Czy pan przypadkiem nie Jest tym aktorem? - zapytał. - Tym, co to zawsze gra potwory?

Sebastian spojrział Emmie w oczy i uśmiechnął się promiennie.

- Już chyba nie - powiedział. - Już nie.

Helen R. Myers

CZAROWNICA

Przełożyła
Alicja Dobrzańska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Palce miała poobcierane i bolały ją plecy od nadmiernego wysiłku, ale w końcu udało jej się usunąć ślady krwistoczerwonego pentagramu ze skrzynki na listy, którą musiała zdjąć z ogrodzenia. Wrzuciła druciak do miski z mydlinami i zobaczyła srebrzyste opiłki na krótko obciętym, nie polakierowanym paznokciu.

- Smarkacze - mruknęła pod nosem, otrzepując dłonie.

Była pewna, że to sprawka małych Garrettów. Zgoda, Inni też przysparzali jej kłopotów, ale ci dwaj bezustannie płatali figle, ona zaś, "miejskowa dziwaczka", była ich ulubionym celem. Na dodatek wybrali szminkę o odcieniu zadziwiająco podobnym do ulubionego koloru ich matki. Jak można stosować tak jaskrawy makijaż do bladej, ziemistej cery! Pani Garrett ma równie mało gustu, jak jej synowie wychowania.

Uśmiechnęła się do siebie i postanowiła bardzo starannie obmyślić zemstę. Powinna uderzyć nagle, ale z wyczuciem, by nie ściągnąć na siebie uwagi dorosłych. Casey i Tlm muszą jedynie zrozumieć, że posuwały się za daleko i że ona bardzo nie lubi, kiedy zakłóca się jej spokój.

Daleki odgłos sztormu, który zaczął się zaraz po zapadnięciu zmroku, przerwał jej rozmyślenia. Zima była za pasem i wkrótce nad północnym wybrzeżem rozszałeje się wiatr. Na razie jego wycie słychać było tylko w chwilach, gdy gwałtowne fale ulewy uderzały o dach Jej domku.

Gdyby nie ta pogoda, chętnie przespacerowałyby się po plaży, żeby odpocząć po długim dniu pracy w ogrodzie, gdzie okrywała ziola przed nadejściem chłódów. Teraz jednak trwał sztorm i była uwieczona w domu, trudno więc było odpędzić od siebie wspomnienia, wątpliwości... I strachy.

Przeszedł ją dreszcz, chociaż ubrana była w gruby, sięgający do połowy uda, zrobiony na drutach sweter. Spojrzała w stronę kominka. Nic dziwnego, że poczuła chłód, ogień właśnie gwałtownie przygasał. Podeszła do paleniska, przykucnęła i zaczęła poszturchiwać pogrzebaczem rozsypujące się, zwęglone kłody, a potem położyła na wierzchu dwie następne. Czują przyjemne ciepło żaru na twarzy i przymknęła oczy. Zupełnie Jak pieszczoty, pomyślała. Już od dawna nikt jej tak czule nie dotykał, jeszcze zanim przestała pragnąć, by w ogóle ktokolwiek z nią był. To przez Drewa.

Skrzywiła się. Najpierw Garrettowie, a teraz on. Niedobrze, że pozwoliła sobie na tak długie rozmyślanie o nieprzyjemnych sprawach. Odetchnęła głęboko i czekała, aż wróci spokój, a potem powoli otworzyła oczy. Ogień zajął już świeżo dołożone polana. Drżące, pomarańczowe i złote płomienie tańczyły i skręcały się między nimi, przykuwały wzrok.

Nagle serce zaczęło bić szybciej. Spośród płomieni wylaniał się jakiś obraz. Widziała coraz wyraźniej... Światła... przednie światła samochodu. Tak, to był samochód. Po chwili rozpoznała okolicę, miejsce odległe o kilkaset metrów od jej domu i starą szosę, biegnącą brzegiem morza.

Pojazd zbliżał się do zakrętu, a Jej serce zabiło mocniej, gdyż samochód nie zwalniał. Wyglądało to tak, jakby kierowca w ogóle nie próbował wchodzić w zakręt!

Usłyszała trzask rozpruhanego metalu, gdy auto przebijalo bariery ochronne, jakby byly zrobione z papieru. Przeszywajacy dzwiek wywolal bol i szok. Patrzyla, jak samochod przetacza sie przez urwisko i spada, zeglujac powoli w powietrzu coraz nizzej i nizzej, by na koniec zanurzyc sie w usianym sterczacymi skalami morzu.

- Nie - wyszeptala zrywajac sie, przerazona straszonym widokiem. - Nie mozesz tego zrobic. Nie wolno cii

Ulewa zaczynala slabnac, ale silny polnocny wiatr stracal wielkie krople z galazi drzew i zmuszal Huntera Thome'a, by mocno trzymal kierownice swojego BMW. Poskręcane drzewa, postrzepione urwisko i ta gwałtowna wrzesniowa wichura... To swiadczylo, ze na pewno znajduje sie w stanie Malne i za kilka minut dojedzie do Cliff Point. Piekly go oczy od patrzenia przez strugi deszczu zalewajace szybe, ale przede wszystkim czul, Jak trzesą mu sie rece, gdyz przez caly czas mial swiadowosc tego, ze bariera, która chroni go przed szalonym skokiem wprost w fale Atlantyku, wyglada wyjątkowo krucho.

A gdyby tak sie stalo? - zapytal sam siebie. Moze by wystawic swój los na próbe, pozwolíc wiatrowi zmiesc sie z urwiska? To chyba bylaby wielka ulga, miec wszystko za soba. A poza tym, czy ktos by za nim tesknil? Pomyslal, jak irytujacy i dokuczliwy musial byc przez ostatnie miesiace dla Carla i Evana, jak niedostatecznie wywiazywal sie ze swoich obowiazkow w pracy. Tak, Jego wspólnikom na pewno lepiej bedzie bez niego. A jezeli chodzi o ojca, to nie potrzeba wiecej dowodow, ze w ogole nie obchodzi go cierpienie syna. Nie, nie ma na swiecie nikogo, kto zmarwilby sie jego smiercia. Jego zas wlasne problemy zostalyby raz na zawsze rozwiązane.

Przestałby wreszcie wspominać tę noc, gdy wracał wieczorem po długim dniu pracy i natknął się na blokujące ulicę wozy strażackie i karetki pogotowia. Nie musiałby ponownie przeżywać paniki, którą czuł przedzierając się przez Hum gapiów, by wreszcie zobaczyć, że dym wydobywa się właśnie z jego mieszkania. Skończyłyby się męczące sny, w których znów widział dwa zawinięte ciała wnoszone do karetki i siebie, jak przebiega obok noszy z panią Oliver, by dopaść do swojej córeczki, swojej Cady.

Najważniejsze, że wyzwoliłoby go to od nieustannej żaloby. Już nie zamartwiałby się, że ona nigdy nie będzie obchodziła swych czwartych urodzin, że nie spróbuje Jazdy na łyżwach ani żeglowania, że nie pozna uczuć związanych z pierwszymi randkami, pierwszej miłości ani tego. Jak to jest mieć własne dziecko.

Tak, szybki koniec przerwie to, przez co życie wycieka z niego kropla po kropli. I nade wszystko nie będzie musiał znosić tej pogłębiającej się z dnia na dzień pułki. To było najgorsze. W takich chwilach czasami wydawało mu się, że słyszy Jakieś szepty, może oznaki zbliżającego się obłąkania.

Łzy zapiekły go pod powiekami. Hunter zamrugał i ze złością przetarł oczy. Zrób to, jeżeli tego chcesz, rzucił sobie wyzwanie. Przestań skomleć i wreszcie to zrób.

Trzymał kierownicę tak mocno, że poczuł pulsowanie krwi w rękach i zmrużył oczy utkwione w zbliżającym się zakręcie. Tam, poza zasięgiem świateł samochodu była otchłań: zapomnienie, jakiego pragnął. Tam może dołączyć do duchów żeglarzy, którzy płynąc za głosem syren wprowadzili swe okręty na podwodne skąty. Z nim jest Inaczej, jemu nie potrzeba kusi ■ cielki, by...

- Co, do...

To coś pojawiło się nagle, nie wiadomo skąd. Pomyślał, że może wzrok piata mu figle. Cień - nie, zastanowił się. To Jakaś postać dosłownie wyrosła z ciemności i przedzierała się przez barierę. Pewien, że pada ofiarą halucynacji, Hunter zaczął przecierać szybę i jednocześnie nacisnął hamulec. Żołądek natychmiast skurczył się, przyprawiając go niemal o mdłości, a on uświadomił sobie, że hamowanie w takich warunkach było fatalnym błędem.

Samochód wpadł w poślizg. Klnąc, szamotał się z kierownicą. Na chwilę udało się, ale znów stracił panowanie i pędził prosto w barierę. Odbił kierownicą w lewo i z trudem zdołał ominąć to coś, co zmusiło go do tych manewrów. Poczul, że samochód ześlizguje się z jezdnii i jeszcze raz ujrzał w przelocie niewyraźną, owiniętą całunem postać, jej upiornie bladą twarz i zakończone pazurami ręce, wyciągnięte w jego stronę. A potem całe pole widzenia wypełniło drzewo.

Uderzenie było tak nagłe, że nawet nie zdążył złapać oddechu. Rzuciło go do przodu, a pasy wpiły mu się w ramię i brzuch, wyciskając powietrze z płuc. Potem poleciał na lewą stronę, uderzył głową o goły metal i w uszach coś mu trzasnęło. W następnej sekundzie przed jego oczami eksplodowało oślepiająco białe światło.

Nie zważając na fakt, że wcześniej pozwolił sobie na igranie z własnym życiem, wyrzucił z siebie wianuszek dosadnych przekleństw. Podniósł rękę i wyczuł z lewej strony głowy guz, który osiągnął już wielkość piłeczki pingpongowej. Czy mu się to podobało, czy nie, miał wiele szczęścia. Nie wiedział tylko, czy dziękować za to losowi.

Samochód stał w dziwnym, pijanym przechyle, silnik grzechotał, jakby wrzucono go do młynka. Nie mogąc

tego dłużej słuchać, sięgnął do kluczyka i wyłączył stacyjkę. Nastąpiła błoga cisza, a on opadł z powrotem na siedzenie i czekał, aż wszystko w środku i na zewnątrz uspokoi się.

Co, do cholery, mógł tam wtedy zobaczyć? Odpiął pas, ostrożnie uniósł się, żeby wyjrzeć przez szybę i znów serce skoczyło mu do gardła.

To coś zbliżało się do niego.

Zamrugnął gwałtownie i przetarł oczy. Musi dziać się z nim coś złego. Nigdy przecież nie wierzył w duchy, nawet w dzieciństwie, chociaż z przyjemnością słuchał niesamowitych bajek. A teraz widział, że to coś w rozwianej wiatrem szacie rzeczywiście nadchodzi. Musiał szybko zdecydować, czy powinien tak siedzieć i czekać... Bóg Jeden wie, na co. Siegnął do klamki, spróbował otworzyć i skonstatował, że samochód jest tak przekrzywiony, iż niemożliwe jest wyjście przez drzwi po jego stronie. Znaczyło to, że musi wysiąść przez drugie drzwi, a tam już była owa dziwna, zakutana postać i otwierała je szarpnięciem. Poczul na twarzy ostre uderzenie rześkiego, wrześnieowego wiatru i ukłucie bólu w oczach, kiedy światło w suficie rozjaśniło wnętrze samochodu. Naraz opanowało go przedziwne uczucie ulgi, które jednak nie zmniejszyło jego zdziwienia.

- Bogu dzięki, zdążyłam.

- Co pani mówi? - Hunter gapił się na nią myśląc, że się przesłyszał.

- Nic się panu nie stało?

Nie, pomyślał patrząc w zniewalające oczy najpiękniejszej kobiety, jaką udało mu się w życiu zobaczyć. Coś jest nie tak, w przeciwnym razie jak wytłumaczyć obecność kogoś takiego w takim miejscu i w taką noc? Zsunęła z głowy kaptur staroświeckiej peleryny, która nadawała jej bezkształtny wygląd i zobaczył, że włosy

ma długie, faliste i równie czarne, jak jej opończa. Choć cerę miała jasną, niemal przezroczystą, w niczym nie przypominała wymagowanego ducha.

Owalna twarz, usta szerokie, ale kusząco miękkie, nos zarysowany wyraźnie, lecz przecież jakże kobiecy. Zafascynowały go jednak jej oczy. Patrząc w nie niemal zapomniał o wypadku, problemach, o wszystkim. Można by je nazwać uwodzicielskimi, gdyby nie współczujący i smutny wyraz, jaki gasił ich głębię. Miały szarzielony kolor, odcień lasu w pochmurny poranek, kiedy mgły snują się tuż nad ziemią, a obramowane były czarnymi jak smoła rzęsami, którym nie potrzeba tuszu, by uwydatnić ich gęstość i długość. Nieznajoma wyglądała na zaniepokojoną. Wyciągnęła rękę do jego czoła, ale natychmiast ją cofnęła.

- Mógł pan doznać wstrząsu mózgu - powiedziała.
- Powinam zaprowadzić pana do lekarza. Może pan chodzić, czy raczej wolałby pan, żebym sprowadziła pomoc?

Głos miała miękki i ciepły, co trochę rekompensowało fakt, że nie dane mu było poznać dotyku jej palców na swojej skórze. Dziwna to obserwacja, pomyślał, zważywszy jakim stał się ekspertem w unikaniu wszelkich kontaktów z ludźmi.

- To znaczy, że nie wypowie pani zakłęcia, żeby ktoś zjawił się w taki sam sposób jak pani? - spytał, niezupełnie jeszcze przytomny.

Jej oczy pociemniały, ubyło trochę ciepła.

- Zakłęcia są niebezpieczne. Nie powinno się z nimi igrzać, chyba że ktoś wie, co robi i o co naprawdę chce prosić.

- To miał być żart.

- Tak wszyscy mówią - powiedziała cofając się nieznacznie. - Niech pan zostanie.

- Nie, Ja mogę iść! - Wiedział, że to zabrzmiało bo-
jazliwie, ale nie przejmował się.

- Jest pan pewien? - spytała z wahaniem.

Nie jestem pewien niczego, pomyślał, i to jest najwię-
kszy problem. Oprócz tego, że kręciło mu się w głowie,
czuł się słaby jak niemowlę. Nie był też pewien Jasności
swego rozumowania. Czy ona mówiła serio o tych za-
klęciach? I dlaczego nie może przestać na nią patrzeć?
Jednej rzeczy za to był pewien - nie ma zamiaru stracić
jej z oczu.

- Niech mi pani tylko pozwoli wydostać się z tego
grata.

Czuł, że powiedział to niepotrzebnie burkliwym to-
nem, ale wciąż targały nim sprzeczne uczucia. Ze stłu-
mionym westchnieniem patrzył, jak kobieta nasuwa
kaptur na głowę i wysiada z samochodu. Wyłączył
światła i wysiadł za nią, podniósłszy wysoko kołnierz
płaszczka, by choć trochę ochronić się przed zimnem,
przejmującym wiatrem i kłującym deszczem. Nagle
skądś, zza obserwującej jego ruchy nieznanym, dole-
ciało dziwne, przejmujące wycie.

- Co to było, u diabła?

- Wiatr. Morze.

- Nie wydaje mi się. To jakby wilk.

- Chyba kręci się panu w głowie.

Był istotnie trochę oszołomiony, ale od tego się nie
głuchnie. Musiał jednak pochylić się, by usłyszeć ją po-
przez świst wiatru. Była średniego wzrostu, lecz przy
nim wydawała się niska. To jeszcze bardziej podkreśliło
niedorzeczność jej obecności w tym miejscu i całej sy-
tuacji.

- Niech pani mi coś powie - zaczął próbując zoba-
czyć jej twarz, niemal całkowicie ukrytą pod kapturem.

- Co pani tutaj robiła?

- Szlam,
- To szaleństwo. Przecież mogłem panią zabić!
- Czy byłoby lepiej, gdyby zabił pan siebie?

Przeszył go chłód. Oparł się o samochód czując, że nogi się pod nim uginają.

- Czym pani się zajmuje? Czytaniem w myślach w chwilach wolnych od naprowadzania ludzi na drzewa?

- Wydaje się panu, że trzeba aż czytać w myślach, żeby zobaczyć, co pan zamierzał?

- To nie pani sprawa. - Odwrócił wzrok, bardziej zakłopotany niż zły.

- Może ktoś chciał panu dać znak, że to jeszcze nie pora,

Hunter zadrzał i ciałniej otulił się płaszczem.

- Albo moim przeznaczeniem jest zapalenie płuc.

Wybawicielka stanęła tuż przy nim, położyła jego rękę na swoich barkach i opasała go ramieniem.

- Niech pan się o mnie oprze.

Roześmiałby się, gdyby tylko pamiętał, jak się to robi.

- Pani nie mówi poważnie?

- Jestem silna.

- W porównaniu z kim? - zapytał drwiąco.

Podniosła głowę i wtedy kaptur zsunął się na ramiona, a on znów zatracił się na chwilę w jej oczach. Ich tajemniczość była coraz bardziej intrygująca. Już prawie nie czuł lodowatego deszczu i błota oblepiającego mu nogi. Czuł raczej...

- Niech pan pozwoli mi sobie pomóc - poprosiła miękko. - Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

Jej druga ręka dotykała jego piersi. Chociaż rozum mówił mu, że niemożliwe jest, by mogła wyczuć cokolwiek przez kilka warstw ubrania, zastanawiał się, czy ona się domyśla, o jakie bicie serca przyprawiły go jej

niewinne słowa i jak bardzo pragnął, żeby wszystko było w porządku.

- Pod jednym warunkiem - powiedział zdławionym głosem obserwując. Jak jej spojrzenie wędruje po jego twarzy. Boże, dopomóż, pomyślał. Przecież ona może zahipnotyzować mnie tymi oczami. - Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa.

Czuł na sobie badawczy wzrok, jakby dotykały go niewidzialne palce w jedwabnej rękawiczce. Zastanawiał się, co ona widzi pod tradycyjnym wizerunkiem coraz bardziej przemoczonego prawnika. Czy może wiedzieć, że jego serce pękło i grozi mu rozsypanie na milion kawałków? Czy widzi te wszystkie zniweczone marzenia i poczucie winy trawiące jego duszę?

- Roanne. Roanne Lloyd Douglas.

Nazwisko wydało mu się staroświeckie, mądre i pełne wdzięku. Odetchnął głęboko i bezgłośnie delektował się tymi trzema słowami. Czy uznałaby go za szalonego, gdyby zwierzył się, jak rozpaczliwie potrzebuje odrobiny wdzięku w swoim życiu?

- Jechałem do posiadłości Thorne'ów. - Teraz jego spojrzenie wędrowało po jej bladej twarzy. - Czy pani wie, gdzie to jest?

- Dom Lelanda Thorne'a? Wszyscy to wiedzą. Ale on raczej nie przyjmuje gości.

- Nie jestem gościem. Jestem jego synem.

- Jakie to dziwne... Nie wiedziałam, żeby miał syna.

- Nie widziała pani? - spytał Hunter, ponownie czując się zamroczony.

- To przejęzyczenie. Chciałam powiedzieć, że nie wiedziałam.

- Nie utrzymujemy żadnych stosunków.

- Dlaczego?

Gdyby spytał o to ktokolwiek inny, odpowiedziałby, że to nie jego sprawa. Ale Roanne Lloyd Douglas wyzwała w nim niezwykłą szczerłość.

- Wygląda na to, że nie potrafimy się porozumieć. Ale to długa historia.

- I bolesna.

Rozejrzał się i zobaczył, że doszli do jezdni. Kiedy i w Jaki sposób sprawiła, że zaczął iść?

- Czy to tak bardzo widać? - zapytał, coraz bardziej oszołomiony i zaintrygowany tą dziwną kobietą.

- Ból przemawia w uniwersalnym języku, proszę pana.

- Mam na imię Hunter.

Nic nie odpowiedziała, lecz wcale tego od niej nie oczekiwał. Wkrótce znaleźli się na zakręcie i dostrzegł niewielki snop światła, oznaczający, że dochodzą do Cliff Point. Pomyślał, że nie powinien już dłużej jej fatygować. Zawroty głowy osłabły, jakkolwiek wciąż czuł się, jakby przeniesiono go na inny poziom świadomości.

- Czy nikt nie będzie zaniepokojony, że tak późno wraca pani do domu? - spytał nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości.

- Nikt. Jestem wdową.

Zawstydziła go trochę ta otwartość, gdyż nie był do końca uczciwy, w ten sposób stawiając pytanie.

- Od jak dawna?

- Dwa lata. A jak dawno temu pan kogoś stracił?

Znów przeszył go zimny dreszcz. Jej przenikliwość była wprost niesamowita.

- Ja nie straciłem żony. To znaczy w pewnym sensie tak, bo rozwiędliśmy się kilka lat temu i dla żadnego z nas nie było to tragedią. To moja córeczka... - Jak zwykle, ilekroć wspominał Gady, gardło mu się ścisnęło i nie mógł dokończyć zdania.

- To wszystko wyjaśnia.
- Co?
- Że miał pan straszne przeżycia.

Powiedziała to z takim przekonaniem i współczuciem, że miał ochotę wybuchnąć płaczem. Nagle poczuł, że chce się z nią tym wszystkim podzielić.

- To było rok i dwa miesiące temu i od tej pory powoli odchodzę od zmysłów. Czasami wydaje mi się, że nie ma powodu ciągnąć tego dłużej.

- Właśnie wtedy musi pan brać się w garść i trzymać kurczowo życia.

- Po co?

- Konieczne jest tu założenie, że życie jest warte życia bez względu na to, jakie jest.

- Pani się to udaje?

~ Próbuję. Czasami wychodzi lepiej, czasami gorzej.

- Obawiam się, że w moim przypadku takie proste recepty nie skutkują.

- I wydaje się panu, że najłatwiejsze wyjście byłoby najlepsze? Pan jest zbyt silnym człowiekiem, żeby myśleć o samouniemożliwieniu.

Ogarnął go gniew. Był już zmęczony ludźmi, którzy mówili co ma, a czego nie ma odczuwać i co powinien myśleć. Odwrócił się i schwycił ją za ramię.

- Pani nie wie najważniejszej rzeczy...

Ciche warknięcie, które rozległo się o kilka metrów dalej, zamknęło mu usta.

- Mój Boże, czy dobrze się domyślam? - zapytał wpatrując się w ciemność i żonę.

- Nie.

- Może wiatr, co? - wycedził pamiętając, jak zbyła Jego wcześniejsze pytanie. - A jak to pani nazwie?

- To przyjaciół. Pontus, spokojnie - powiedziała miękko do czworonożnego stworzenia, które majaczyło w mro-

ku. - Jeżeli nie zrobi pan żadnego gwałtownego ruchu, on nie zaatakuję. Po prostu chciał mnie bronić. Chodźmy.

~ Dlaczego nie powiedziała pani, że ma pani psa?
- zapytał, nie bez wahania odwracając się tyłem do wielkiej bestii.

- To nie całkiem jest pies, a już na pewno nie mój.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że ma w sobie coś z wilka, jak pan się domyślił, a należy do siebie samego,

- On... To wszystko robi się coraz bardziej niesamowite.

- Potrzebuje pan odpoczynku, to wszystko.

Zaczynał się zastanawiać, czy już w tej chwili nie odpoczywa i czy za chwilę nie obudzi się w łóżku, by stwierdzić, że to był jedynie sen. Przez pewien czas szli w milczeniu i w końcu Hunter westchnął.

- Przepraszam, że tak naskoczyłem na panią. To nie było zamierzone.

- Wiem.

- Zaczynam wierzyć, że naprawdę pani to wie. I na dodatek cholernie dużo więcej. Pytanie tylko: skąd?

- Intuicja. Jest wielką siłą. Powinien pan spróbować bardziej zaufać swojej. - Zatrzymała się. - Jesteśmy na miejscu.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył, że tak jest w istocie. Stali przy bramie prowadzącej do posiadłości jego ojca. Za ogrodzeniem widniał dwupiętrowy, skromny dom z cegły. Światło na piętrze wskazywało, że ojciec jeszcze nie śpi. Poczuł nagle wątpliwości, czy w ogóle zostanie zaproszony do środka.

- Czy pan na pewno zadzwoni po lekarza? - spytała Roanne zostając z tyłu, podczas gdy on podchodził do dzwonka, - Tę ranę należy obejrzeć.

- Mój ojciec powiedziałby pani, że mam zbyt grubą czaszkę, żeby stało mi się coś poważnego - powiedział Hunter powoli, ociągając się z naciśnięciem przycisku. Czy ta kobieta jest tajemnicza, czy nie, powinna dostać teraz coś ciepłego do picia i osuszyć się. Z drugiej strony nie wypada jej zmuszać, by była świadkiem snu, jakie niechybnie nastąpi, gdy tylko ta brama stanie otworem.

W końcu zwyciężył egoizm. Nie był w stanie pożegnać się z nią, w każdym razie jeszcze nie teraz.

- Myślę, że dobrze by nam zrobił - zaczął, naciskając przycisk - łyk brandy, żeby... - Odwrócił się do niej i zapomniał, co chciał powiedzieć, ponieważ kobieta zniknęła. Ale gdzie? W jaki sposób? W ogóle nie słyszał jej kroków. - Roanne?

Odszedł kilka kroków od bramy, ale został zatrzymany przez to zwierzę, które ona nazywała Pontusem, a które tak zlewało się z mrokiem, że widać było tylko oczy. Bestia wydała jeszcze jedno warknięcie, okrążyła go i zniknęła w ciemnościach.

- O co chodzi?

Tym razem warknięcie człowieka ruszyło go z miejsca. Spojrzał przez ramię na ścianę, gdzie umieszczony był głośnik, a następnie ponownie na drogę.

- Kto tam jest? Przekłete gówniarze. Ostrzegam was, przestańcie mnie zaczepiać albo zadzwonię po policję.

Zawrócił zakłopotany i zdenerwowany bardziej, niż chciałby przyznać, a także pragnący dowiedzieć się prawdy. Spozstrzegł, że drży mu ręka, którą wyciągnął do domofonu. Musiał przelknąć ślinę.

- To ja - powiedział. - Wpuść mnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

„On przyjdzie”.

Roanne nie poruszyła się.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała, nie będąc w nastroju do rozmowy ze swoimi wewnętrznymi głosami. Miała do załatwienia o wiele pilniejsze sprawy i jeżeli będzie pracowała w takim tempie, nigdy nie skończy. Uporała się z resztą pozostałych z poprzedniego dnia ziół, a teraz miała sproszkować suszone kwiaty nagietka, by zrobić z nich substytut szafranu, który wysyłała do Bangor, do sklepu z naturalną żywnością. A to był dopiero początek długiej listy zadań na najbliższe dni.

Nie, teraz nie ma czasu na jałowe rozmyślenia, a poza tym głos na pewno się myli. Hunter Thorae nie przyjdzie, ponieważ - tak jak ona - jest ogromnie zajęty. Nie będzie też zastanawiać się, jak przebiegło jego spotkanie z ojcem. Nic jej to nie obchodzi, jak również to, czyjego samochód został bardzo uszkodzony.

„Ale jemu Już mówiono o tobie”, nie ustępował szepczący głos. „Ostrzegano go. Nie czujesz tego? Ktoś taki jak on nie może teraz nie przyjść”.

W złości pociągnęła zbyt mocno za gałązkę chmielu i suche szyszki rozsypały się po stole.

- Proszę. Jesteś zadowolona? - spytała i zmiotła wszystko ręką. Tak właśnie kończy się wściubianie nosa w nie swoje sprawy. Powinna była zignorować tę wizję z wczorajszego wieczora. Jakie ma prawo wtrącać się w cudze życie, narzucać komuś swoją wolę? Czy już

zapomniała o ostrzeżeniach matki i ciotki liliti? Tak samo zresztą napisane było w książkach, które wyszukiwała i studiowała, by lepiej zrozumieć siebie i swoje miejsce w świecie.

No tak, ale co by się stało, gdyby nie zareagowała? Gdyby Hunter Thorne w chwili słabości poszedł za tym impulsem, teraz mógłby już nie żyć. Oparła się rękami o stół.

- W porządku - powiedziała do panoszącego się w jej myślach intruza - stało się. Ale teraz chcę, żebyście, i ty I on, wynieśli się z moich myśli.

Jż! późno... za późno... za późno.*

Z pomrukiem zdjęła ochronne rękawice i cisnęła Je na ciężki, drewniany stół. Kiedy wychodziła ze stodoly, kurz wirował w powietrzu. Na dworze świeciło słońce, ale świszczący wiatr natychmiast zaczął szarpać jej włosy, gruby obszerny sweter i dzinsy. Odetchnęła głęboko, z przyjemnością. Coś ciągnęło Ją nad morze, skierowała się więc ku starej latami morskiej na brzegu urwiska.

Jak okiem sięgnąć, fale wznosiły się, załamywały i opadały, chociaż sztorm skończył się Już kilka godzin temu. Mewy podleciały bliżej wykrzykując swe powitanie, tak jak robiły to zawsze, gdy przynosiła im chleb.

Z zamyślenia wyrwało ją parsknięcie. Spojrzała na Pontusa, który towarzyszył jej od wyjścia z domu. Położył się na brzuchu, oparł pysk na przednich łapach I spojrzał na nią niesamowitymi, żółtawymi oczami.

- I ty jeszcze śmiesz robić mi wyrzuty? - powiedziała z naganą w głosie. - Nie zdajesz sobie sprawy, że też wzbudziłeś jego ciekawość? He Jeszcze razy muszę ci przypominać, żebyś nie straszył ludzi?

Pontus mruknął coś w odpowiedzi i zaczął obserwować ocean, jakby przybierając Jej pozę. Roanne nie wiedziała, dlaczego wciąż traci czas próbując go wychowy-

wać. Nic nie może go zmienić, podobnie jak ona sama nie może przestać być sobą. W tch stosunkach podstawą było zaufanie, tak samo trudne do zdefiniowania. Jak wszystko w jej życiu.

Po raz pierwszy spotkała go w jaskini przy brzegu morza. Był unieruchomiony przez ranę od kuli, która utkwiała mu w zadzie. Ludzie z miasteczka strzelali do dzikich psów w okolicy i nie było nic dziwnego w tym, że jego, z takim wyglądem, też to spotkało. Spróbowała pozyskać jego zaufanie, żeby przyjść mu z pomocą. I chociaż zakończyło się to sukcesem, po trzech latach on wciąż zachowywał niemalą niezależność, śpiąc w swej nadbrzeżnej jaskini. Tylko w okresie zimy i sztormów akceptował przytulność stodoły, wchodząc tam i wychodząc przez zasłonięty skórą otwór, który zrobiła specjalnie dla niego. Rzecz dziwna, nigdy nie odchodził zbyt daleko, szczególnie w te noce, kiedy jakiś szósty zmysł ciągnął ją nad urwisko i położone poniżej plaże. W rewanżu przynosiła mu pożywienie, by nie musiał zbyt wiele polować.

Jeszcze raz na nią spojrział. Pomyślała wówczas o innej parze oczu, która wpatrywała się w nią z podobną bezpośredniością. Ale oczy Huntera Thome'a były brązowe, podobnie jak jego włosy i tak ciemne, że nie mogła dostrzec granicy pomiędzy źrenicą a tęczówką. Były inteligentne, badawcze i wciąż ją dręczyły. Właściwie to on cały ją niepokoił.

Stracił dziecko. Wiedza ta osłabiała jej siły obronne, podobnie jak robiły to jego męskie rysy. Rzuciła się w oczy jego elegancja, choć tak sfatygowana, jak noszący ślady podróży garnitur. Chciała widzieć w nim jednego z tych energicznych, zręcznych facetów, którzy poganiiani przez ambicję zapomnieli, że można się zatrzymać. Wiedziała jednak, że gdyby naprawdę tak było,

stojący jej przed oczami obraz nie byłby tak wyraźny, ani nie wstrząsnąłby nią tak silnie. Nie, ona dostroiła się do jego bólu i rozpaczy dlatego, że był kimś całkowicie Innym. To właśnie budziło jej niepokój. Powinna być ostrożna i bronić się przed uczuciami, jakie w niej budził. Już i tak nie pozwolił jej w nocy zasnąć i nie dał się skupić dzisiejszego poranka. To musi się skończyć. Odwróciła się do Pontusa.

- Co byś powiedział na spacer na...

Nie zdążyła dokończyć, bo pies zerwał się i zniknął. Niemal w tej samej chwili wyczuła czyjąś obecność. Nie odwróciła się, żeby nie było widać, jak bardzo jest zdeenerwowana. Słuchała odgłosu zbliżających się kroków, patrząc na nadpływające bez końca fale, które rozbijały się o leżące daleko w dole skały. Ich groźny odgłos wtórował głuchym uderzeniom jej serca.

- Chyba Już dawno nie był pan w Cliff Point, jeżeli zapomniał pan, że miasteczko leży w przeciwnym kierunku?

- spytała, gdy niepożądany gość stanął przy niej.

- Znalazłem to, czego szukałem - odrzekł napiętym, prawie gniewnym głosem,

- Nie powinien pan tu przychodzić - powiedziała z westchnieniem.

- Potrzebuję wyjaśnień.

- Nie nasłuchał się pan dosyć wczoraj wieczorem?

- Domyśliła się pani, czy może zobaczyła, tak Jak inne rzeczy?

- Nie musi się pan silić na sarkazm - rzekła próbując opanować drżenie, gdyż chłód przeszył ją na wskroś.

- Ja już to wszystko słyszałam.

- A jak często słyszy pani, że nazywają ją...

Czekała, lecz słowo jednak nie padło. Była ciekawa, czy wyraz jego twarzy ukrywa emocje, jakie w nim wyczuwała, więc odwróciła się powoli.

- Czarownicą? To chciał pan powiedzieć?

Wczorajszego wieczora zauważyła też, że Hunter

Thome musi być człowiekiem z gruntu uczciwym. Teraz odwrócił wzrok z zażenowaniem, a ona spostrzegła worki pod nabiegłymi krwią zmęczonymi oczami i bladłość jego twarzy. Sama miała za sobą bezsenność, ale z nim zdaje się było jeszcze gorzej. Nie chciała nic o tym wiedzieć, nie chciała dać się w to wplątać. Zaciął usta i potrząsnął głową.

- Chodzi o to, że... Nie, to nie ma sensu. Wszystko przez ojca. Tyle czasu Już mieszka sam i może to wpłynęło na stan Jego umysłu.

- Pan przyszedł aż tutaj, żeby przekonywać samego siebie, czy żeby mnie przeprosić?

Znów popatrzył na nią i zobaczyła w jego oczach niepokój i błysk zwątpienia.

- Usiłuję tylko zrozumieć, o co chodzi. Wczoraj ledwie zdołałem wspomnieć pani nazwisko, a on zrobił się błąd jak...

- Jak widmo - uzupełniła spokojnie.

Chociaż ręce schował w kieszeniach płaszcza, widziała, że zwinął je w pięści.

- Powiedział kilka nedorzeczności i ostrzegł mnie, żebym trzymał się od pani z daleka.

- To wcale nie brzmi nedorzecznie, raczej jak dobra rada. Dlaczego pan z niej nie skorzystał?

- Ponieważ to, co powiedział, było tak samo niewiarogodne i dziwne, jak wszystko, co zdarzyło się zeszłej nocy.

- Aha, i ode mnie chce pan zapewnienia, że nie było w tym niczego niezwykłego, Jak się panu wydaje, a przestrogi ojca są po prostu wyolbrzymione?

- Trafiła pani w sedno. - Przejechał ręką po włosach, a potem zatoczył nią łuk. - To znaczy, wszystko

Jest śmiechu warte. Słońce świeci, świat Jest zwrócony właściwą stroną do góry, a pani stoi tu i wygląda, - jego wzrok przesunął się po niej - najzupełniej normalnie. Powiniennem chyba złożyć wydarzenia ostatniej nocy na karb stresu i zmęczenia, prawda? Przypuszczenie, że pani wyfrunęła znikąd tuż przed mój samochód, powinno mnie chyba zaprowadzić do psychiatry. Mam rację?

- Rzeczywiście, ja nie uprawiam lewitacji. Szłam z plaży na górę ścieżką wyrąbaną w urwisku.

- Dobrze. I to tylko zbieg okoliczności, że była pani tam i powstrzymała mnie od zrobienia czegoś, o czym w świetle dnia nigdy bym nie pomyślał?

- Cieszę się, że wrócił panu instynkt samozachowawczy.

- Ale niech pani odpowie na moje pytanie.

- Nie, wolę nie odpowiadać.

- Dlaczego?

- Bo pan wcale nie chce usłyszeć prawdy.

Udał, że się śmieje, ale wbrew jego intencjom twarz zmieniła mu się w sposób niezwykle. Roanne zobaczyła w nim mężczyznę, jakim mógł być, jakim być powinien, I Jeszcze raz poczuła siłę jego uroku, który usiłowała zignorować od pierwszej chwili, kiedy spojrzeli sobie w twarz. Przestał się śmiać I postąpił krok w Jej kierunku.

- Prawdą jest, że Jestem Już zmęczony uczuciem, jakby jedną rękę wsadzono mi w kaftan bezpieczeństwa. I nie chcę, by ktoś, choćby nie wiem jak piękny, robił Jakieś sztuczki ze świadomością mojego ojca... czy moją.

- Proszę pana, podczas tych paru lat, odkąd mieszkam w Cliff Point, pański ojciec I ja nie zamieniliśmy nawet dziesięciu słów. gdyż on nie mniej niż ja ceni sobie prywatność. A co do sztuczek, to mogę jedy-

nie wiedzieć, że taka zabawa byłaby dla mnie stratą energii.

- Chciałbym uwierzyć, że naprawdę jest pani taka szczerą, na jaką wygląda. Niestety, coś mi się tu nie zgadza.

Była głupia myśląc, że uda jej się ukryć przed nim swe tajemnice, zwłaszcza że w tym miasteczku miał krewnych. Czowała, jak ogarniają fala znużenia i smutku.

- Niech pan pyta - ustąpiła zrezygnowana.

- Mój ojciec mówi, że pani ma wizje, że widzi pani rzeczy, które mają się wydarzyć. Czy to prawda?

- Tak bywa.

- Mówi, że pani jest w stanie czytać w cudzych myślach.

- Czasami.

- Proszę powiedzieć, o czym teraz myślę.

Nie miała na to ochoty. Jego uczucia były tak oczywiste, tak dojmujące, że zrobiło się jej gorąco. Ale nie widziała prostszego sposobu, by zakończyć to wszystko, uniosła więc głowę i wytrzymała Jego rozkazujące spojrzenie.

- Nie może się pan zdecydować, czy złapać mnie rękami za szyję i wytrząsnąć ze mnie całą prawdę. To, co uważa pan za prawdę, czy też...

- Czy też?

- Czy też pocałować mnie.

Jego spojrzenie padło na jej usta. Widziała, jak pierś unosi mu się w głębokim oddechu, rozciągając materię wiśniowego swetra.

- To byłoby za łatwe.

- Tak pan myśli?

- Oboje o tym wiemy. Po pięciu minutach z kimś tak pięknym. Jak pani, każdy mężczyzna będzie myślał o tym samym. Niech pani spróbuje jeszcze raz.

Jego słowa wcale nie sprawiły jej przyjemności. Tak,

pomyślała, muszę zrobić coś, żeby zostawił mnie w spokoju. Nie tylko dlatego, że czuła. Iż mógłby zranić ją mocniej niż ktokolwiek inny, ale dlatego, że nie miał racji. Podobała się mężczyznom, ale nigdy nie udało Jej się w żadnym rozniecić takiej pasji, Jak w tym, który stał teraz przed nią. Byłoby samobójstwem ulec takim emocjom, pozwolić rozwijać się pokusom.

Skup się, powiedziała do siebie usiłując odzyskać spokój. Dopiero gdy się opanowała, popatrzyła głęboko w jego oczy.

Zabolało. Och, jak ją to zabolalo. Okazało się, że on ma zbyt wiele doświadczenia w skrywaniu bólu. Nie była na to przygotowana; poczuła, jakby rzucono Ją w tunel bez końca i przeszywano niezliczonymi, ostrymi jak brzytwa sztyletami.

- I co? - domagał się odpowiedzi.

Miała ochotę płakać. Stali tak blisko siebie, że zapra gnęła wziąć go w ramiona, uśmierzyć ból i żalobę, wyciągnąć go z mroku rozpaczy, w Jaką się sam wtrącił. Ale ze wszystkich kobiet to właśnie ona nie mogła tego zrobić, jej własny świat był jeszcze bardziej przerażający i nie ośmieliłaby się pozwolić mu podejść zbyt blisko.

- Pan... pan chciałby, żeby posiadała nadprzyrodzone moce - zaczęła, z trudem wrywając z siebie słowa. - Myśli pan, że mogłabym panu powiedzieć, że Cady jest teraz bezpieczna i szczęśliwa.

Hunter Thome był w ogóle błądy, ale teraz zrobił się błądy jak ściana. Cofnął się, jak ugodzony nożem. Potrzęsnał głową z niedowierzaniem.

- Pani musiała wcześniej znać jej imię - rzekł chłodno. - Ktoś Je pani powiedział, prawda? Niech pani to przyzna.

- Nie. Nie wiedziałam też, w Jaki sposób ona... - Coś zmąciło jej myśli. - Dlaczego pan wciąż myśli o ogniu, kiedy ja widzę wokół niej tylko dym?

- Niech pani przestanie!

Odwrócił się gwałtownie, ale zdążyła zauważyć cierpienie w Jego oczach. Właściwie nie miała zamiaru wypowiadać tych słów, ale czegoś tu nie rozumiała. Biedny człowiek, biedna Gady... Był tam jeszcze ktoś inny, starsza osoba, ale jej obraz nie był wyraźny.

- Nie wiem, jak się to pani udało, ale i tak nie mam zamiaru tego kupować - oznajmił, zmuszając ją do powrotu na ziemię. - Nie wierzę w żadne nadprzyrodzone bzdury.

- Nigdy pan nie doświadczył czegoś w rodzaju jasnowidzenia, chwili *déjà viŮ* - spytała, czując się trochę zdezorientowana, jak zwykle po tak głębokiej koncentracji. - Nigdy nie dostał pan listu od kogoś, o kim pan właśnie myślał albo zadzwonił do kogoś, kto miał właśnie dzwonić do pana?

- Oczywiście. Każdemu zdarza się coś takiego.

- Ale nie może się pan zgodzić z tym, że są ludzie obdarzeni większymi możliwościami niż inni?

- Wierzę, że są tacy, którzy chcą, żeby inni tak właśnie o nich myśleli, z takiego czy innego powodu. Pytanie tylko, jaki powód kieruje panią?

ROZDZIAŁ TRZECI

Patrzyła na niego. Jakby myślała, że zwariował. Przez moment wydawało mu się, że ma zamiar go uderzyć, może nawet zepchnąć z urwiska. Jednak zamiast tego odgarnęła do tyłu włosy i wycedziła powoli:

- Życzę, żeby się panu w życiu powiodło.

Zrobiła już kilka kroków, gdy zorientował się, że ona odchodzi.

- Hej! - zawołał za nią. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- O tak, skończyliśmy.

- Mam więcej pytań.

Odwróciła się i spojrzała wzrokiem, w którym płonęły zielone ogniki.

- Nie, to nie są pytania, to są oskarżenia. Pan jest zgorzkniałym, pełnym złości człowiekiem i myśli pan, że jako jedyny wie, co to cierpienie i to daje panu prawo do napadania na cały świat. I jeszcze, jak na człowieka wykształconego, ma pan zaskakująco wąskie horyzonty. Żadne słowa, w żadnym j czy ku nie sprawią, że przyjmie pan prawdę do wiadomości, dlatego uważam naszą rozmowę za zakończoną.

Tym razem nie zatrzymał jej, kiedy ruszyła przed siebie. Jęknął w duchu. Czy kiedykolwiek zdarzyło mu się atakować kogoś z taką zawziętością, i to na dodatek kogoś zupełnie obcego? Nawet na sali sądowej, gdzie przy pierwszym przyłapaniu na kłamstwie bezlitośnie obchodził się ze świadkiem drugiej strony, nie zaczynał ataku, dopóki nie zgromadził wszystkich faktów. Tutaj, w sto-

sunku do Roanne, nie miał nic z wyjątkiem nie udowodnionych zarzutów, powtarzanych przez zdziwaczałego, lekko nietrzeźwego ojca.

Kim ona jest, że wywołała w nim taki wybuch gniewu? Dotknęła jego najczulszych miejsc, których istnienia do dziś nie podejrzewał. Fascynowała go i, niech Bóg mu pomoże, jednocześnie przerażała. Obserwował, jak oddała się zdecydowanym krokiem. Nie miał do niej pretensji, że odeszła dumnie, nie próbując się bronić. Nie było to w istocie potrzebne, jej pożegnalne spojrzenie było wystarczająco zrozumiałe. Mógł przysiąc, że w powietrzu unosi się zapach dymu. Czy to dlatego, że wypaliła piętno na jego duszy? Oprócz gniewu, widział także wiele cierpienia w jej oczach. Miała rację, on uderzył na osłep i poniżej pasa. Dlaczego to zrobił?

A czy ona musi być tak piękna? Wystarczyło raz na nią spojrzeć, by poczuć ból. Zaczął dostrzegać w niej coś niewysłowionego, czystego, lecz potężnego w połączeniu z jej zmysłowością. Przyszedł tutaj, by dowieść, że ojciec nie miał racji. Chciał wierzyć, że wszystko jest jedną wielką pomyłką, a słowa ojca należy przypisać nadmiernej ilości whisky. Roanne tymczasem. Jedynie podsyciła jego gniew, stojąc tutaj, patrząc mu w oczy i przyznając, że jest w stanie zrobić wszystkie te absurdalne rzeczy, które Lei and jej zarzucał. Przecież nikt nie posiada takich zdolności umysłu, jakie ona sobie przypisuje. A może jednak?

Jak wyjaśnić, że ona wie tak dużo... Zna imię jego córeczki... Wie, że Cady i pani Oliver nie spłonęły, tylko zatruły się dymem. I w końcu, że był gotów rozstać się z życiem?

Zakrawało to na szaleństwo. Począł żalować, że wrócił do Cliff Point i spotkał Roanne Lloyd Douglas. Jed-

nak najbardziej żałował swoich ostatnich słów. Czuł, że będą go dręczyć do końca życia.

Wyczerpany psychicznie i fizycznie, czując do siebie wstręt, odchylił głowę do tyłu i spojrzął w niebo. Nawet tam nie znalazł spokoju. Wszędzie widział chmury, z których każda miała wykrzywioną twarz chimery patrzącą na niego z kpiącym szyderstwem, potępieniem i odrazą.

Zamknął oczy pewien, że ma przywidzenia. Kiedy je po chwili otworzył, zobaczył... zwyczajne chmury. W zasięgu wzroku nie było nic, prócz niesionych wiatrem białych obłoków.

Z gardła wyrwał mu się szyderczy śmiech, który stał się coraz głośniejszy, i nagle przeszedł w coś zupełnie innego i nie kontrolowanego, prawie nieludzkiego. Wybuchnął nie kończącym się, przeraźliwym szlochem. Oplakiwał niesprawiedliwość życia, śmierć Cady, swoją niemożność robienia czegokolwiek poza sprawianiem innym bólu... wszystko, aż w końcu nic. Już w nim nie zostało.

Stał potem w milczeniu, chwiejąc się na nogach pod naporem wiatru, bardziej wyczerpany niż kiedykolwiek w życiu. Jednak dopiero teraz, pierwszy raz w życiu, poczuł się pusty. Cudownie, rozkosznie pusty.

To brzmiało jak ryk ginącego lwa. Do końca dnia i przez całą noc Roanne wciąż myślała o tym straszliwym płaczu, który słyszała po swoim odejściu. Wrył się w jej pamięć równie głęboko, jak poprzedni wieczór, w czasie którego omal nie doszło do tragedii. Ryk wściekłego lwa, pomyślała zaczynając codzienną krzątanie w stodole. Tyle, że to nie zwierzę go wydało, lecz on. Jedna cząstka jej natury nie była w ogóle zaskoczona, rozumiała, czym jest dla człowieka taki płacz i uważała,

że już dawno powinien był dać upust łzom. Ale druga część jej jestestwa nie chciała przejmować się jego problemami. Pragnęła nienawidzić go, gardzić nim. Dlaczego nie, po tych szyderstwach i insynuacjach?

Przerwała ostrzenie scyzoryka i sprawdziła rezultat. Siegnęła do stojącego obok garnka i naląła trochę wody na szary kamień, leżący przed nią na stole. Następnie przyłożyła do niego ostrze i kontynuowała metodyczne, okrężne pociągnięcia. Te rytmiczne ruchy działały na nią kojąco. Znalazła też odpowiedź na pytanie, jak dać nauczkę małym Garrettom. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Obmyśliła już dokładny plan i jutro, z niewielką pomocą przyjaciela, wszystko będzie miała przygotowane, gdy chłopcy wrócą ze szkoły.

„Uważaj, żeby to nie sprawiło ci zbyt dużej radości”.

Nóż ześlizgnął się z kamienia. Dreszcz strachu przebiegł po jej plecach. Czy nseczywiście tak się tym cieszy? Chodzi jej tylko o to, co powiedziała wczoraj: jest zmęczona pastwieniem się nad nią i nie będzie tego dłużej tolerować, ale jej metody są umiarkowane, wcale nie okrutne. A może nie?

„Jak uważasz, moja droga. A Thorn? Skoro łamiesz swoje własne zasady, on też powinien być ukarany*!”.

Roanne podniosła rękę do serca i poszukała pod swetrem ciężkiego srebrnego krzyża, który kiedyś należał do jej matki. Dotknęła go i kiedy pomyślała o matce, spłynął na nią, jak zawsze w takich chwilach, spokój.

- Nie przekroczyłam żadnej granicy - zapewniła stanowczo głos, który od wczoraj na szczęście pozostawiał ją w spokoju. Powinna była wiedzieć, że zło zawsze czeka na sprzyjającą chwilę. - Chłopcom też nie stanie się żadna krzywda. Ja mam zasady, nie uznaję twoich okrutnych metod.

I w gruncie rzeczy, dodała do siebie, matka Tima

i Caseyą będzie mogła być jej wdzięczna, kiedy ktoś im trochę przytrze nosa. Co zaś do Huntera Thornea, to wystarczy, jeśli będzie trzymał się od niej z daleka. Uspokojona tą rozsądną konkluzją, wróciła do pracy.

„Uważasz, że to jest sprawiedliwe? Po tym wszystkim, co zrobił?”

- Czy możesz... - Była tak zajęta swoją wewnętrzną walką, że poczuła nieprzyjemny dreszcz, gdy niespodzianie na stół padł jakiś cień. Kiedy odkryła, kto tym razem zakłócił jej spokój, sposepniała Jeszcze bardziej. - Jeszcze nie ma pan dosyć? - spytała, patrząc groźnie na stół.

Mężczyzna przez chwilę wahał się, lecz odpowiedział z przekonującą obojętnością.

- Jeżeli przyznam, że nie bardzo rozumiem, jak pani to robi, to czy zechce pani ze mną porozmawiać?

- Nie.

- Przyszedłem panią przeprosić.

- Do diabła! - Zawrzała ze złości i okrzykiem się, trzymając nóż w ręce. - Niech się pan stąd wynosi!

Stał w drzwiach stodoły, a południowe słońce wyraźnie znaczyło jego sylwetkę. Dzisiaj ubrany był inaczej: zamiast płaszcza miał na sobie granatową kamizelkę narciarską, a szaroniebieska zamszowa bluza i dzinsy zastępowały garnitur. Roanne nie chciała przyznać. Jak dobrze mu w tym ubraniu, ale miejsce, w którym stał, jeszcze to podkreślało. Mimo że jego oczy ukryte były w mroku, wiedziała, że patrzy na jej nóż. Wolałaby Jednak wyczytać w Jego myślach więcej zmieszania niż rosnącego zdziwienia i niechętnego podziwu. Nie chciała bawić go rozmową, pragnęła raczej go onieśmielić. Był zbyt odważny, co zagrażało zarówno jemu, jak i jej.

- Nie mam pretensji, że jest pani na mnie zła - powiedział wyraźnie pokornym tonem. - Zrozumiałbym nawet, gdyby chciała pani go użyć przeciwko mnie.

- Niech pan mnie nie wystawia na próbę.

Nie ruszył się, a potem, badając wzrokiem wnętrze stodoły, zapytał:

- Czy grozi mi może, że zostanę rzucony psu na pożarcie?

- Gorzej - odparła zirytowana, że uznał Pontusa za bardziej niebezpiecznego od niej.

Powróciła do pracy. Wypłukała nóż i chcąc zyskać na czasie zaczęła pieczołowicie wycierać go w ręcznik, mając nadzieję, że błyszczące ostrze wywrze na nim wrażenie, gdyż Pontus gdzieś przepadł i nie mógłby przyjść Jej z pomocą. Nagle opanował ją Jeszcze większy gniew i gwałtownie wbiła ostrze noża w stół. Popatrzyła prosto na Huntera i skrzyżowała ręce na piersi, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że czeka na jego odejście. Jednak jego pokora najwyraźniej ustąpiła miejsca rozbawieniu.

- Naprawdę mam uwierzyć, że pani tego użyje?

- Niech się pan przekona.

Nie doceniła go. Potrzebował tylko trzech kroków, by znaleźć się przy niej. Roanne sięgnęła po nóż, ale Hunter był szybszy. Trzymał scyzoryk w dłoni, sprawdzał jego ostrość, po czym z respektem, ale bez strachu, złożył go. Uznała, że ryzykuje, kiedy wyciągnął rękę i wsunął nóż do tylnej kieszeni jej spodni.

- Przepraszam - powiedział raz jeszcze, stojąc tak blisko, że czuła na wargach jego oddech.

Wyzwanie w jego oczach i zmysłowy dotyk palców uczyniły spustoszenie w jej nerwach.

- Niech pan idzie do diabła - powiedziała dobitnie, walcząc z osobliwą pokusą.

- A gdybym powiedział, że już to zrobiłem?

- Zaproponuję, żeby przestał pan mi to okazywać.
- Nie mam takiego zamiaru. Chciałbym jedynie, żeby pani pokazała mi Inne wyjście.

- Skąd ten nagły zwrot?

Odetchnął i pochylił głowę, niemal dotykając jej czoła. Spojrzał jej w oczy.

- Niech pani mi to powie. Ja prawie nie potrafię myśleć, kiedy jestem przy pani.

Odwróciła wzrok, zbyt kusilo ją wplątanie się w coś, co tylko mogło przynieść cierpienie jej sercu. Nie ośmieliła się nawet zapytać, czy bardzo dokucza mu rana na skroni. Wyglądała jeszcze świeżo, chociaż opuchlizna zdawała się ustępować.

- Hunter, czego ty ode mnie chcesz? - spytała, zbyt późno zdając sobie sprawę, że zwróciła się do niego po Imieniu.

- Powiem ci coś absolutnie zwariowanego. Ja sam tego nie wiem. Wiem tylko, że nie jestem w stanie trzymać się z dala od ciebie.

- Czy to ma być komplement?

- Nie, raczej stwierdzenie faktu, z którym usiłuję się pogodzić. Nie Jest to łatwe, ale pozwala mi przestać tak się rozczulać nad sobą. - Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. - Powiedz mi prawdę, czy rzeczywiście użyłabyś na mnie noża?

Przerażające było, że taka myśl w ogóle przeszła jej przez głowę, zwłaszcza po miesiącach względnego spokoju, kiedy już zaczęła wierzyć, że wygrała swoją prywatną bitwę z mrocznymi siłami. To odkrycie wywołało w niej panikę równie głęboką, jak głębokie było zmysłowe napięcie między nią a Hunterem.

- Możesz być pewien - powiedziała z desperacją schwytanego w pułapkę zwierzęcia - że nie będę miała z tobą romansu.

- Myślę, że żadne z nas nie jest do tego przygotowane.

Ale napięcie mięśni w jego twarzy i płomyki w oczach mówiły, że nieraz zmagał się z taką myślą. Roanne nie mogła tego nie czuć, nie zastanawiać się, jakie by to było doznanie. Jego ręce na jej nagim ciele, on w niej, pełny i pulsujący. Kiedy wciągnął gwałtownie powietrze i odwrócił się od niej, musiała zdusić w sobie jęk, gdyż odczuła niemal fizyczny ból.

- Dlaczego... - Zawahał się. - Dlaczego nazwałaś go Pontusem? - spytał podchodząc do misek z wodą i Jedzeniem.

Zmrużyła oczy usiłując dojść do siebie, zirytowana uczuciem bezsilności wobec niego, co przeszkadzało jej czytać w jego myślach. Czy to było jego zamiarem? Nie możliwe. Najpierw musiałby choć trochę uwierzyć w jej zdolności, a oczywiście było, że nie próbował. Pozbierała się i odparła chłodno:

- To był mało znany grecki bóg morza.

Uważała, że Imię to pasuje do zwierzęcia, które porzuciło las, żeby zamieszkać nad oceanem, ale jeżeli on chce to wiedzieć, musi sam do tego dojść.

- Czy wiesz, że wtedy nie pozwolił mi za tobą pójść?

- Ja czytam w myślach, zapomniałeś? Wiem niemal wszystko.

Hunter skrzywił się i opuścił głowę.

- Czy możemy zapomnieć o tym i zacząć od nowa?

- Dlaczego?

- Bo wstyd mi za to, co powiedziałem wczoraj. Nie miałem prawa powtarzać tego starczego bełkotu. Wierz mi, nigdy się tak nie zachowywałem, tak nie fair. Ale przejrzałem wreszcie na oczy. Miałas rację nazywając mnie tak, jak to zrobiłaś. Odkąd straciłem Cady, jestem coraz bardziej nieprzyjemnym, wiecznie litującym się

nad sobą dumnie. Odsunąłem się od przyjaciół, od współników w firmie prawniczej...

- Żeby nie wspomnieć twojego ojca.

- To stało się dawniej - powiedział z westchnieniem.

- Tak naprawdę nigdy nie wybaczyłem mu, że ożenił się wkrótce po śmierci mojej matki. To drugie małżeństwo nie trwało zresztą długo, ale nieprzyjemne uczucia między nami pozostały'. Kiedy zdarzył się ten wypadek, nie myślałem o zadawnionej wojnie, wtedy naprawdę go potrzebowałem. Nie spodziewałem się, że gdy do niego zadzwonię, odłoży słuchawkę. Ale on to zrobił. Nie powiedział ani słowa, słuchał tylko, a potem się rozłączył. Tłumaczyłem sobie, że to był szok. Ja też ledwo się trzymałem. Ale on nawet nie przyjechał do Bostonu na pogrzeb. - Wzruszył ramionami. - Od tej pory nie rozmawialiśmy ze sobą.

Właśnie tego Roanne sobie nie życzyła, być zamieszana w Jego ból i problemy.

~ Każdy reaguje inaczej na stratę bliskiej osoby - powiedziała, marszcząc brwi na widok śladów palców, które właśnie zauważyła na oknie stodoły. Okropne dzieciaki, pomyślała, zadowolona, że nie dostali się do środka i nie zrobili bałaganu w Jej ziołach i przepisach. Pewnie Pontus był gdzieś niedaleko i wystraszył ich.

- On nawet nie przysłał kwiatów na Jej grób!

Uderzył zaciśniętą pięścią w drugą dłoń, a Roanne zamknęła oczy, by przeczucić falę mdłości. Jego gniew był jeszcze większy niż wczoraj. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że Drew zniszczył w niej zdolność funkcjonowania w obliczu takiej gwałtowności.

- Tak... to ma sens. - Starła się spokojnie oddychać. - Widzisz, on nie mógł przyjąć do wiadomości, że jej już nie ma.

- Dziwne. To samo powiedział mi wczoraj wieczorem.
- Gniew zniknął, a jego miejsce zajęła nadzieja i naraz pożądanie znów rozświetliło jego wzrok. - Chociaż myli się w jednym. Jestem pewien, że ty jesteś dla mnie dobra. Najpierw uratowałaś mł życie, a teraz próbujesz uporządkować moje stosunki z ojcem.

Roanne podeszła do stołu.

- Jeżeli będziesz trzymał się ode mnie z daleka, to dlaczego nie? - Niech go to na chwilę otrzeźwi, pomyślała zbierając resztę noży i wkładając je do koszyka, w którym przyniosła je z domu. Jemu nic nie będzie, ona zaś musi się troszczyć o własny spokój. - Kiedy twój samochód będzie naprawiony?

- Za parę tygodni - odpowiedział powoli, wyraźnie rozczarowany. - Największy problem to sprowadzenie części. Co czujesz wiedząc, że przez jakiś czas będę jeszcze tutaj?

- Dlaczego miałabym cokolwiek czuć?

Nie słyszał tego, co powiedziała. Kątem oka ujrzała, że zatrzymał się przed otwartą szafką, w której przechowywała wyciągi z ziół na użytek własny i na sprzedaż w kilku wybranych sklepach z naturalną żywnością. Rzuciła się pomiędzy niego a szafkę, zatrzasnęła drzwiczki i zamknęła mocny zamek.

- To cię nie powinno obchodzić - mruknęła.

- Czy to są rzeczywiście domowej roboty lekarstwa i inne tego typu rzeczy?

- To są zioła przyrządzone według przepisów przekazywanych w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

- Żartujesz? I są naprawdę skuteczne?

Spojrzenie, jakie posłała mu przez ramię, miało oznaczać, że pytanie nie jest warte odpowiedzi.

- Nawet te z oznakowaniem „trucizna”?

- Zwłaszcza trucizny.

- Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć - powiedział w zamyśleniu. - Masz słuch Jak kot, potrafisz przejrzeć cudze myśli lepiej niż przeciętny człowiek i przedkładaś domowe specyfiki nad gotowe lekarstwa. A więc to, że jesteś trochę inna i może trochę obrazoburcza powoduje, że ludzie w rodzaju mojego ojca nastawiają się do ciebie wrogo. Czy mam rację?

- Niezupełnie - odparła Roanne zrezygnowana, a zarazem zdecydowana, że on musi wreszcie to zrozumieć. - Najbardziej denerwuje tutejszych szacownych obywateli to, że jeden z ich ukochanych synów nie tylko nie poślubił tutejszej dziewczyny, ale na dodatek ożenił się z przybłądą z jeszcze gorszej dziury niż Cliff Point. A wiesz, dlaczego Jestem przybłądą? Bo tak się składa, że urodziłam się w rodzinie szaleńców. - Zobaczyła niedowierzanie w Jego oczach i zaśmiała się zimno. - Tak, mój drogi, twój nie taki znów stary ojciec miał rację. Jestem ostatnia z długiej linii wieszczek. Innymi słowy, Ja rzeczywiście jestem czarownicą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie roześmiał jej się w twarz, musiała oddać mu tę sprawiedliwość. Ale sądząc po Jego minie równie dobrze mogłaby twierdzić, że właśnie przybyła z kosmosu. Dziwne, bo jak dotąd wszyscy w okolicy wierzyli w jej moc. Nikomu nie musiała udzielać żadnych wyjaśnień. Żyła tu, i ludzie ją rozumieli.

- W takim razie pomóż mi - powiedziała, nie będąc w stanie zapanować nad drzeniem głosu. - Jeżeli zapytasz mnie o miotłę albo kryształową kulę, to ja...

- Zmienisz mnie w ropuchę? Sprawisz, że w moim łóżku pojawi się pełno pajaków i węży?

- Wiesz co, Hunter? Idź do domu i pogódź się z ojcem - rzekła, zmęczonym ruchem odgarniając włosy z czoła. - Ta wizyta trwa już zbyt długo.

- Nie sądzę, bo w końcu udało mi się cię przejrzeć.

- O czym ty mówisz?

- Jeżeli boisz się ponownie z kimś związać, to chociaż miej odwagę to powiedzieć - odparł. - Myślałem, że taka kobieta jak ty nie będzie uciekać się do głupawych wymówek. Z przykrością widzę, że cię przeceniłem.

Tym razem to on odchodził. Opuścił stodołę wyprostowany jak świeca. W pierwszym odruchu chciała biec za nim i udowodnić, że nic nie zrozumiał. Zupełnie nic. Ale to mogłoby go zatrzymać, a przecież właściwie chciała, żeby odszedł.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, osunęła się więc na najbliższą belkę sprasowanego siana i oparła głowę

na kolanach. Chłodny powiew wiatru musnął jej włosy niczym jakaś niewidoczna ręka.

«Nie obawiaj się, kochanie. Jestem tutaj... I nigdy cię nie opuszczę».

W pomieszczeniu rozległ się cichy śmiech. Roanne zadrżała i po omacku sięgnęła po swój krzyż.

Mimo że tej nocy udało się Jej zasnąć jedynie na godzinę czy dwie, wstała wcześniej rano i poszła do lasu, zdecydowana trzymać się swojego planu. Jej droga wiodła blisko posiadłości Thome'ów, przebiegła więc ten kawałek szybko, zasłaniając twarz kapturem peleryny i kryjąc się w cleniu wysokich drzew. Kilka minut później znalazła się na miejscu, gdzie czekał już jej przyjaciel. Podeszła ostrożnie do pokrytego futrem stworzenia i wyjęła świeże jajko, które przyniosła mu Jako poczęstunek. Rozbiła je na połówki i położyła lepiący się dar na oczyszczonym z liści miejscu.

- Dobry mały - powiedziała łagodnie do podchodzącego lękliwie zwierzęcia. - Masz tutaj obiecane śniadanie, a potem pójdziemy złożyć wizytę, o której wczoraj ci wspominałam, dobrze?

Zwierzę zaczęło lizać białko, mrużąc cicho, kiedy Roanne głaskała jego lśniące futro. Potem sprawdziła, czy zagoiła się już jego rana od kolizji z motorowerem, którą leczyła od paru miesięcy. Ucieszyła się widząc, że wszystko dobrze się zbliżniło.

Śniadanie zostało skończone i Roanne wstała, chcąc poprowadzić towarzysza w stronę miasta, gdy usłyszała trzask łamanej gałązki i odwróciła się szybko. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, zwierzę plerzchnęło między drzewa. Przez chwilę widziała tylko biały puszysty ogon, skierowany ostrzegawczo do góry, jak wyzywająca lanca rycerza.

- Do diabła! - zawołała wiedząc, że cienka nić zaufania została na pewien czas zerwana. - Do wszystkich diabłów - powtórzyła widząc drelichowe spodnie Huntera pod oddzielającym ich dzikim winem. - Miałam nadzieję, że cię już więcej nie zobaczę.

- parę godzin temu też tak myślałem. Ale zobaczyłem cię przez okno i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie pójść za tobą i zobaczyć, co tutaj robisz.

- Nie dość, że brak ci silnej woli, to jeszcze wtrącasz się w nie swoje sprawy.

- To był przecież skunks - powiedział z niedowierzaniem. - I on pozwolił ci się oswoić?

Uznała, że nie musi mu odpowiadać. Czekala, aż odejdzie, tupiąc stopą w pokrytą mchem ziemię. Hunter podrapał się po brodzie.

- No dobrze, zostawmy na chwilę problem mojego braku silnej woli oraz twojego przywiązania do zwierzęcia, które może być chore na wściekliznę. Co to za wizyta, o której wspomniałaś?

- Dlaczego miałabym ci powiedzieć? - Trzymała głowę odwróconą, żeby nie patrzeć na jego nie ogoloną twarz, nie widzieć, że noc miał równie ciężką jak ona.

- I tak byś mi nie uwierzył.

- A Jeżeli przyrzeknę, że będę próbował?

Wcale tego nie pragnęła. Chciała, by zostawił ją samą. Chociaż może wreszcie odejdzie, jeżeli powie mu więcej takich rzeczy, z którymi według niego nie sposób się pogodzić. Przecież już raz to poskutkowało.

- On miał wyświadczyć mi przysługę - wyjaśniła.

Tylko nieznaczne drgnięcie końca wąsów zdradziło Jego sceptycyzm.

- Jaką?

- Chłopcy z miasteczka sprawiają mi kłopoty i postanowiłam dać im nauczkę. Miałam wsadzić go do do-

mku na ich podwórzu, gdzie biegną zaraz po przyjściu ze szkoły.

Usta Huntera zaczęły się podejrzanie wykrzywiać i Roanne zrozumiała, że nie tylko go rozbawiła, ale i zaciekaowała. Chciała już skończyć z rym wszystkim, machnęła więc ręką zrezygnowana i weszła na ścieżkę prowadzącą w stronę miasteczka. Mogę przecież zrobić zakupy, tak Jak planowałam, powiedziała do siebie. Ale Hunter nie zrozumiał, że nie Jest mile widziany i udał się za nią.

Co teraz? Co zmieniło się od wczoraj? Skąd ta jego wytrwałość? Powstrzymała się przed poszukaniem prawdziwej odpowiedzi w jego myślach, obawiając się, że może dowiedzieć się czegoś, z czym nie będzie w stanie sobie poradzić.

- Miałabyś ochotę porozmawiać o tych chłopcach?
- odważył się zapytać Hunter.

- Nie.

- Biedne dzieciaki. Twoja... hmm... nauczka byłaby raczej surowa.

Rozzłoszczona Roanne zatrzymała się i oświadczyła:

- Te biedne dzieciaki mają trzynaście i czternaście lat. Dostatecznie dużo, by wiedzieć, jak się zachowywać. Dostatecznie dużo, by nie wybijać okien, nie niszczyć cudzych plotów i nie wrywać roślin w ogrodzie. Któregoś dnia namalowali pentagram na mojej skrzynce na listy. - Ruszyła przed siebie, starając się ochłonąć, i Hunter podążył za nią.

- Próbowalaś porozmawiać z ich rodzicami?

Wyszli z lasu na skraj willowej części miasta. Roanne rzuciła mu ubawione spojrzenie i przeszła na drugą stronę ulicy.

- Zawdzięczam Im odwiedzinę szeryfa, który ostrzegł mnie, żebym nie ważyła się straszyć nikogo w jego

okręgu. Masz jeszcze dużo takich wspaniałych pomysłów?

Przyspieszyła kroku kierując się w stronę sklepu Berrych. Skrzynie pełne jesiennych owoców stary na ulicy, kusząc klientów. Przystanęła przy jabłkach, boleśnie świadoma obecności Huntera, który udawał zainteresowanie gruszkami. Nawet w niedbałym ubraniu rzuca się w oczy, pomyślała. Czy on nie rozumie, że to niedobrze, by jeszcze bardziej zwracano na mnie uwagę?

- Kupuje pani, czy nie?

Podniosła wzrok i spotkała czujne, lecz uparte spojrzenie bijące z kwaśnej twarzy pani Berry. Tak, pomyślała, tutaj Jest ktoś, kto może jeszcze bardziej niż Garrettowie zasługuje na nauczkę. Kusiło ją, by powiedzieć tej aroganckiej kobiecie, co o niej myśli. Ale potem wszystkie zakupy musiałyby robić w Innym, leżącym dalej sklepie.

- Tak - odparła, powstrzymując uczucie niechęci.

- Ale tu Jest tylko kilka całych jabłek, reszta jest pobijana.

- Hmm, pięć minut temu wszystkie były dobre.

Nie była to gorsza insynuacja od tych, które zwykle ją spotykały, ale Roanne zależało w tej chwili na pośpiechu. Zignorowała więc przycinek i wyjęła portmonetkę, by zapłacić za kilka owoców, które wybrała. Odczuła grzeszną przyjemność widząc, że pani Berry zmieszała się tym, że wyciągnęła w jej stronę rękę z pieniędzmi zamiast położyć je, jak zwykle, na ladzie. Podobnie jak większość ludzi, pani Berry również wolała unikać z nią jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Ale dzisiaj to Jej nie ominie, nagle przysięgła sobie Roanne, wciąż w złym humorze, ponieważ pokrzyżowano jej plany.

Pani Berry wyciągnęła z wahaniem rękę. Tego właś-

nie Roanne potrzebowała. Kiedy kobieta sięgała po pieniądze, schwyciła ją za nadgarstek.

- Chyba coś pani ostatnio dolega, prawda?

Pani Berry zareagowała, jakby oblando ją wiadrem lodowatej wody. Jej twarz poczerwieniała, zwiotczały podbródek trząsł się jak galareta.

- Co... co to znaczy? - wyjąkała, próbując wyrwać rękę.

- Bardzo źle pani wygląda. - Roanne zniżyła głos, by nikt oprócz Huntera nie mógł jej usłyszeć. - A może folguje sobie pani za bardzo, jeżeli chodzi o te ciastka, które trzyma pani w szafkach? Niech pani będzie ostrożna. Osoby ze skłonnością do cukrzycy nie mogą tak szafować swoim zdrowiem.

Gruba kobieta uwolniła wreszcie rękę i zaczęła wołać zdławionym głosem.

- Jak pani... Proszę iść! Wynos się stąd, ty diablo! Och, ona to zrobiła, ona rzuciła na mnie urok. George... George!

Pani Berry plerzchnęła do sklepu w poszukiwaniu pana Berry. Roanne włożyła Jabłka do siatki na zakupy, którą miała pod peleryną. No cóż, pomyślała, może później będę musiała za to zapłacić, ale było warto.

„Zawsze mogłoby tak być, tylko musisz pogodzić się bez zastrzeżeń ze swoją mocą”.

Roanne zmarszczyła brwi i szybko ruszyła w stronę przejścia dla pieszych. Zstępując z krawężnika, prawie zapomniała o obecności Huntera.

„Inni też powinni dostać nauczkę”.

- Nie teraz - Jęknęła, przykładając dłoń do czoła. Nigdy nie miała zamiaru mścić się za całe zło, jakiego doświadczyła od czasu przyjazdu do Cliff Point. Po pierwsze lista byłaby zbyt długa, a po drugie nie naprawia się zła, wyrządzając następne.

„I co, czy to nie wspaniałe uczucie, mieć taką władzę?”

Tak, temu nie mogła zaprzeczyć, uczucie było... upajające.

„Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz? Tylko raz”.

Głos stał się podobnie jak wiatr, jak chmury nad jej głową, mniej niewinny, groźniejszy. Zadrżała i głębiej schowała się pod osłonę kaptura i peleryny.

- Roanne.

Spostrzegła, że stoi po drugiej stronie ulicy, a Hunter trzyma Ją za ramię.

- Co takiego? - spytała, próbując zebrać rozbiegane myśli.

- Czy dobrze się czujesz?

Skinęła głową, choć nie była to prawda. Jeszcze jeden zakup i musi wrócić do domu. Nie potrafiłaby mu tego wytłumaczyć, ale szepczący w niej głos zaczął stawać się natrętny. Przeraziła się. Czowała, że nadciąga walka o to, czyja wola będzie silniejsza i nie chciała, żeby ktokolwiek był tego świadkiem, zwłaszcza on. Popelniła wielki błąd myśląc, że może bawić się zemstą, a jednocześnie jej dusza pozostanie czysta.

„Czysta? Straciłaś czystość, kiedy zawiodłaś Drewa”.

Ostatni zakup, pomyślała z desperacją i pośpieszyła do sklepu z artykułami żelaznymi, należącego do Guthreya i jego syna. Nadchodziła zima i musiała uszczelnić drzwi i okna. Co za dziwadło ze mnie, pomyślała walcząc z sobą, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Posiadam taką moc, a mimo wszystko muszę zdawać się na technikę, żeby zabezpieczyć dom przed chłodem.

Stanton Guthrey stał za kontuarem i wydawał klientowi resztę. Stanton junior, w wieku około czterdziestki, rzucił jej krótkie spojrzenie z nad dwuogniskowych, drucianych okularów i zgarbił się nad kwitami, które właś-

nie przeglądał. Takie zachowanie nie było dla niej niczym nowym, nawet jeszcze przed śmiercią Drewa jego manierom wiele można było zarzucić. Czuła się coraz bardziej nieswojo i marzyła, żeby sprzedał jej szybko to, czego potrzebowała i pozwolił wycofać się do zacisza domu.

- Proszę pana ~ powiedziała najuprzejmiej, jak umiała i wskazała na znajdującą się za nim półkę - czy byłby pan tak łaskaw...

- Jestem właśnie zajęty, proszę pani. - Tym razem dotarł wzrokiem tylko do dzwonka na ladzie przy jej zaciśniętych dłoniach. -1 jak pani widzi, ojciec też. Proszę czekać na swoją kolej.

Minęło pięć minut. Wchodzili następni ludzie i wychodzili z zakupami. Powiedziano jej, że ci klienci wcześniej telefonowali, chociaż nie trudziła się pytaniem, dlaczego tak się stało. Wiedziała, że nie o to chodzi.

- Wydaje mi się, że ta pani już dosyć się wyczekała.

Roanne przygryzła dolną wargę, by powstrzymać jęk protestu. Zajęta własnymi myślami, zapomniała o obecności Huntera. Podeszedł do niej, ale nie odważyła się spojrzeć na niego w obawie, że wyczyta zbyt wiele z jej oczu. Wyszeptala jedynie:

- Nie rób tego.

- Oni cię ignorują - odparł. - Dlaczego na to pozwalasz? Dlaczego stąd nie pójdziesz?

- Ponieważ i tak musiałabym przyjść kiedy Indziej, a wtedy byłoby jeszcze gorzej.

- W takim razie powiedz, co chcesz kupić, a ja to wezmę dla ciebie.

Była zakłopotana, trudno było jej utrzymać nerwy na wodzy. Obaj Guthreyowie oraz klienci przypatrywali im się otwarcie. Gdy powiedziała mu, czego potrzebuje, jego rozbawienie dopełniło miary.

- Tak, Jestem wrażliwa na przeciągi i przeziębiam się tak samo. Jak zwykli ludzie - mruknęła patrząc na niego ze złością.

W końcu zdecydowała, że jednak woli przeciągi niż tę sytuację i wyszła ze sklepu. Prawie biegła główną ulicą i nie zwolniła kroku, dopóki nie minęła ostatnich zabudowań i nie dotarła do ścieżki między drzewami, która była najkrótszą drogą do jej domu.

~ Hej!

Nie zatrzymała się. Wiedziała, że pogorszenie pogody nie nastąpiło z przyczyn naturalnych i jak niebezpieczna może stać się droga powrotna, jeżeli będzie marudziła. Przepadała za spacerami po lesie, ale lepiej będzie, jeżeli nadchodząca bitwa o jej duszę rozegra się u niej w domu i nie z Hunterem Jako świadkiem lub, co gorsza, ofiarą.

- Zaczekaj!

Złapał ją za przegub ręki i odwrócił do siebie. Pomiędzy tyłu przeżyć musiał być w znakomitej formie, jeżeli dogonił ją bez wysiłku. Tamtego dnia uznała, że jest jakieś dziesięć lat od niej starszy, czyli ma lat prawie czterdzieści. Teraz, kiedy zatrzymał się, żeby włożyć torbę z zakupami do jej siatki, była z kolei pod wrażeniem tego, że w jego falistych, rozwichrzonych przez wiatr włosach nie ma ani śladu siwizny.

- Czy ty nigdy nie używasz samochodu? - spytał, machając odmownie ręką, gdy szybko sięgnęła po portmonetkę, by zwrócić mu pieniądze.

O tym też nie miała ochoty z nim rozmawiać. Samochód był stary i usiłowała przedłużyć jego żywot na wypadek, gdyby kiedykolwiek nadarzyła się sposobność wyjechania stąd na zawsze. Co prawda, wcale się na to nie zanosilo. Przypomniła sobie o weterynarzu, który ostatnio skontaktował się z nią i wyraził chęć na kupno

jej domu. Ale nie odezwał się po raz drugi, tak jak wielu innych.

- Schowaj to - powiedział stanowczo Hunter widząc, że wciąż jest zdecydowana zwrócić mu pieniądze. - Potraktuj to jako łapówkę.

- Za co? - spytała. Jak zawsze nieufnie.

- Za jeszcze parę wyjaśnień.

- Zapomniałeś, że nie odpowiadają ci moje wyjaśnienia? ~ powiedziała, patrząc z obawą na drzewa wyginające się pod wpływem narastającego wiatru.

- Tak było, zanim nie zobaczyłem, jak traktują dc w miasteczku. Czy wszyscy są tacy?

- Mniej więcej.

- Więc dlaczego nie sprzedasz domu i nie wyjedziesz?

» Próbowałam, ale tutejszy pośrednik nie będzie się

Już tym zajmował, bo jego tablice Informacyjne znikają z mojego podwórza. Było trochę ofert na ogłoszenia. Jakie zamieściłam w kilku gazetach, ale wszystkich zainteresowanych odstraszyli tutejsi ludzie, którzy nie chcą, żeby mi się udało go sprzedać.

- W takim razie zostaw wszystko i wynieś się stąd.

- Dać za wygraną, zrobić tak, jak oni chcą? Nigdy.

„On mógłby ci pomóc”, pojawił się głos, silniejszy niż

kiedykolwiek. „Wykorzystaj go. Już i tak zawrócił sobie tobą głowę. Spraw, żeby płonął z namiętności. Użyj swojej siły. **Użyj!**”

Czuła coraz silniejsze pulsowanie w skroniach. Musiała zamknąć oczy, gdyż w takich chwilach wszystko stawało się zbyt ostre, zbyt wyraziste i sprawiało jej ból. Zbliżało się to, czego od dawna się obawiała. Traciła władzę, traciła kontakt z rzeczywistością. Nawet siła kołysząca świerkami i dębami wyglądała jak nie z tego świata, a wiatr... Jego zawrodoenie przypominało raczej chichot upiórów. Takie rzeczy zdarzały się już uprze-

dno, ale nigdy nie były tak przerażające, przynajmniej od czasu, gdy...

- Co się dzieje? - dopytywał się Hunter.

- Nic. Muszę Iść. Ta pogoda...

- Do diabła z pogodą. - Hunter pociągnął ją, aż oparła się o stary świerk. - Przestań mnie odpychać. Czy ci się to podoba, czy nie, przewróciłaś cały mój świat do góry nogami. Chcesz wiedzieć, co ja o tym wszystkim myślę?

- Nic nie mów. - Usiłowała uwolnić się, ale tylko upuściła siatkę.

- A właśnie, że powiem. Nie obchodzi mnie nic, rozumiesz? Uświadomiłem sobie, że nie obchodzi mnie, kim Jesteś, albo dokładniej, kim myślisz, że jesteś. Cokolwiek to jest, wywiera na mnie dobry skutek. Kimkolwiek jesteś, ja ciebie potrzebuję, potrzebuję twojego zaufania i twojej dobroci.

Zaczęła bić go w pierś, żeby go uciszyć.

- Przestań!

- Nie mogę. Nie mogę nic robić... ani jeść, ani spać... Mam tylko to jedno nienaturalne, niemożliwe do zaspokojenia pragnienie. Ciebie.

- Przestań.

Wszystko zaczęło mieszać się w tym szaleństwie. Ona nie Jest dobra. On się myli! I nagle okazało się, że już go nie odpycha, lecz przyciąga. Ścisnęła jego sweter pełnymi garściami, jakby to była ostatnia nić łącząca ją z normalnością.

- Przestań, przestań! - szlochała.

Pocałowała go, żeby nie wpaść w histerię. Pocałowała go, ponieważ to, o co chciał ją poprosić, było niemożliwe. Zabronione. Ale przede wszystkim pocałowała go dlatego, że chciała mieć jedno wspaniałe wspomnienie, zanim pozwoli mu odejść.

- Och, Boże. - Jego silne dało zadrzało, ale przycisnęło ją mocniej, żądało więcej, jakby chciało wchłonąć każdy skrawek jej ciała. - O, tak.

Pochylił głowę i zatopili się w uścisku, jego usta zamknęły się na jej ustach i powitały jej zaborczość z gwałtownością, która w ciągu paru sekund wywołała w niej drżenie. Tulił ją coraz mocniej. Poznawała jego depło i smak. Zbyt długo w jej sercu panowała pustka, zbyt często kontakty z ludźmi były przygnębiające, zbyt dawało Jej się we znaki odosobnienie. Chciała na chwilę odroczyć powrót w samotność, która była jej przeznaczeniem.

- Chcę... Czuję, że... - Hunter z westchnieniem schował twarz w zagłębieniu Jej szyi. - Najpierw uratowałaś mi życie, a teraz nad nim panujesz. Czy ty to rozumiesz?

Tak, rozumiała, ale wcale nie pragnęła mieć nad nim tego rodzaju władzy. Jednak, kiedy sięgnął pod pelerynę, zdusiła słowa, które mogłyby zakończyć tę piękną chwilę. Jeszcze tylko troszeczkę, przekonywała samą siebie, kiedy jego delikatne, ale zdecydowane ręce poznawały kształt boleśnie nabrzmiałych piersi, wpiły się w talię i objęły dasno biodra.

- Potrzebuję dę - powiedział zmienionym głosem.

Ona nie mniej potrzebowała Jego, ale było przedeź coś, o czym nie mógł się dowiedzieć. Brutalnie stłumiła tęsknotę swego dała i wyszeptła:

- Przepraszam... Aleja nie mogę.

Zesztywniał i powoli uniół głowę, szukając jej wzroku. W jego oczach dojrzała niepewność.

- Rozumiem, nie tutaj - zgodził się z widocznym ociąganiem. - Ale niedługo.

- Posłuchaj. - Roanne wyzwoiliła się z jego objęć,

JMlel Nie bądź głupia. Zostań. Weź go ze sobą".

Walcząc jednocześnie z głosami i z pokusą mocniejszą niż jakikolwiek narkotyk, chwyciła swoją siatkę z zakupami i przycisnęła kurczowo do piersi jak tarczę.

- Mylisz się co do mnie. Potrzebujesz kogoś, kto nauczy cię żyć i marzyć na nowo. Spotkasz Ją na pewno, bo teraz poczujesz się lepiej. Ale... Ale nie możesz być ze mną.

- Dlaczego? - Błysk Jego oczu wskazywał, że zamierza przekonać Ją, jak bardzo się myli.

„Jesteś głupia. Tchórzliwa!”

Wiatr wzmagał się coraz bardziej. Nagle, nie dalej niż kilka metrów od nich, potężna gałąź oderwała się od drzewa i runęła z trzaskiem. W twarzy Huntera widać było rosnącą niepewność, kiedy przeszukiwał wzrokiem niebo. Roanne wiedziała, o czym myślał. Próbował zrozumieć szybkość i gwałtowność, z jaką psuła się pogoda, choć wiedział, że nie ma na to logicznego uzasadnienia.

- Oto właśnie, dlaczego - powiedziała Roanne, dotykając jego policzka i cofając się. - Idź szybko do domu i trzymaj się ode mnie z daleka.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Proszę cię. Nie chcę, żeby coś ci się stało, ale nie mogę niczego zagwarantować. Jeżeli nie zrobisz tego, o co cię proszę. Trzymaj się z daleka - mówiła błagalnie.

Nawet gdyby chciał jej słuchać, wiedziała, że to na nic, bowiem słowa jej zostały zagłuszone niespodziewanym hukiem pioruna. Wiedziała doskonale, że wywołała to nienaturalną siłą i pobięła do domu, żeby utrzymać ją jak najdalej od niego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ta kobieta staje się twoją obsesją.

Hunter podniósł zmęczony wzrok znad sterty książek na biurku i spojrzął na zimną twarz ojca.

- Nie mogę temu zaprzeczyć - powiedział.

- Ona robi z ciebie dumia.

Być może. Jeżeli być dumniem znaczyło wydzwaniać przez ostatnie dni do różnych przyjaciół i ekspertów w Bostonie i pytać ich o źródła wiedzy na temat zjawisk nadprzyrodzonych, to ojciec miał rację. Kilku delikatnie dało mu do zrozumienia, że powinien natychmiast poszukać porady lekarza. Inni zadawali szczegółowe pytania, a potem podawali zadziwiająco dużo informacji i porad. Nigdy nie podejrzewał, jak wielu ludzi odpowiedzialnych i inteligentnych wierzy w przeróżne dziwne zjawiska.

O wiele łatwiej byłoby, gdyby mógł zapytać o to Roxanne. Ale wszystkie próby spotkania z nią, jakie uczynił od tamtego dnia w lesie, zakończyły się fiaskiem. W jakiś sposób wyczuwała, że on nadchodzi i znikala albo zamykała się w domu, nie odzywając się, kiedy pukał, stukał i wreszcie walił do drzwi.

Martwił się o nią. Więcej nawet - obawiał się, że coś się stanie. Czuł, że oszaleje, jeżeli nie upewni się, że nic się jej nie stało.

- Doprowadzasz mnie do szału tymi swoimi nawiedzonymi bzdurami - burknął Leland, przerywając tok jego myśli.

Co za ironia, że ojciec umiał tak wstrzelić się w Jego myśli, chociaż nadal trudno im było rozmawiać na zwykłe tematy. Obserwował go, jak sięga do kieszeni swetra po fajkę. Podobieństwo między nimi czyniło jeszcze smutniejszym fakt, że mur, jaki między sobą wzniesli, wydawał się nie do przebiccia.

- A może chcesz porozmawiać o czymś innym? - zapytał, nie licząc na przychylną reakcję ojca. - Powiedziałem ci przecież, że głównym celem mojego przyjazdu jest uleczenie starych ran.

- Ale nie jest głównym powodem, dla którego siedzisz tutaj - odpalił Leland, patrząc na kłęby dymu, które tworzyły między nimi zasłonę.

- Nie, już nie. - Hunter czuł ból z powodu straconych lat, ale nie mógł zmienić tego, czego nie potrafił zrozumieć. Podniósł rękę widząc, że Leland ma zamiar coś powiedzieć. - Nie będziemy też dyskutować o Roan-
ne. Nieważne, co mówią ludzie, ona pomogła mi bardziej niż ktokolwiek. Słuchaj, naprawa mojego samochodu przeciąga się, a wiem, że wolisz samotność, powiedz więc tylko słowo, a wynajmę sobie pokój w...

- Skąd możesz wiedzieć, co ja wolę?

- Świadczy o tym każde twoje spojrzenie i gest.

- Tylko dlatego, że nie jestem specjalnie wylewny, tylko dlatego, że zostałem nauczony panować nad swoimi uczuciami...

- Ukrywać. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Ukrywasz swoje prawdziwe uczucia, zawsze to robiłeś. Tak było, kiedy mama chorowała i tak robiłeś po śmierci Cady.

- Ty nazywasz to rozmową? Wyciągasz sprawy z przeszłości i wypominasz mi wszystkie błędy, które popełniłem jako mąż, ojciec i dziadek - odciął się Leland. - Ubolewanie nad tym nic nie zmienia, więc o co ci chodzi?

- Może w końcu udałoby mi się ciebie zrozumieć. Podobno zrozumieć znaczy przebaczyć. Żaden z nas nie robi się coraz młodszy. Czy mamy zachowywać się tak aż do śmierci?

Leland zamknął oczy i grymas bólu przebiegł **przez** jego pokrytą zmarszczkami, lecz wciąż przystojną **twarz**.

- Podejmujesz decyzję, a potem musisz żyć z **jej** konsekwencjami. Tak to już Jest. - Otworzył oczy, wstał i podszedł do barku, - Robi się późno. Wstąpiłem **tu** tylko po to, żeby nalać sobie czegoś przed snem. Masz **na** coś ochotę?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Hunter gorzko. - Jeden z nas powinien być trzeźwy w razie jakiegoś wypadku.

Ojciec nalał sobie właśnie trochę whisky do ciężkiej kryształowej szklanki, ale po tym docinku dołał drugie tyle, po czym, nie odzywając się już więcej, wyszedł.

- Wyraźny postęp - mruknął Hunter, chociaż nie był pewien, czy zwraca się do ojca, czy też do siebie. Tym razem przynajmniej nie zaczęli na siebie wrzeszczeć.

Wiedział, że tego wieczoru nie będzie już mógł czytać. Zamknął książkę, wstał i poszedł do łazienki. Kiedy jednak wziął prysznic, a następnie wsunął się nagi do swojego łóżka, okazało się, że sen Jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę. Podłożył splecione ręce pod głowę, skierował wzrok na oświetlony światłem księżycyca sufit i wrócił myślami do Roanne.

Ciekawe, co teraz robi. Czy myśli o nim, czy pamięta te chwile, kiedy trzymał ją w ramionach? Jak ona może wytrzymać, zamykając się tak przed nim? Zamknął oczy i stłumił jęk, którym jego ciało zareagowało na dręczące wspomnienia.

Nie bardzo wiedział, dlaczego z powrotem otworzył oczy, kiedy to było i czy rzeczywiście to zrobił. Z jednej strony był przekonany, że zasnął na chwilę, ponieważ

clenie w pokoju układały się teraz Inaczej. I gdy uzmysłowił sobie, że wystarczy sprawdzić godzinę na budziku stojącym na stoliku nocnym, wtedy zobaczył Ją.

Wyszła z najgłębszego cienia. Z takim wdziękiem, że wyglądało to, jakby płynęła w powietrzu. Podeszła do nóg Jego łóżka i obserwowała go śpiącego. On przecież spał! Miał wrażenie. Jakby widział to wszystko trzecim okiem. Oszołomiony, zachwycony, ale także zaniepokojony dziwnością sytuacji próbował poruszyć się i okazało się, że nie może, jakby całe ciało miał z ołowiu.

Ku Jego zdumieniu i radości, zaczęła się nad nim pochylać. Ruchy miała powolne i zwiewne. Jej długie, czarniejsze niż noc włosy zamknęły Ich jak w kokonie narastającej zmysłowości. Nie umiałby tego opisać, ale jej ciało było dziwnie lekkie, jakby nic nie ważyło. Jego natomiast robiło się twarde i gorące. W końcu jej usta dotarły do jego ust i wpił się w nie chciwie. Gardło miał wyschnięte, ale z duszą było tysiąc razy gorzej. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie miał dosyć, czy zatopi się w Jej słodkich, wilgotnych pocałunkach. Chciał uwolnić ramiona od niewidzialnych kajdanów, które nie pozwalały mu wziąć jej w objęcia, ale okazało się to niemożliwe.

- To musi być sen - jęknął, chwytając za prześcieradło, kiedy zaczęła okrywać jego ciało pocałunkami.

- Nie pozwól mi odejść. - To była Jej jedyna odpowiedź.

Tak naprawdę nie był to głos, a jedynie odległa świadomość, jakby echo płynące od oceanu. Ale morze, uświadomił sobie, jest przecież prawdziwe. Ona zaś nie może być niczym innym niż fantazją, morską czarownicą, która w jakiś sposób przeniknęła do wyobraźni, kiedy sen unicestwił system obronny jego umysłu.

- Pozwól mi zostać. Przecież mnie pragniesz.

Tak, pragną! jej... Jej rąk i ust... i zapomnienia, uniesienia i spokoju. Wiedział, że mogłaby to wszystko mu dać. Ale nie stanie się tak, podpowiadała mu z rozpaczą ostatnia cząstka świadomości, jeżeli ona jest jedynie wytworem zmysłowego marzenia.

- Ty nie jesteś prawdziwa - powiedział ochryplym głosem i, zbierając w sobie siły, usiadł na łóżku.

Jego ciało spływało potem, był podniecony aż do bólu. Oddychał z trudem... i był sam. To zaskoczyło i zabolowało go najbardziej. Był sam. Pograżony w smutku i śmiertelnie znużony, odrzucił przykrycie i wstał. Nie zważając na ciemności, poszedł do łazienki. Światło nie było mu w tej chwili potrzebne, a przy tym nie miał zbyt wielkiej ochoty patrzeć teraz na swoją twarz w lustrze.

Rury zajęczały w proteście, kiedy gwałtownie odkręcił oba krany, z gorącą i zimną wodą. Rzeczywistość okazała się bezlitosna, gdy nie czekając wszedł pod prysznic, spod którego spadły na niego lodowate Igły. Oparł się rękami o wyłożoną kafelkami ścianę i zmusił się do pozostania.

W końcu zaczęła płynąć cieplejsza woda. Nadstawił twarz pod strumień i próbował się uspokoić. Tak, to właśnie jest rzeczywistość, powiedział do siebie czekając, aż opadnie gorączka, a Jego ciało odpręży się. Zamiast tego jednak znów poczuł łagodny powiew jej zapachu, a w chwilę później osaczyła go jej obecność.

Do diabła, przecież nie śpił Łazienka jest prawdziwa, podobnie woda spływająca po jego ciele, a to są jego dłonie ściśnięte w pięści. Zadrzał, gdy Jej usta przejęły inicjatywę tam, gdzie zatrzymały się ręce. W obawie, że ugną się pod nim nogi, i zaciskając zęby, żeby nie wykrzyknąć cisnących się na usta dosadnych, rozpaczliwych słów, przycisnął głowę do przedramienia.

- Roanne. - Imię jej wyrwało się z głębin Jego jestwa. - Cudowna... Roanne.

Jeszcze wiele razy uderzyło mu serce, zanim wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi, w sposób, którego nawet nie miał nadziei zrozumieć, doprowadziła go do gwałtownego, niewiarygodnego wyzwolenia. Nie wiedział, jak długo stał jeszcze po tym, kiedy poczuł, że jej obecność powoli słabnie i znika. W końcu zdał sobie sprawę, że zużył całą gorącą wodę i teraz trzęsie się już tylko z zimna. Wyszedł spod prysznica chwiejnym krokiem, przytrzymując się ściany, wziął ręcznik i potykając się wrócił do łóżka.

Rzucił się twarzą na zmietoszoną pościel, chwycił poduszki i ścisnął je kurczowo z taką siłą, że rozbolały go ramiona. Próbował myśleć, ale nie mógł, chciał zrozumieć, ale nie był w stanie. Wiedział jedynie, że uwierzył i z tą świadomością zapadł w ciężki, męczący sen.

Następnego dnia, późnym rankiem, frontowe drzwi domku Roanne były otwarte. Hunter wszedł do środka. Widziała, że Jest tym zaskoczony.

- Cześć - mruknął. Na jego napiętej twarzy nie było uśmiechu.

Niepotrzebne były uśmiechy, wystarczyła jej promieniująca od niego aura ulgi i zadowolenia. Jednak obawiając się, że może przekroczyć granice, jakie sobie pieczołowicie wyznaczyła, nie przestawała ugniatać ciasta na chleb, który piekła dla siebie co tydzień.

- Weź sobie kawy.

- Trafiłem na dzień, kiedy jesteś zajęta? - zagadnął, podchodząc do stołu.

Przebiegały między nimi tak potężne prądy, że dziwne było, iż nic nie iskrzy się w powietrzu.

- Tutaj zawsze jest coś do zrobienia - odpowiedziała

zdając sobie sprawę, że jej gość przypatruje się porzastawianym wokół różnorodnym miskom, - Robię dżemy i sosy, a także szyć. Wszystko to sprzedaję do różnych specjalistycznych sklepów,

- To chyba nie jest larwy sposób zarabiania na życie?

- Nie mam zbyt dużych potrzeb.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czy... - zaczęła.

- Przyszedłem, żeby... - powiedział w tym samym momencie.

- Przepraszam, mów.

- Nie, ty powiedz pierwsza.

- Ja tylko... Chciałam zapytać, czy dobrze się czujesz.

- Czyżbyś tego nie wiedziała? - zapytał cicho.

- Ty też byłeś zajęty - powiedziała czując, że rozmowa nie będzie łatwa i decydując się od razu przejść do sedna, zanim uda mu się zwać w niebezpieczne rejony. - Myślę jednak, że popełniasz błąd, jeżeli chodzi o twoje zainteresowania. Nie ułatwia ci to porozumienia z ojcem.

- Nie mogę się nadziwić, jak łatwo przychodzi ci poruszanie się w moich myślach - powiedział Hunter śmiejąc się niepewnie i odstawiając kubek.

- To twoja wina, jesteś zbyt otwarty wobec mnie. Byłoby mi trudniej, gdybyś był bardziej podobny do Lelanda.

- Gdybym był bardziej podobny do Lelanda, wątpię, czy wróciłbym tutaj. - Potrząsnął głową. - Czy ty domyślasz się, o co mu chodzi? Co on usiłuje przede mną ukryć?

- Nie. Tak jak ci powiedziałam, nie z każdym to się udaje. - Kiedyś próbowała, ale Leland Thome był dla

niej nieprzenikniony jak ściana. Wzdrygnęła się, gdy* obraz pewnej ściany, a właściwie muru, zamigotał przed jej oczami.

- Co się stało?

- Nic. To znaczy, nie jestem pewna. Bądź ostrożny, dobrze?

- Czy to jest przecucie? - spytał zmarszczywszy brwi.

- Nie jestem pewna.

- Ale czy ma to coś wspólnego z tym dniem w lesie?

- Tamto nie dotyczyło ciebie. - W każdym razie tak długo, dopóki trzymam go w bezpiecznej odległości, pomyślała. ~ Nie musisz się przejmować.

Jej słowa zabrzmiały nonszalancko, ale tak naprawdę od wielu dni żyła niemal w ukryciu, prawie nie wychodząc z domu. Gdyby nie musiała zanosić jedzenia Pontusowi, zamknęłaby się na cztery spusty i zwinęła w matczyным bujanym fotelu, spędzając godziny na ściskaniu w ręce starego celtyckiego krzyża i szeptaniu modlitw, których nauczyła ją matka, zanim zaczęła wtajemniczać ją w arkana białej magli.

- Nie dotyczy mnie? - Hunter obszedł stół i schwył ją za ramiona zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy. - Jak myślisz, dlaczego przetrząsnąłem dwa stany próbując znaleźć wszystko, cokolwiek napisano o tajemnych naukach? Ja chcę to zrozumieć. Chcę, żebyś czuła się spokojna rozmawiając ze mną. Chcę...

- Czy możesz posłuchać? - Roanne wyrwała mu się, potrącając miskę, w której studziły się ugotowane właśnie żurawiny. Zawartość rozkołysała się niby fala gwałtownego przypływu i część wychlapała się na biały stół. Z rosnącym przerażeniem patrzyła, Jak sok przemienia się w krew, która nie płynie Już z fajansowej misy, a z głowy dziewczynki z włosami w lokach, leżącej na

brzegu betonowego placu zabaw obok bujającej się jeszcze pustej huśtawki.

- Co się stało? Co zobaczyłaś? - zapytał Hunter, gładząc Jej włosy.

Poczuła, że robi się jej niedobrze. Na poły oślepiona **przez** ból, jaki dokuczał dziecku, chwyciła go za rękę. **Ciepła i** mocna, była oparciem, jakiego potrzebowała.

- Słyszałam, że przyjechałeś samochodem. Czy **możesz zawieźć** mnie do szkoły? Albo nie, do biblioteki... **najpierw** musimy do biblioteki.

- **Ja..**, Tak, oczywiście. Kiedy?

- Teraz, **Och**, Boże... śpieszmy się!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pozwoliła mu na kilka minut przejąć inicjatywę. Zmusił ją, by włożyła pelerynę, gdyż na dworze było chłodno. Sam zapiął jej pas bezpieczeństwa. Tym razem była tak bardzo zdenerwowana, ponieważ chodziło o dziecko. Mimo kłopotów z małymi Garrettami, Roanne uwielbiała dzieci i zanim poznała całą prawdę o ciotce Ulith i wyszła za mąż za Drewa, bardzo pragnęła mieć co najmniej jedno. Teraz wątpliwe było, czy kiedykolwiek pozwoli sobie na urodzenie dziecka i była tym bardziej opiekuńcza w stosunku do dzieci w ogóle,

- Kogo będziemy szukać w bibliotece? - spytał Hunter, siadając za kierownicą samochodu ojca i jadąc w kierunku szosy.

- Rosemary Shelton. To jej córkę, Marcie, widziałam przed chwilą.

Gdy Hunter wspomniał, że pamięta Rosemary ze szkoły, opowiedziała mu w skrócie swoje widzenie.

- Czy odczuwasz to wszystko, co oni? - zapytał cicho.

- Czasami, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieci. - Odwróciła głowę do okna mając nadzieję, że już nie będzie zadawał jej więcej pytań.

- Ile mamy czasu?

- Za mało. Śpiesz się, proszę.

Rosemary Shelton była niską, mocno zbudowaną kobietą, wyglądającą jak starsza wersja swojej córki. Roanne nigdy z nią nie rozmawiała, gdyż nieczęsto bywała

w bibliotece i była wdzięczna Hunterowi, który podszedł do Rosemary, przywitał się i odciągnął ją na bok.

- Marcie jest dzisiaj w szkole, prawda? - zaczął. Wyraz twarzy Rosemary stał się podejrzliwy. Spojrzała na Roanne.

- Oczywiście. A o co chodzi? I co ona tu robi?

- Pani musi iść do niej - powiedziała Roanne nagłaco. - Nie powinna być na placu zabaw w czasie przerwy, a zwłaszcza podchodzić do huśtawki.

- Co takiego? Dlaczego miałabym to zrobić?

- Słuchaj, Rosemary - wtrącił się Hunter. - Spróbuj się uspokoić. Roanne tylko...

- Teraz nie ma na to czasu! - krzyknęła Roanne zerknąwszy na zegarek. Gwałtownie złapała Rosemary za ramię. - Pani córce grozi wypadek. Niech pani idzie z nami albo żyje potem z poczuciem winy.

Na dotarcie do szkoły stracili następne dwie cenne minuty. W bramie prowadzącej na plac zabaw, pełnym rozbieganych dzieci, zostali zatrzymani przez dyżurującą nauczycielkę. Nieszczęśliwym trafem nie знаła Rosemary Shelton, nie mówiąc już o Hunterze czy Roanne. Zanim zdolali przekonać ją, że muszą dostać się do środka, rozległ się piskliwy krzyk, a następnie płacz.

- Moje dziecko! - krzyknęła pani Shelton, przedzierając się przez bramę i pędząc w stronę leżącej dziewczynki. - Marcie... Niech ktoś zadzwoni po karetkę, po doktora!

Roanne i Hunter przedarli się przez blokującą drogę dzieci. Roanne przykucnęła przy Rosemary i powiedziała:

- Proszę pani, może ja mogłabym...

- Wynos się! Już dosyć złego narobiłaś! - zawodziła kobieta.

- Ależ ja...

- Zrobiłaś to, bo bałam się z tobą rozmawiać! Wiem o tobie i o tym, jak grozisz ludziom. Wszyscy w bibliotece słyszeli, jak na mnie krzyczałaś. Trzeba być straszłą kobietą, żeby użyć dziecka do tych swoich diabelskich sztuczek. Straszna!

Roanne poczuła się niepotrzebna i opuszczona. Oszołomiona wymówkami Rosemai Shelton dopiero po chwili zorientowała się, że Hunter jest przy niej.

- Weź samochód i jedź do domu - powiedział spokojnie. - Zostanę tu, żeby zobaczyć, co da się zrobić i zjawię się jak najszybciej. Wszystko będzie dobrze. - Pocałował ją w czoło. - Wszystko będzie dobrze.

Ale mylił się.

„No widzisz? Nikt cię nie docenia. Tylko my cię rozumiemy. Połącz się z naszą siłą. Uwierz w siebie”.

Szept był coraz silniejszy, a wraz z nim narastał wiatr, wciskał się pod pelerynę. Roanne odwróciła głowę w stronę lądu. Nie przyszła tutaj, żeby tego słuchać. Zeszła w dół, na plażę, chcąc oddalić się od swoich problemów, od samej siebie. Jednak po kilku godzinach spaceru okazało się, że traciła czas. Nie było ulgi, nie było ucieczki. Jej myśli i uczucia wciąż były niespokojne, a głosy nasilały się.

Przygnębienia nie rozwiązał nawet wcześniejszy telefon od weterynarza. Wątpiła, czy naprawdę przyjedzie, żeby porozmawiać poważnie o jej posiadłości. Dlaczego miałby różnić się od tych, którzy byli tu wcześniej?

Silniejsza od innych fala uderzyła w samotną skałę sterczącą tuż przy brzegu i woda rozprysnęła się jak eksplodujący fajerwerk. Roanne czuła, że z tą skałą łączy ją szczególne braterstwo. Ona sama także była samotna i napastowana ze wszystkich stron. Nawet Hunter odsunął ją od siebie. Oczywiście postąpił słusznie,

nie powinien się z nią pokazywać, zwłaszcza że pochodził z jednej z najstarszych, najbardziej poważanych w okolicy rodzin. Mówiła sobie, że się tym nie przejmuje, ale czuła do niego żal.

„Potępiasz go za to, że jest ostrożny? Zobacz, co mi przyniosła miłość do ciebie”.

Zabrakło Jej tchu i obróciła się, przeszukując wzrokiem ciemniejszy horyzont. Czy to możliwe?

- Drew?

Był już zmierzch i linia oddzielająca niebo od morza szybko rozmywała się, stwarzając Jakiś nowy wymiar, wzmagający poczucie strachu.

„Roanne..”

Wilgotny piasek również brał udział w spisku przeciwko niej, przesuwając się i wciągając jej obute stopy. Zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Nie podda się, nie odda swojej niezależności. Ruszając z powrotem do domu, mocniej otuliła się peleryną.

Gdzie jest Pontus? Przecież był z nią, kiedy schodziła na plażę, a teraz... Aha, pomyślała patrząc w górę i Idąc dalej niepewnymi krokami. Powinam była się domyślić.

Na szczycie urwiska pojawiła się męska sylwetka, oświetlona ostatnimi smugami różu i fioletu zachodzącego słońca. Łatwo można było go poznać dzięki szerokim ramionom i długim nogom. Roanne nie potrafiła opanować tęsknoty na Jego widok. Niestety, pojawił się za późno. Już za pierwszym razem było za późno.

- Byłem tu wcześniej, ale nie widziałem samochodu
- powiedział Hunter, kiedy doszła do szczytu urwiska.
- Nie musiałaś odprowadzać go do domu ojca.

Udawiała, że nie widzi ramienia, które wyciągnął, by Jej pomóc i objąć. Patrzyła pod nogi.

- Myślałam, że może go potrzebować. Nie byłoby rozsądnie, gdyby stał zbyt długo przed nioiiii domem-

- A to dlaczego?
- Jeżeli miałeś wcześniej jakieś wątpliwości, to teraz chyba już rozumiałeś.

Spróbowała go ominąć, ale zastąpił jej drogę.

- Jest ci przykro, że kazałem ci jechać? Chciałem tylko, żeby nie spotkało cię więcej nieprzyjemności. Do diabła - zaklął starając się uspokoić. - Nie przyszedłem tu klócić się z tobą. Przyszedłem ci powiedzieć, że rana Marcie została opatrzona. Ma lekki wstrząs, ale szybko z tego wyjdzie.

- Czy nie domyślasz się, że ja już to wiem? I co więcej, nie potrzebuję opieki.

- Z tym się nie zgadzam - odparł z przekonaniem.

- Przejmuję się tym, że obywatele Cliff Point nie doceniają faktu, że mają między sobą anioła stróża, ani nie interesuje Ich, co on odczuwa, kiedy stara się chronić Ich dzieci.

- Nie rób ze mnie kogoś, kim nie jestem - odparła Roanne potrząsając głową. - Przeczytałeś parę książek i zobaczyłeś, jak raz dla odmiany próbowałam zrobić coś dobrego, ale tak naprawdę wcale mnie nie znasz ani nie wiesz, do czego jestem zdolna. Rosemary Shelton miała rację.

- To śmieszne i ty dobrze o tym wiesz.

- Naprawdę? W takim razie, dlaczego nie powiedziałam, żebyś zawiózł mnie prosto do szkoły? Rozmowa z nią była tylko stratą czasu. A jeśli naprawdę postanowię zrobić coś, żeby wszyscy zrozumieli, że źle się do mnie odnoszą? Pomyśl też o strachu pani Berry i o tym, co chciałam zrobić młodym Garrettom.

- Ta stara krowa zachowała się ordynarnie. Ty tylko osadziłaś ją na miejscu.

- Chyba nie doceniasz siły sugestii.

- Nonsens. A co do reszty, to czy skunks byłby rze-

czywiście takim srogim rewanżem? Skończyłoby się na kilku dłuższych kąpielach. No tak, to naprawdę brutalne śródkił

- Hunter, idź do domu. Twoja opinia na ten temat nie zmieni niczego. Nie masz tu czego szukać.

Schwycił ją za rękę i mocno przyciągnął do siebie.

- Jak możesz mówić coś takiego? - Wsunął rękę pod kaptur i delikatnie, lecz stanowczo podniósł jej głowę. - Powiedziałas przecież, że nie robisz sobie z tego zabawy. - Drugą ręką otoczył jej twarz i pogłaskał po policzku. - Czy chcesz teraz zacząć? A może zrobiłaś to wczoraj w nocy, kiedy przyszłaś do mojego pokoju i kochałaś się ze mną?

Wspomnienie, żar i pożądanie stały się niemal namacalne. Wiedziała, że jest równie podniecony jak tamtej nocy.

- Ja... - Poczowała suchość w ustach pod wpływem gorączki pałającej w Jego oczach. - Ja nigdy nie byłam w twoim pokoju.

- Akurat.

Każdy psychiatra może ci powiedzieć, że twoje doznania były wynikiem autohipnozy. Takie pobożne życzenia.

- Ale oboje wiemy, jak było naprawdę. - Mocniej ścisnął jej rękę. - Przecież wiesz, że właśnie dlatego dziś rano piąszedłem. Chciałem rozmówić się z tobą, ale przeszkodziła nam twoja wizja. Teraz przestańmy owijać wszystko w bawełnę. Przestań również zniechęcać mnie z taką zawziętością.

- Hunter...

- Nic, co powiesz, nie zmieni mojej decyzji. - Przyciągnął ją bliżej, zmuszając, by na niego spojrzała. - Naprawdę myślisz, że mogę odejść od ciebie? Już jest za późno. Potrafię myśleć wyłącznie o ostatniej nocy...

o tym wszystkim, co ze mną robiłaś... i o tym, jak bardzo pragnę zrobić to samo z tobą. Czytaj w moich myślach, Roanne.

- Czy ty słuchałeś, co do ciebie mówiłam? Tu nie chodzi o to, czego ja chcę. Chodzi o to, co jest.

- To jakieś wykręty.

- Nie mogę ci dać tego, czego chcesz.

- A o co takiego. Ja cię proszę poza tym, żebyś była kobietą? Moją kobietą - dodał głębokim i zniewalającym tonem. - Dzieje się między nami coś wyjątkowego, coś, co łamie schematy. Czy takie pozytywne zjawisko nie zasługuje na to, aby dać mu szansę?

Fale przyływu podchodziły coraz wyżej i jedna z nich, nadspodziewanie duża, zaskoczyła ich nieprzyjemnie, opryskując lodowatą jak dotyk zimnych palców wodą. Ryk morza w niesamowity sposób przypominał wołanie... ktoś wołał ją po imieniu. Widziała, że Hunter nasłuchuje, marszczy brwi i nie chce przyjąć tego do wiadomości.

- Nie, posłuchaj. - Była równie zdecydowana, jak zdenerwowana. - Chcąc, żebym była z tobą, ściągasz na siebie nieszczęście. I to nazywasz pozytywnym zjawiskiem?

- Nie wiem, co to takiego. - Odciągnął ją od urwiska. - Ale nic mnie nie odstraszy, kiedy chodzi o ciebie.

- Nie!

Chwyił ją w ramiona. Całował ją z taką determinacją, że Roanne na chwilę zapomniała o wszystkim i zatraciła się w nim. Jednak im bardziej go pragnęła, tym mocniej protestowało wzburzone morze.

Proszę -Jęknęła szukając siły, by odepchnąć go od siebie. - Przestań odrzucać prawdę. Przecież ten wiatr wznaga się z mojego powodu. Jestem niebezpieczna, we mnie jest zło.

- A ja ci mówię, że się mylisz! - krzyknął.
- Pomyśl tylko! Czy ojciec mówił ci, w Jak: sposób zginął mój **mąż**?
- Powiedział, że jego łódź poszła na dno podczas szkwału - przyznał, wyraźnie niezadowolony z wskrzeszenia tego tematu. - Ale ten facet nie powinien był wypływać w morze w czasie niepewnej pogody.
- ~ On nie miał pojęcia, Jaka będzie pogoda. W rym cała rzecz. Może gdyby wiedział to, co ja, zostałby na łodzi. Aleja nie powiedziałam mu o tym, rozumiesz? Nic mu nie powiedziałam.
- Jak mam to rozumieć? - spytał Hunter. Nadzieja w jego oczach przygasła.
- Zabiłam mojego męża.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dostyc już tego. - Z zadziwiającą łatwością porwał ją na ręce i ponióśł do domu.

Czuła się bardzo osłabiona. Już drugi raz w ciągu tego dnia straciła kontrolę nad sytuacją. Hunter szedł pewnym krokiem, jakby nie czuł ciężaru Jej peleryny i botków. Kiedy w końcu przekroczył próg, spodziewała się, że będzie wyczerpany, a on tymczasem miał tylko trochę przyspieszony oddech. Czuła rosnące w nim podniecenie i miała nadzieję, że gdy tylko postawi ją z gniewem na nogi, natychmiast sobie pójdzie.

W domu było ciemno i chłodno. Pobieżnie omiółł wzrokiem wnętrze, mruknął, że żyje jak zakonnica w pustej celi, po czym posadził ją na starym bujanym fotelu i podszedł do kominka.

Kiedy po chwili rozbłysły płomyki ognia, wrócił i pochylił się, by rozsznurować jej buty.

- Dam sobie radę - zaprotestowała, nie chcąc być traktowana jak dziecko.

- Siedź spokojnie albo, na Boga, nie odpowiadam za siebie - mruknął odsuwając jej ręce.

Roanne opadła na oparcie fotela, zbyt zaskoczona, żeby próbować się sprzeczać. Dlaczego jest zły? Jeżeli ktokolwiek tutaj ma prawo być zdenerwowany, to raczej ona.

- Masz w domu coś mocniejszego do picia?
- Nie chcę niczego - odparła z rozdrażnieniem.
- Ale ja chcę.

Buty miała już zdjęte, zrzuciła więc pelerynę, wstała i poszła do kuchni.

- Mam butelkę whisky i trochę miodu pitnego mojej roboty.

- Może być whisky.

Nalała niewielką porcję i wróciła do pokoju, próbując nie zwracać uwagi na to, że zdjął kamizelkę. Wystarczyło, że zauważyła, jak odbłask płomieni igra w jego rozwichrzonych wiatrem włosach, jak podczas każdego głębokiego, kontrolowanego oddechu podnosi się i opada jego pierś.

- Mam ją od nie wiem jak dawna, więc chyba jest bardzo mocna - ostrzegła podając mu szklankę. Czowała na sobie jego spojrzenie przesuwające się po czarnej tunice, tego samego koloru spodniach i skarpetkach na nogach. Bez butów ledwo sięgała mu do podbródka i kiedy tak na nią patrzył, czuła elektryzujące napięcie.

- Im mocniejsza, tym lepsza - powiedział i wypił jednym haustem połowę szklanki. Zmarszczył brwi zobaczywszy, że skrzywiła się.

- DREW zawsze pijał w ten sposób - szepnęła wyjaśniająco.

- Nie wyjdę stąd, zanim wszystkiego mi nie wytłumaczysz.

Wiedziała, że ją to czeka i w jakiś sposób chciała nawet mleć to za sobą. Tylko od czego zacząć?

- Poznałam go niedługo po śmierci mojej matki - zaczęła wpatrując się w płomień. - Mieszkałyśmy na północ stąd, na jednej z małych wysepek. Nigdy nie znałam ojca, umarł tuż po moim urodzeniu, ale matka inówła, że był bardzo dobry i wyrozumiały. Nie wiodło mu się jednak za dobrze i nasze życie nie było łatwe. Odkąd pamiętam, ludzie zawsze stronili od nas, a kiedy

mama umarła, zrobiło się jeszcze gorzej. Traktowali mnie jak trędowata.

To dlatego wyszłaś za niego? Żeby wynieść się stamtąd?

- Nie mogę temu zaprzeczyć - powiedziała, świadoma tego, że być może trudno mu będzie zaakceptować tak pełną szczerość. - Wierzyłam jednak, że z czasem go pokocham... Przynajmniej tak było na początku. - Posmutniała, gdy przypomniała sobie jego śmiech i radość w pierwszym okresie ich znajomości. - Kiedyś coś mu się popsło w łodzi i dopłynął do naszej wyspy, żeby to naprawić. Zarabiałam na życie tak samo jak wtedy, kiedy jeszcze żyła matka. Piekłam chleb i ciasta dla tamtejszej gospody. Tam właśnie się poznaliśmy.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym, żebyś pomięła te fragmenty, w których mowa o szczęśliwym okresie waszych zalotów - przerwał jej Hunter, podnosząc szklankę do ust.

- Ten sarkazm nie był konieczny.

- Och, to nie sarkazm - odparł ponuro. - To najczystszej wody zazdrość. Jak długo trwało, zanim się po-
braliście?

TM Cztery miesiące.

- Czy spałaś z nim przed ślubem?

- Nie wydaje mi się, że powinno cię to obchodzić - powiedziała Roanne, sztywniejąc z oburzenia.

- Naprawdę?

Jego wyzywający wzrok sprawił, że poczuła niezwykle, dojmujące ciepło przenikające jej ciało.

- Aż do nocy poślubnej byłam dziewicą... a przez mego gorzko tego pożałowałam. - Bardziej poczuła, niż zobaczyła jego zaskoczenie, ale skwitowała je tylko wzruszeniem ramion. - Popeliłam błąd. utrzymując w tajemnicy prawdę o moich zdolnościach i pochodzę-

niu. Głupi pomysł, zważywszy, że wszyscy na wyspie o tym wiedzieli. Byłam młoda i myślałam, że z czasem zrozumie, że naprawdę nie różnię się niczym od innych kobiet. Że mogę tak samo śmiać się, płakać... i krwawić. - Zamknęła oczy, gdyż wspomnienie tamtego upokorzenia było tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. - Nie przyszło mi na myśl, że po ceremonii ślubnej on będzie chciał wstąpić do pubu, żeby to uczcić. Tam ludzie uświadomili mu, że został wystrychnięty na dudka, przynajmniej w Ich mniemaniu.

- Jak to przyjął? - spytał Hunter, wpatrując się w szklankę.

- Nie wiem, bo szybko stamtąd wyszłam. Przyszedł do domu kilka godzin później, tak pijany, że ledwo się trzymał na nogach, ale zażądał, żeby ta czarownica, czyli ja, wypełniła swe małżeńskie obowiązki. A potem dał mi do zrozumienia, że jedyną okazją, kiedy mogę posługiwać się swoją „magią”, będzie sprawianie mu przyjemności w łóżku.

Hunter dopił whisky i postawił szklankę na gzymsie kominka.

- Po czymś takim nasz związek nie miał już żadnych szans. Drew przywiózł mnie tutaj i wyłożył mi swoje żądania: mam trzymać język za zębami, zajmować się domem i nie dopuścić, żeby ktokolwiek dowiedział się o moich zdolnościach. Tylko że to było niemożliwe! - zawołała z takim samym zapamiętaniem, z jakim usiłowała usprawiedliwiać się przed Drewem. - Nie mogłam przestać mleć widzeń tylko dlatego, że on sobie tego życzył, ani też utrzymywać ich w tajemnicy wtedy, kiedy mogłam kogoś uratować. Wpadał wówczas w furję, zwłaszcza że rzadko udawało mi się pomóc, bo ludzie zaczęli się mnie bać. Był Jeszcze bardziej niezadowolony, kiedy zwierzęta zaczęły szukać u mnie pomo-

cy. A czasami... zdarzały się rzeczy, sytuacje, nad którymi w ogóle nie panowałam. To denerwowało go najbardziej.

- Masz na myśli coś takiego, co właśnie stało się nad morzem albo wtedy w lesie?

Roanne zwilżyła językiem wyschnięte wargi, zdając sobie sprawę, że powinna teraz wprowadzić go w coś tak dziwnego, tak innego wymiaru, że zupełnie jej nie zrozumie.

- Tak. Jak już mówiłam, kobiety w mojej rodzinie od wielu pokoleń zajmowały się tym, co nazywane jest białą magią. One raczej nazywały siebie uzdrowicielkami, ale określenia nie są tu istotne. Najważniejsze jest to, że kierowały się żelaznymi zasadami, jeżeli chodzi o używanie swych mocy. Prawie nigdy nie ulegały pokusie, żeby zrobić coś niewłaściwego.

- Prawie?

- Tylko Lilith była wyjątkiem. Starsza siostra mojej matki. Wciągnęła ją... czarna magia. Ja jestem ostatnia z rodziny Lloydów i Lilith zdecydowała, że połączy moją siłę ze swoją. Słuchaj, ona... ona zmarła zaledwie kilka tygodni przed moim ślubem.

Hunter próbował właśnie zdecydować, czy chce do wiedzieć się, co dokładnie znaczą słowa „czarna magia”

I „połączyć”, kiedy nagle zawirowanie w kominie zniecka przerwało rozmowę. Płomienie strzeliły aż do pokoju, a z nimi kłęby dymu i popiołu. Myśląc, że to szyber zamknął się przypadkowo, chwycił pogrzbacz i zbliżył się do paleniska.

- Nie. - Roanne pociągnęła go za rękaw. - To me pomoże. Och, mech ją piekło pochłonie!

Zanim zdołał o cokolwiek zapytać, podbiegła do starej szafy i wzięła do rąk pięknie rzeźbione pudełko.

Otworzyła je i wyjęła pośpiesznie coś, co wyglądało na zwykły, stary sznur. Szepcząc jakieś słowa, pobiegła z powrotem do kominka. Choć Hunter wiedział już coś niecoś o zakłęciach, nigdy przedtem nie słyszał tego języka ani nie widział, żeby ktoś wiązał takie węzły, jak ona w tej chwili.

Kiedy skończyła, położyła sznur na podłodze przed kominkiem tworząc z niego koło i usiadła pośrodku ze skrzyżowanymi nogami. Nie wierzył własnym oczom. Zdawała się być pogrążona w transie, jakby świat przestał Istnieć. Siedziała tak blisko ognia, że następny wybuch mógłby ją osmalić. Nie mógł znieść tego widoku, gdyż przywodził mu na myśl tak straszne wspomnienia, że o mały włos nie porwał jej na ręce i nie zaniósł w bezpieczne miejsce.

Już był gotów pootwierać drzwi i okna, żeby w razie czego szybko ją wynieść, kiedy zobaczył, jak zaczyna po kolei rozwiązywać węzły. To, co nastąpiło potem, przechodziło ludzkie pojęcie. Nie był pewien, skąd pojawiło się to niebieskie światło. Po prostu ukazało się nad nią, robiło się coraz jaśniejsze, aż powiedział sobie, że to przecież niemożliwe, bo zaczęło powiewać. Jak wielkie skrzydła zgarniające dym i płomienie z powrotem do kominka i dalej, do przewodu kominowego. W ciągu zaledwie kilku sekund pokój został oczyszczony z ognia, dymu i popiołu. Kiedy Roanne rozsuptała ostatni węzeł, jedyną pozostałością całego wydarzenia był unoszący się w powietrzu słodki, owocowy zapach.

- Ciastka z owocami - powiedziała dziwnie monotonnym i ledwo słyszalnym głosem. - Lilith bardzo je lubiła. Pamiętam ten zapach, kiedy pochylała się, żeby mnie pocałować.

Hunter przeniósł wzrok z wesoło trzaskającego ognia na Roanne, która bezsilnie oparła głowę o kolana.

Z jednej strony chciał porwać ją na ręce, gdyż bał się, że może zemdleć, z drugiej miał ochotę wynieść się, gdzie pieprz rośnie. Widok jej drżących rąk zdecydował za niego. Wziął szklanke, poszedł do kuchni, gdzie zostawiła butelkę z whisky, i nalał następną porcję. Wróciwszy, usiadł przy niej na podłodze. Najwidoczniej odzyskała już równowagę, gdyż pieczołowicie związała sznur.

- Rozwiązywanie węzłów uwalnia siłę - powiedziała głosem, który brzmiał niepokojąco słabo. - Ale to niebieskie światło... Czyje widziałeś?

- Raczej trudno byłoby nie zauważyć, kochanie.

- To bardzo obiecujący znak. Widzisz, Ja nigdy wcześniej nie próbowałam tego zaklęcia. To krzepiące widzieć, że udało mi się i odpędziłam ją.

- Chcesz powiedzieć, że to była Lilith? - Więc to miały znaczyć słowa „niech ją piekło pochłonie”, pomyślał i popatrzył jeszcze raz na palenisko. - Masz, napij się. Wypij choć jeden łyk - nalegał, podnosząc szklanke do jej ust.

Wypiła, chociaż rzeczywiście tylko jeden łyk. Potem spojrzała na niego, jak gdyby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Wcale nie jesteś przestraszony.

- Może tego nie widać, ale plecy mam mokre od potu, chociaż nie Jest tu zbyt gorąco.

- Ale nie uciekłeś. - Spuściła głowę. - Wolalabym, żebyś nie musiał tego widzieć. Przez lata unikałam stosowania czegoś podobnego, ale teraz lilith mnie zmusiła.

- W Jaki sposób ona... może przyjść i zrobić coś takiego?

- Świat duchów nas otacza, tak jak wspomnienia, jak powietrze. Trzeba uważać, bo duchy ciemności lubują się w platanu figli czy wręcz wyrządzaniu zła lu-

ciziom wrażliwym, nieodpornym. Obiecują swoim ofiarom większą moc i w ten sposób pozyskują nowe zdobywcze lub wyznawców. To właśnie próbowałam powiedzieć ci wcześniej. Lilith skorzystała z tego, że miałam problemy z Drewem i byłam z nim coraz bardziej niešťeśliwa.

- Chyba niezupełnie to rozumiem.

- Nie było dnia, żeby nie namawiała mnie do sprzeciwu, do przeciwstawiania się jego poleceniom, do tego, żebym była sobą. Nie jestem w stanie wytłumaczyć ci, na czym to polega.

- Będę wdzięczny, jeżeli Jednak spróbujesz - powiedział Hunter, wypijając łyk wisky, którą miał zostawić dla niej.

- To są szeptu wypowiedane jej głosem, ale w mojej własnej głowie. Innym razem wychodzą skądś wokół mnie, szczególnie z morza, ponieważ ona wie. Jak bardzo Je kocham. Czasami, i to Jest najbardziej przerażające, używa innych głosów. Dzisiaj użyła głosu Drewa. Dlatego właśnie myślę, że mogła połączyć swoją moc z jakąś większą ciemną siłą. - Spojrzała na Huntera, - Wiem. Według ciebie to brzmi paranoicznie.

- Trochę - przyznał, przesuwając palcem po jej policzku. - Ale w moich myślach przeczytasz, że tak czy owak ci wierzę, ponieważ widziałem to, co się stało przed chwilą, na własne oczy... Możesz więc mówić dalej.

Roanne odwróciła głowę. Trochę zmieszany, wyciągnął rękę i zmusił ją, by znów na niego spojrzała. Zobaczył nieufność w Jej wzroku. Aż do szaleństwa pragnął Ją pocałować, powstrzymał się Jednak i puścił ją.

- Dokończ - poprosił.

- Lilith zadbała o to, żeby Drew słyszał mnie, kiedy jej odpowiadałam - zaczęła po chwili ochryplym głosem.

- To doprowadzało go do pasji. Myślał, że kpię z niego i karał mnie.

- W jaki sposób?

- Znęcał się nade mną fizycznie.

Chciał zakłać, chciał dostać w jakiś sposób Drewa Douglasa na pięć minut w swoje ręce, ale najbardziej ze wszystkiego chciał chwycić w objęcia ją i sprawić, żeby zapomniała. Bojąc się, że nie będzie w stanie utrzymać rąk przy sobie, wstał i zaczął spacerować po pokoju, aż w końcu zauważył, że bezwiednie wpatruje się w drzwi do jej sypialni. Odwrócił się do niej.

- Dlaczego nie odeszłaś od niego?

- Powiedział, że Jeśli spróbuję, to i tak mnie znajdzie i pośle do domu wariatów. Kiedyś popełniłam błąd i powiedziałam mu, że Lilith zmarła obłąkana i że przeraża mnie myśl, że mogę skończyć tak samo.

- I nie było nikogo, kto by ci pomógł?

- Ludzie uważali go za człowieka ciężko pracującego, sympatycznego i spokojnego. Może czasami pił za dużo w tutejszym barze, ale to było zrozumiałe, zważywszy, z kim się ożenił. - Roanne otarła oczy, wstała i odłożyła do szafy sznur i pudełko. - To nie była tak do końca jego wina, rozumiesz? On pragnął mnie i nienawidził siebie za to, że nie potrafił odejść ode mnie. Każdy człowiek miałby trudności z poradzeniem sobie z takim problemem. To ja zrobiłam niewybaczalną rzecz. Myślę, że w końcu... nie, ja wiem na pewno, że obróciłam tę nienawiść przeciwko niemu.

- Nie zaczynaj znowu tych bzdur, jakobyś rzekomo go zabiła - przerwał Hunter, spoglądając na nią gniewnie.

- Miałam widzenie - mówiła dalej, me zwracając na niego uwagi. - Widziałam, jak jego łódź idzie na dno podczas burzy. Wiedziałam, kiedy i gdzie ma to nastąpić. Słuchaj, ja... ja nigdy mu o tym nie powiedziałam.

Chociaż poczuł, że coś mu się wywraca w żołądku, odpowiedział stanowczo.

- Sam powinien był zwracać uwagę na prognozy pogody.

- Mówiłam ci już, nie było wcześniej żadnych ostrzeżeń, dlatego wypłynął. Przedtem łódź była w naprawie, drogo to kosztowało i bardzo potrzebował pieniędzy. Poprzedniego wieczora był w złym humorze i pił, żeby zapomnieć o swoich wierzycielach i wszystkich Innych problemach. Kiedy zobaczyłam, w Jakim jest stanie, powinnam była pójść spać. Znałam go dobrze i wiedziałam, że kiedy jest pijany, moja obecność to dolewanie oliwy do ognia. Zostałam, ponieważ gdzieś w środku czułam, że muszę go przestrzec.

- Proszę. No widzisz? - wtrącił Hunter, z ulgą powitawszy jej słowa.

- To nie takie proste - odpowiedziała ze smutkiem.

- Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat nie siedziałam cicho, kiedy zrobił się nieprzyjemny. Rzucił się na mnie, a ja się nie poddałam. Możesz się domyślić, co było dalej. - Z czymś, co było na wpół śmiechem, a na wpół szlochem, odrzuciła włosy z twarzy. - Dopiero następnego dnia rano odzyskałam przytomność, a jego już nie było. Nigdy nie będę wiedziała, czy nie powiedziałam mu dlatego, że zaczęłam nim gardzić, czy też dlatego, że nie dał mi szansy.

- Ale ja wiem - oświadczył Hunter i przyciągnął Ją do siebie, nie mogąc już ani chwili dłużej znieść oddalenia od niej. - Nie ostrzegłaś go, bo on ci na to nie pozwolił. Wierz mi, tak musiało być, bo kimkolwiek jesteś, nie byłabyś w stanie zrobić nic złego, tak jak mi chcesz wmówić.

- A jeżeli się mylisz? - zaszlochała.

Poczuł się rozdarty. Czy ona nie ma pojęcia, co widać w jej oczach? Dobroć i strach, słodycz i samotność.

Cierpienie, Te oczy należały do kogoś, kto nie mógłby popełnić nic złego w żadnych okolicznościach.

- Daję sobie rękę uciąć, że nie - powiedział wprost. Objął ją mocniej, pragnąc rozproszyc jej obawy i wątpliwości. - Rozumiesz?

- Nie mów tak - wyszeptała, ale przytuliła się i ukryła twarz na Jego ramieniu. - Nie potrafię ci się oprzeć.

- Najwyższy czas. - Uniósł w górę jej twarz i ustami poszukał jej warg. - Przedtem przyszedł do mnie jako moja fantazja. Teraz kolej, byś przyszła jako kobieta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Była to jedna z tych rzeczy, o których wiadomo, że stać się muszą. Roanne zdała sobie z tego sprawę w chwili, kiedy poczuła jego usta.

Zacząło się to od razu, gdy zobaczyli się po raz pierwszy, a może nawet wcześniej. Jako młoda dziewczyna w swojej niewinności i naiwności marzyła, że jest gdzieś ktoś, kto został stworzony specjalnie dla niej, kto sprawi, że będzie drżała, płonęła i cierpiała. Spojrzenia i pocałunki, jakie wymieniała z Hunterem, zrodziły w niej przekonanie, że znalazła wreszcie takiego mężczyznę.

Ale w odkryciu rym oprócz radości zawierała się gorzkość, gdyż czuła, że ta noc będzie jedyną. Jąką spędzą razem. Może czas, o którym mówił Hunter, nie musi być koniecznie liczony w latach, ale w godzinach, w minutach... w uderzeniach serca.

Nigdy tak odważnie nie ofiarowała się mężczyźnie, a teraz przytuliła do niego swe ciało i rozchyliła usta. Nigdy dotąd nie reagowała z taką otwartością, choć wiedziała, że jest do tego zdolna. Teraz czuła, jakby w jej żyłach ciepłe wino mieszało się z krwią i podnosiło temperaturę ciała.

- Tak, tak - szeptał Hunter, kiedy jej ręce dotknęły guzików jego koszuli.

Był tak wspaniale zbudowany, jak sobie wyobrażała. Zanurzyła twarz w gąszczu ciemnych włosów pokrywających jego pierś i wodziła palcami po jego skórze. Za-

drżał. Jej ręka, nie spiesząc się, dotarła do klamry paska. Hunter wstrzymał oddech. Tymczasem Roanne włożyła dłoń za pasek i pociągnęła delikatnie.

- Chodź - szepnęła, cofając się w kierunku sypialni.

Po śmierci Drewa czuła, że musi spalić w tym pokoju wszystko, co nosiło ślady jego zapachu i dotyku. Po tem wyszorowała dokładnie całe pomieszczenie, a na ostatek samą siebie. Teraz sypialnia była jej sanktuarium: skromnym, surowym, ale czystym, z bielonymi wapnem ścianami, lnianymi zasłonami i białą pościelą. Zapaliła trzy świece stojące na toaletce, które oświetliły drewnianą tacę. Stały na niej srebrne dzbanuszki z przykrywkami, wypełnione różnymi płynami i suszonymi płatkami kwiatów. Zapaliła jeszcze jedną świeczkę pod płytkim miedzianym naczyniem. Nalewając do niego trochę płynu z karafki, dojrzała w lustrze spojrzenie Huntera.

- To morska woda - wyjaśniła. - Woda jest moim astrologicznym żywiołem, - Podniosła kolejno pokrywki kilku dzbanków. - Moi przodkowie wierzyli, że kadzidło wzmacnia energię. Na przykład na miłość wpływają różne kwiaty i zioła, takie jak różane płatki... liście truska-wek... werwę na.

Kiedy woda się zagotowała i woń kwiatów wypełniła pokój, Roanne podniosła rękę i, spokojnie wytrzymując zachwycone spojrzenie Huntera, odpięła guzik przytrzymujący na ramieniu jej tunikę, która delikatnie szeleszcząc zsunęła się na podłogę. Potem zdjęła z siebie resztę ubrania.

Nigdy nie zastanawiała się zbyt nad swoim daniem, niemniej spostrzegła już nieraz, że Hunter przygląda jej się z wyraźną przyjemnością. Sprawiał, że poczuła się piękna, a jego myśli... rzeczy, które pragnął z nią robić, napełniły ją podnieceniem. Obrazy w jej myślach były

tak żywe i wyraźne, że kiedy podszedł do niej i delikatnie przesunął palcami po piersiach, jej ciało przeszło dreszcz.

- Powiedz mi, czego pragniesz - wyszeptał, zanurzając głęboko dłonie w jej włosy i całując ją. Kiedy odchylił głowę, światło świec podkreślało piękno jego rysów i głębię spojrzenia, w którym płonęło pożądanie. - Możesz prosić o wszystko.

- Chcę tylko jednego. Sprawić ci przyjemność. - Zaczęła głaskać z podziwem jego ciało. Kocimi ruchami podrażniła sutki i posuwała się w dół. Tym razem jej palce bez wahania odpięły klamrę i zapiecie dzinsów.

- Chcę, żeby ta noc na zawsze zapadła ci w pamięć, w samą duszę. Żebyś zawsze, nieważne gdzie i z kim będziesz, pamiętał o mnie.

Hunter wstrzymał oddech, kiedy osunęła się na kolana, żeby rozbierać go ze zmysłowością, o której myślał niemal bez przerwy od chwili, gdy Ją poznał, od momentu, gdy usadowiła się w jego myślach i sercu. W końcu wyjąkał coś niezrozumiałego, przyciągnął ją do siebie i chwycił na ręce.

- Będę pamiętał, ponieważ ty będziesz ze mną - wyszeptał. Zaniósł Ją do łóżka, położył na chłodnym, wykrochmalonym prześcieradle i przykrył swoim ciałem.

- Chciałbym zasypiać i budzić się, patrząc na ciebie. Chciałbym kiedyś odejść z twoim imieniem na ustach i chcę wciąż na nowo odkrywać, jak to jest, kiedy pożądanie rozświetla ten szmaragdowy kolor twoich oczu przy każdym moim dotknięciu, tutaj... i tutaj...

Delikatne, niepohamowane drzenie przebiegło przez jej ciało. Hunter udowodnił jej, że nawet w chwili, kiedy jego podniecenie sięgało szczytu, najważniejsza dla niego była ona. Jego ręce wędrowały po jej gorącej wilgotnej skórze, odkrywając, kiedy Roanne jęczy z niecierpli-

wości, kiedy gwałtownie chwyta powietrze, kiedy wije się pod jego ciężarem, a kiedy przywiera do niego jak najmocniej.

Jego usta dotarły tam, gdzie nikt jej jeszcze nigdy nie dotykał. Poczuli nagle, że zawahał się, otworzyła więc oczy i odczytała w jego wzroku wyzwanie. Będzie czuły, ale nie będzie się hamował. Chce coś jej dać, ale chce też wziąć coś dla siebie. Czy ona to rozumie? Czy odważy się wyjść na sam skraj przepaści, którą dla siebie wykopali?

Tylko jedna noc, przyrzekła sobie Roanne, wyginając się w łuk, by przyjąć to wszystko, co zechce jej ofiarować, a także... och tak, wziąć.

Świat stał się niewyraźny, jak w czasie najstraszliwszego sztormu. Kiedy w końcu Hunter uniósł się i wszedł w nią, pozostały jedynie zmysły, nienasycony głód, zapierająca dech w piersiach rozkosz i strach, że sięgają po coś, czemu może nie zdołają sprostać. A potem już tylko musieli się trzymać jeszcze mocniej, unosili się wyżej i wyżej, aż zaczęło brakować tlenu, a świadomość stała się niepotrzebnym i nic nie znaczącym drobiazgiem.

Pomyślał, że serce wyskoczy mu z piersi, zanim zdoła je uspokoić. Krew pulsowała mu w skroniach, w uszach, za zamkniętymi oczami. Jeżeli to jest posiadanie, to ona może mnie mieć na zawsze, powiedział do siebie sekundę wcześniej, nim uzmysłowił sobie, że ona wchodzi w Jego myśli równie łatwo, jak nóż wbija się w masło. Jęknął.

Tak Jak się tego spodziewał, zaśmiała się cicho, a potem przylgnęła do niego jeszcze ciaśniej.

- Ta propozycja mi pochlebia - szepnęła. - Ale dlaczego sądzisz, że jestem tak wytrzymała?

Nie był pewien, czy czuje rozbawienie, czy rozczarowanie. Chciał... nie wiedział właściwie, czego chce poza tym, by ta chwila trwała wiecznie. Obawiał się, że ona może potraktować, albo już traktuje, to wszystko lżej niż on.

- Przestań - powiedziała dotykając palcem jego warg, a potem przesuując go w dół. - Wątpliwości są gorsze niż żal. Ciesz się tym, co jest.

Chciał, żeby tak było. Próbuje, powiedział Jej w myślach, wpatrując się w biały sufit, na którym odbłask świec malował delikatne ornamenty. Ale już raz zawalił mu się cały świat i nie spodziewał się odczuwać niczego oprócz goryczy i rozpacz, dlatego trzymał się teraz kurczowo tego cudu, który mu się przydarzył. Czując, że ona zatapia się we własne myśli, gdyż również skierowała wzrok do góry, zapytał pośpiesznie:

- Czy pamiętasz, kiedy pierwszy raz zdałaś sobie sprawę, że masz zdolności telepatyczne i... i jesteś inna niż wszyscy?

- A czy ty pamiętałbyś dzień, w którym byś odkrył, że możesz latać, nie używając do tego samolotu? To było na wyspie, miałam wtedy cztery lata i poszłyśmy z mamą do pasmanterii. Okazało się, że odpowiadam sprzedawczyni w tym samym momencie, kiedy ona zadaje mi pytanie. Mieszkałyśmy tam od niedawna, więc możesz sobie wyobrazić, z jakim pośpiechem matka zabrała mnie do domu, żeby wytłumaczyć, o co chodzi. - Przez chwilę leżała w milczeniu, po czym dodała: - Najbardziej pamiętam wyraz jej twarzy. Wyglądała na podniekscytowaną, ale jednocześnie zrezygnowaną. Jakby pogodzoną z losem.

Hunter pocałował Ją w czubek głowy.

- A jak się teraz z tym czujesz?

Podparła się na łokciu i popatrzyła na niego pytająco.

- To jest częścią mnie. Nie da się tego wyłączyć, ani zakręcić jak wodę w kranie. Magia, moc... Jak mówiłam, staram się nie wykorzystywać mojej siły, ale czasami daje o sobie znać.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby przenieść się gdzieś, gdzie mogłabyś pracować z ludźmi, którzy doceniliby twoje możliwości?

- Mam zostać królikiem doświadczalnym? Nie chcę - odparła tonem, który wykluczał Jakiegokolwiek kompromisy. Ale zaraz uśmiechnęła się i schyliła, by położyć głowę na jego ramieniu. - To nie jest całkiem tak. Byłam nawet zaproszona, żeby współpracować ze specjalną grupą uniwersytecką w Bostonie. Kiedy miałam dziesięć lat, zdarzyło mi się przeżyć coś w rodzaju odretwienia. Od tego czasu już się to nie powtórzyło i ani ja, ani moja matka nie potrafiliśmy powiedzieć, co się wtedy stało. Ale tak czy owak, ponieważ to nastąpiło w szkole i nie mogli sobie z tym poradzić, przewieziono mnie na obserwację do Bostonu. W ten sposób lekarze przekonali się, co potrafie.

- Ico?

- I nic. Z jednym nawet zaprzyjaźniliśmy się trochę. Czasami pomagam mu, dając przepisy na lekarstwa, kiedy nowoczesna medycyna nie potrafi już nic zdziałać. Kilka razy prosił mnie o pomoc w śledztwach prowadzonych przez policję, ale to okazało się dla mnie bardzo ciężkie, wyczerpujące i... przygnębiające. - Usiadła i odrzuciła do tyłu włosy, a on pomyślał, że chce odrzucić w ten sposób również złe wspomnienia. - Chodzi o to, że nie lubię powtarzać w kółko tych samych czynności, nie bawi mnie robienie czegoś przed publicznością i przede wszystkim nie znoszę skostniałej atmosfery uczelni. - Westchnęła cicho. - Wystarczającą torturą Jest mleć do czynienia z przeciętnymi ludźmi, dziękuję bardzo.

Wcale nie chciałem sprawić ci przykrości, powiedział Hunter bezgłośnie. Chcę tylko zrozumieć, żeby nie popełniać takich błędów jak inni.

Roanne przekreśliła się i położyła na nim. Delikatnie dotykała jego ciała palcami, jakby czytała coś napisanego alfabetem Braille'a.

- Nieważne. Opowiedz mi lepiej, jakie to uczucie, kiedy jest się wziętym adwokatem w Bostonie.

- Na jakiej podstawie myślisz, że jestem wzięty?

- Twoim naturalnym kolorem, który promieniuje z ciebie, jest błękit. Zauważyłam, że jego ślady zaczynają się znów pojawiać. Pamiętasz, powiedziałam ci kiedyś, że dojdiesz do siebie, że odzyskasz spokój. Tego wieczoru, kiedy miałeś wypadek, kolor wokół ciebie był aż siny. A kiedy szamoczesz się, nie możesz podjąć decyzji albo w coś uwierzyć, brzegami przechodzi w fiolet.

- Gdybym usłyszał to kilka dni temu, nie jestem pewien, czy bym ci uwierzył.

- Jeszcze do końca nie wierzysz, ale to przyjemne uczucie, kiedy się rozwiewa wątpliwość. Odpowiedz na moje pytanie, czy jesteś zadowolony ze swojej pracy? Czy czujesz, że robisz coś pożytecznego?

- Kiedyś byłem o tym przekonany - odparł Hunter zamyślony. Zdziwiająco, kiedy wrócił myślami do Cady, uczucie bólu nie było już tak dojmujące. Oczywiście, wciąż cierpiał, ale po raz pierwszy mógł myśleć z uśmiechem o niektórych zabawnych zdarzeniach, na przykład, jak zabierał Ją ze sobą do biura. - Zaczynam sądzić, że znowu będę mógł w to wierzyć - dodał z zaskakującym przekonaniem. Przyjrzał się tajemniczym, pełnym uczucia oczom Roanne.

- Sam to osiągnąłeś - zaznaczyła, odpowiadając na pytanie, którego nie zadał.

Chwycił Ją i przyciągnął do siebie, szukając ustami jej warg. Odpowiedziała mu z entuzjazmem, a z gardła wyrwał jej się cichy Jęk. Początkowo miał Jędyne zamiar pocałować ją czule, wyrazić w ten sposób swoją wdzięczność. Natychmiast jednak wróciło pożądanie i po chwili znów zmagali się na łóżku w zgodnym zapamiętaniu, by dawać i brać. Nagle Hunter podniósł głowę.

- Jedź ze mną do Bostonu - szepnął nagłym tonem. Roanne patrzyła na niego, a on, czując przypływ paniki, zaczął wyjaśniać pośpiesznie. - Ale me, żeby pracować dla jakiegoś zespołu badawczego. Nigdy me prosiłbym cę, żebyś zrobiła coś, czego me chcesz.

- To me o to chodzi.

- Masz rację, chodzi o to, że me znamy się zbyt długo - powiedział. - Ale popatrz na to z innej strony. Przecież wiemy o sobie najważniejsze rzeczy.

- Hunter, ja bym me pasowała do twojego świata. Potrzebujesz kogoś, kto lubi wielkomięskie życie, rozrywki i...

- Moglibyśmy przenieść się na wybrzeże, to wcale me byłoby złe wyjście. A poza tym kto mówi, że Ja lubię rozrywki? Jestem adwokatem i w wolnym czasie albo ślęczę nad Jakąś sprawą, albo odpoczywam, by uwolnić się od stresu po poprzedniej. Wszystkie rzeczy związane z reprezentacją zostawiłem moim wspólnikom, którzy prowadzą sprawy dużych firm, powiernictwa i tym podobne. - Wciągnął oddech, świadomy nagle tego, że Jego ciało znów pragnie jej aż do bólu. - Czy masz zamiar zaprzeczyć, że Jest nam razem dobrze?

- Trudno mi uwierzyć, że mogłeś coś takiego zaproponować.

Udaremnił Jej próbę wyslizgnięcia się z łóżka, przytrzymując Jej nogi swoja. Może to me było fair, ale me miał zamiaru pozwolić jej uciec.

- Dlaczego? Bo nie jesteś taka sama jak inni? Może na początku nie mogłem tego zrozumieć, ale przecież próbuję...

- To nie wszystko. Ja przecież mam wiele obowiązków, Pontus... moje zioła... mój warsztat w stodole.

- To są wszystko szczegóły, które można załatwić. Na przykład, Pontusa możemy zabrać.

- Sądzisz, że długo wytrzyma w tamtejszym środowisku? Poza tym mówiłam ci, że on nie jest moim psem i nie mogę go wziąć, nawet gdybym chciała. - Odwróciła głowę. - I zapominasz o najważniejszym.

Hunter uniósł jej podbródek, by spojrziała mu prosto w oczy.

- Nie zaczynaj znów o tym. Nawet nie próbuj.

- Tego nigdy już nie będzie można sprawdzić. Może teraz nie myślisz o tym, ale kto wie, co będzie za kilka lat? Co będzie, jeżeli moje zachowanie stanie się jeszcze bardziej dziwaczne i nie zawsze będziesz mógł tak łatwo je wytłumaczyć. Jak w przypadku pani Berry i Garrettów? A jeżeli w nocy będziesz bał się zamknąć oczy, bo nie będziesz pewien, czy jeszcze zdołasz otworzyć je rano? Nie zapominaj o Drewnie.

- Wiem, że chcesz mnie zranić, żeby mnie odepchnąć - powiedział czując, że zgodnie ze swoimi intencjami zdołała zrobić wyłom w jego przekonaniu. - Ale tracisz czas, jeżeli myślisz, że tak łatwo mnie wystraszyć.

- W takim razie jesteś głupcem.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Na chwilę zamknęła oczy i znowu je otworzyła. Nie tańczyły. Już w nich szmaragdowe ogniki, została jedynie milcząca, smutna szarość.

- Nigdy nie będę miała dzieci. Przyrzekłam sobie, że to musi się skończyć wraz ze mną. Nie mogę dopuścić, żeby moja córka miała przechodzić przez to samo co ja.

- Przecież już w tej chwili możesz być w ciąży.

Coś błysnęło w jej wzroku, jakby ból, i zaraz zniknęło.

- Żadna czarownica nie zajdzie w ciążę, jeżeli tego nie chce - powiedziała z pewnością w głosie, która wykluczała wszelkie wątpliwości.

Uwolniła się z jego objęć i spróbowała wyskoczyć z łóżka. W ostatniej chwili Hunter schwycił ją w pasie i pociągnął z powrotem.

- Broń się - mruknął. - Przeklinaj mnie, próbuj uciekać, jeżeli wydaje ci się, że możesz wygrać. Ale nie myśl, że zdołasz mnie oszukać. Ani też, że kiedykolwiek odmówisz nam tego...

Wślizgnął się w nią z oszałamiającą łatwością. Wpiła palce w prześcieradło, a z jej gardła wyrwało się westchnienie, gdy jedna jego ręka powędrowała w dół jej brzucha, a druga zaczęła drażnić nabrzmiewające piersi. Ale jej biodra przywierały do niego z taką siłą, jakby bała się, że wciąż nie jest wystarczająco blisko.

Mocniej... szybciej, powiedział jej w myśli...

- Hunter... przestań. Już nie mogę... - zaszlochała.

Wiedział, dlaczego protestuje. Nie chodziło jej o to, że nie chce znów być doprowadzona do szczytu rozkoszy, ale że nie chce przyznać. Iż teraz on ma prawo do jej serca, do Jej duszy.

- Możesz. Teraz jesteś moja - szepnął czując pulsowanie w jej ciele. - Tak jak ja jestem twój.

W końcu z westchnieniem opadł na prześcieradło i zanurzył twarz w jej włosach.

- Moja - szepnął i powtórzył to kilkakrotnie.

W tym momencie przysiągł sobie, że znajdzie sposób, by to stało się prawdą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Roanne przyglądała się Pontu sowi obwąchującemu białego owczarka.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała zwracając się do mężczyzny, który próbował ukryć zakłopotanie, uśmiechając się i wkładając okulary w drucianej oprawie. - On co prawda jest tolerancyjny w stosunku do zwierząt, które przychodzą tu po jedzenie czy pomoc, ale nigdy nie zachowywał się tak przyjaźnie.

- To właśnie mówiłem pani, kiedy byłem tu za pierwszym razem - odpowiedział jej gość ciepłym głosem. - Widzi pani, naprawdę przyjechałem, a Sheba da sobie z nim radę.

Roanne bardzo dobrze pamiętała ich rozmowę, ale dopiero teraz zaczynała wierzyć, że może z tego coś wyjść. Potrząsnęła głową ze zdumieniem, odwróciła się od skaczących po ścieżce psów i zobaczyła, że jej gość właśnie wyjmuje czek z podniszczonego skórzanego portfela.

Kiedy wcześniej usłyszała zatrzymujący się przed domem samochód, doktor Reeve Burton był ostatnią osobą, która przyszła jej na myśl. Przez chwilę obawiała się, że to znów zjawia się Hunter, by namawiać ją do wyjazdu, co robił przez ostatnie dwa dni. **Wymogi** na właścicielu warsztatu, żeby samochód był gotowy nieodwołalnie na jutro i miał zamiar wyjechać po południu. Zapowiedział, że bierze ją z sobą i nie zwracał uwagi na jej protesty. Nie wiedziała, jak długo będzie w sta-

nie wytrzymać napięcie, szamocząc się pomiędzy nim, Lilith i Drewem.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - rzekła. Domyślała się, że jest zaledwie kilka lat starszy od niej. W czystych, ale znoszonych i wypchanych na kolanach spodniach i w za dużej koszuli nie wyglądał na budzącego zaufanie kandydata do tak poważnej transakcji. Nie, z kimś takim nie będzie zawierać nie przemyślanej umowy. - Pan jest naprawdę zdecydowany?

- Oczywiście. Na coś takiego czekałem od chwili, kiedy przekonałem mojego ojca, że nie będę pracował w rodzinnym przedsiębiorstwie, tylko zostanę weterynarzem. Dom jest oddalony od miasta, więc szczekanie nie będzie stwarzało problemów mieszkańcom, a jednak dostatecznie blisko, by przyciągnąć klientelę. A poza tym, jestem oczarowany tym widokiem - dodał wpatrując się zadumany wzrokiem w ocean.

To rozumiała aż nadto dobrze, ale miłość do morza nie gwarantuje, że trzymany przez niego czek opiewa na całą sumę, jaką wymieniła poprzednio. Zwłaszcza że człowiek ten wygląda, jakby przy życiu trzymał go jedynie optymizm, a jego stary samochód kombi jest równie zniszczony, co pełen rupieci. Zmusiła się, by wyluszczyć mu swoje wątpliwości.

- Wiem, o czym pani myśli - odparł patrząc na samochód. - Ale z drugiej strony, co by pani powiedziała, gdybym woził chore zwierzęta mercedesem albo BMW? Mam nadzieję, że uspokoi panią ten czek. Przedtem nie mogłem od razu zgodzić się na pani ofertę, gdyż nie byłem pewien, jak dużo czasu zajmie mi sprzedaż łodzi i motocykla oraz wyprowadzka z mojego domu w Connecticut.

Teraz z kolei Roanne nie potrafiła ukryć zakłopotania. Na czeku wypisana była suma wyższa, niż zażądała. Zaczęła zastanawiać się, czy powinna przeprowadzić

tę transakcję. Jej gość wyraźnie był gotowy kupić dom od razu, mogli zaraz pojechać do miasteczka i zawrzeć umowę przy świadkach. Wyższa cena miała skłonić ją do przekazania mu domu najszybciej, jak tylko to będzie możliwe.

Wyglądało na to, że Pontus nie ma nic przeciwko temu. Z kierunku, w jakim zniknął wraz z Shebą domyśliła się, że właśnie pokazuje nowej przyjaciółce swoją prywatną jaskinię. To, że nowy nabywca jest weterynarzem, znaczyło, iż nie musi obawiać się o Innych czworonożnych przyjaciół, którzy mogą tu zawitać. Czyż mogła pragnąć więcej?

„Odważ się odejść, a zobaczysz, co będzie”.

Zamknęła oczy, bo głos brzmiał wrogo i wbił się w nią jak ostry nóż. Od nocy spędzonej z Hunterem głosy niepokoiły ją częściej i z większym nasileniem. Czy wyjazd stąd cokolwiek zmieni?

„Nigdy”.

- Czy coś się pani stało? - zapytał Reeve Burton z z troskaniem, marszcząc pojaśniałe od słońca brwi.

Roanne pomyślała, co by było, gdyby powiedziała mu prawdę.

- Nie, nic - odrzekła. - Ja... to tylko migrena.

Musi podjąć to ryzyko, bo jeżeli nie wyjedzie zaraz, siła jej woli będzie słabła z dnia na dzień. Co więcej, może opuścić dom wcześniej, niż prosi doktor, i w ten sposób nie będzie musiała spotkać się twarzą w twarz z Hunterem. Trzeba będzie pośpiesznie przygotować się do wyjazdu, zostawiając część rzeczy, ale jeżeli dzięki temu uniknie długiego, bolesnego pożegnania, to gra warta jest świeczki.

„Ostrzegam cię”.

- Proszę pana - zaczęła próbując zignorować narastający w niej strach - jak już mówiłam poprzednio, je-

żeli kupi pan ten dom, usłyszy pan od tutejszych mieszkańców rzeczy, które skłonią pana do zastanowienia się nad słusnością swojej decyzji.

- No cóż... ludzie zawsze muszą o czymś mówić - zauważył, grzebiąc od niechcienia w piasku czubkiem buta. - Może trochę uspokoi panią informacja, że moi przodkowie ze strony matki pochodzili z Islandii? Sam o mało się tam nie urodziłem, ale rodzice wyjechali o trzy miesiące za wcześnie. Dla nas spirytyzm i mistycyzm to część życia.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek płakała w czyjeś obecności, lecz jego spokój i zgoda na jej warunki sprawiły, że miała na to ochotę.

- Panie doktorze - powiedziała z trudem - ja... sądzę, że ubiliśmy Interes.

Kilka godzin później Roanne stała w drzwiach domu patrząc na kilka skrzyń, które zawierały cały jej osobisty dobytek i cieszyła się, że nigdy nie przywiązywała wagi do rzeczy materialnych. Doktor Burton wynajął swój dom w Connecticut wraz z całym umeblowaniem i wyjaśnił, że nadwyżka z owego szcudrego czeku jest zapłatą za meble czy inne rzeczy z wyposażenia mieszkania, które będzie chciała zostawić. Była gotowa oddać mu wszystko z wyjątkiem swej skromnej garderoby, najwartościowszych zapasów ze stodoły oraz bujanego fotela. Gdyby chciała, mogłaby wyjechać wcześniej, nawet tego wieczoru, chociaż Reeve - prosił, żeby go tak nazywać - upierał się, że spokojnie może spędzić kilka nocy śpiąc w stodole w śpiworze, jeśli potrzeba jej będzie więcej czasu. Ale wszystkie sprawy w mieście miała załatwione - nabyła czeki podróżne, schowała je w bezpiecznym miejscu oraz zostawiła dyspozycję, że da znać, gdzie i kiedy mają przelać resztę pieniędzy z jej konta.

Pół godziny później zamknęła za sobą drzwi domu i spojrzała na samochód, uginający się pod ciężarem zapakowanych pudeł. Skierowała się do stodoły myśląc o tym, że nie może już zabrać więcej rzeczy. Chyba że odłożyłaby je gdzieś i poprosiła Reeve'a, żeby przesłał Jej to później. Pod warunkiem, oczywiście, że przyrzekłby dochować tajemnicy co do miejsca jej pobytu.

Przeżywała huśtawkę nastrojów, ogamiała ją na przemian ulgą, melancholia i strach. Byłaby znacznie bardziej spokojna, gdyby nie wiszące nad nią jak mlecz Damoklesa uczucie nadciągającego niebezpieczeństwa.

W przewidywaniu kłopotów, ukryła pod łóżkiem amulet, który miał trzymać zło z dala od Reeve'a. Oстрыm nożem szybko wycięła na górze futryny frontowych drzwi magiczne słowo. To, oraz wydrążony kamienny talizman, który chciała później mu ofiarować, było wszystkim, co mogła dla niego zrobić, gdyby po Jej odejściu stał się celem ataków. Przypuszczała jednak, że nastanie spokój, kiedy ona stąd wyjedzie.

Ale ten ucisk, ta dziwna atmosfera, którą wyczuwała, niosła w sobie coś Jeszcze innego. Niestety, zdenerwowanie i napięjące głosy sprawiały, że trudno Jej było odgadnąć, co jest nie tak.

Na progu stodoły usłyszała szczekanie. Obejrzała się i w oddali zobaczyła Reeve'a, idącego wzdłuż urwiska. Obok niego biegły psy, nadal baraszkując i flirtując. Poczła przelotne uczucie zazdrości. Chociaż Pontus, podobnie jak ona, zakochał się niespodziewanie, zdaje się, że w jego przypadku zakończenie będzie szczęśliwe. Przed odjazdem musi znaleźć kilka minut na sam na sam z psem. Nie będzie zadowolony z zamieszania, nigdy nie reagował dobrze na dotyk. Ale nie przeżyłaby tych lat, gdyby nie on. Powinien wiedzieć, że chociaż zawsze

była przygotowana na to, że kiedyś się z nim rozstanie, to nigdy go nie zapomni. Nigdy.

Nagle zatrzymała się odruchowo, gdyż przed oczami mignął jej mur. Obraz znikł równie szybko, jak się pojawił, ale wciąż stała w miejscu jak wryta, ponieważ wydawało jej się, że już go kiedyś widziała. Tak, to było wczoraj, krótko po przyjeździe Huntera. Wiedziała, że musi się teraz odprężyć, więc zaczęła oddychać głęboko i powoli. Mur pojawił się znowu, tylko na sekundę, ale tym razem obraz był wyraźniejszy. Najbardziej zaniepokoiło ją to, że posuwał się w jej kierunku z wielką szybkością.

Przez pewien czas nic więcej się nie pojawiło, więc potrząsnęła głową i zabrała się za pakowanie. Niosąc napelnione i związane sznurkiem pudło do samochodu, nie była przygotowana na straszliwe uderzenie, jakie otrzymała prosto w pierś. Zachwiała się i wypuściła pakunek. Przycisnęła rękę do walącego serca i usiłując chwycić oddech, patrzyła na scenę rozgrywającą się przed jej oczami, w której Hunter roztrzaskuje się samochodem o mur w posiadłości swojego ojca.

Jeszcze jeden wypadek? Już wczoraj coś zmusiło ją, by go ostrzec, ale teraz wiedziała, że to za mało. Tylko jak to zrobić? Nie mogła zaryzykować i pójść do niego, bała się, że może się wszystkiego domyślić. A gdyby tak poprosiła Reeve*a, żeby zaniósł od niej wiadomość? Czasu jest dosyć, samochód Huntera będzie gotowy dopiero jutro. Tak, to wyglądało na rozsądne wyjście.

Ale co będzie, jeżeli on zlekceważy ostrzeżenie? Istniało też niebezpieczeństwo, że zrobi coś nierozważnego, na przykład pojedzie za nią.

A może samochód został naprawiony wcześniej i ona widzi coś, co ma się stać za chwilę?

- Nie. Proszę, nie - wyszeptwała.

Zapominając o upuszczonym pudle, pognąła do domu Thome*ów. Nigdy w życiu nie biegła tak szybko. Nawet nie zwróciła uwagi na to, że w lesie zrobiło się dużo chłodniej i chmury niemal całkiem zasłaniają chylące się powoli ku zachodowi słońce. Niemniej jednak zdała sobie sprawę, że jest zbyt cienko ubrana, tylko w sweter i dżinsy.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła wbiegając w bramę prowadzącą do domu Lelanda Thomea, był samochód Huntera, stojący z pracującym silnikiem na stromym podjeździe. Jej walące w piersi serce zamarło z przerażenia. Samochód nie tylko był już naprawiony, ale na dodatek Hunter miał właśnie dokądś jechać. Obaj z Lelandem byli na dworze. Hunter stał przy drzwiach samochodu, zwrócony do niej tyłem. Leland wyglądał na szczególnie wytrąconego z równowagi. Oddychał z wysiłkiem i opierał się o bagażnik samochodu. Mógł ją zauważyć, ale ponieważ potrzebowała chwili czasu, by zorientować się, o co chodzi, musiała ukryć się za jednym z rosnących tam wielkich ostrokrzewów.

- Czy ty już zupełnie oszalałeś? - dopytywał się Hunter. - Przecież możesz dostać ataku serca, jeżeli będziesz mnie tak gonił.

- To nieważne - wysapał Leland. - Chodzi o ciebie. Nie możesz jechać.

- Do diabła, ja jadę tylko kilometr stąd, żeby zobaczyć się z Roanne, a nie do Bostonu. Pojechałbym już trzy godziny temu, gdyby ci idioci z warsztatu dostarczyli zaraz samochód, tak jak obiecywali przez telefon.

- Tak, tak. Ale to nie dlatego...

- Chyba dostatecznie jasno powiedziałem ci wczoraj, jakie żywię zamiary wobec Roanne. Mam nadzieję, że nie złamiesz słowa i będziesz dla niej co najmniej uprzejmy. Ostrzegam cię, że nie będę tolerował gru-

biańskiego czy ordynarnego zachowania w stosunku do niej.

- Powiedziałem, że uszanuję twoją decyzję, prawda?
- oznajmił starszy Thome, a wypieki na jego twarzy pogłębiły się. - To nie chodzi o to. To nie jest to, o czym myślisz. To wszystko... to jest... och, Boże, wybacz. Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Roanne nie dosłyszała, czy powiedział coś jeszcze, tak wielki natłok myśli panował w jej głowie. Pojęła, co się dzieje z Lelandem. Z wrażenia zakryła ręką usta i nie miała innego wyjścia, jak tylko wyłonić się ze swego ukrycia.

- Hunter - odezwała się, przystając za nim. - Wysłuchaj go.

Hunter obrócił się na dźwięk jej głosu, a na Jego twarzy malowała się mieszanina radości i zażenowania.

- Roanne? Do diabła, tak mi przykro. Nie powinnaś była tego usłyszeć.

Szybko machnęła ręką.

- Wysłuchaj go - powiedziała, po czym odwróciła się do Lelanda i skupiła na nim wzrok, w milczeniu przekazując mu swoją siłę i spokój. - Już wszystko w porządku, proszę pana. Nie musi się pan niczego obawiać.

- Nie mogę - jęknął Leland Thome.

- Niech mi pan wierzy, ja pana rozumiem - odparła miękko. Ze wzrokiem skierowanym na starszego mężczyznę, odezwała się do Huntera: - Wsiądź do samochodu.

- Co takiego?

- Wsiądź i wyłącz silnik. Zostaw go na luzie i zwolnij ręczny hamulec. Kiedy samochód zacznie się toczyć, kieruj go na trawę, żeby zmniejszyć szybkość.

- Słuchaj, Roanne. O co tutaj chodzi?

- Zobaczysz. Aha, tym razem pamiętaj, żeby zapiąć pasy - dodała, gdyż w swojej wizji zobaczyła, że nie zdał sobie tego trudu. Czowała jego zdumienie i niedowierzanie, ale w końcu powoli, z wahaniem zrobił to, o co prosiła.

Samochód stał na stoku i zaczął staczać się natychmiast po zwolnieniu hamulca. Hunter zjechał na trawę, zgodnie z jej wskazówkami, i skierował się w stronę muru. Poczwała, Jak na moment serce w nim zamarało, Wtedy gorączkowo próbował hamować i okazało się, że hamulce nie działają. Miał Jednak szybki refleks i to wywarło na niej prawdziwe wrażenie. Bez dalszej zwłoki szarpnął kierownicą. Samochód skręcił, omijając mur, i potoczył się prosto w gęste zarośla Jałowców. Rozległ się trzask łamanych gałęzi.

Roanne i Leland dopadli do niego w chwili, kiedy otrząsnął się z pierwszego szoku i wysiadł z samochodu. Widziała, że zrozumiał przyczynę katastrofy: mechanicy w warsztacie nie zabezpieczyli odpowiednio wszystkich przewodów i większość płynu hamulcowego po drodze wyciekła. Gdyby pojechał dalej, mogłoby dojść do tragedii. Ale czwała, że jeszcze nie domyślił się, iż chodziło tu o coś więcej.

- Pańskie przeczucie - zwróciła się łagodnie do Lelanda - było równie silne i wstrząsające. Jak tamto, które miał pan w noc śmierci Cady, prawda?

W oczach starszego pana ukazały się łzy i spływały po ogorzałych od wiatru policzkach.

- To... to było nie do uwierzenia - wyznał. - Za każdym razem zjawiało się jak sen. Za pierwszym razem pomyślałem, że to tylko nocne majaki, skutek zbyt obfitej kolacji... może w sypialni było za gorąco... nie wiem. Chwytałem się każdego wytłumaczenia. A potem Hunter zadzwonił i powiedział o Cady. - Głos mu się

załamał i przez kilka długich chwil starał się odzyskać panowanie nad sobą. W końcu odezwał się ponownie. - Zdawałem sobie sprawę, że powinienem coś zrobić. Ale tak mi było wstyd. Nie byłem w stanie sam przed sobą przyznać się do prawdy, a co dopiero przed moim synem. Jedynym wyjściem było uciec w samotność... To była najłagodniejsza kara, jaka mi się należała.

- Czyja dobrze słyszę? - Hunter był wściekły, na jego skroniach i szyi pojawiły się żyły. - Ty wiedziałeś? Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś?

Jego podniesiony głos wystraszył ptaki siedzące na pobliskim drzewie. Z krzykiem poderwały się i odfrunęły. Mimo to Leland całą swoją uwagę skupił na Roanne.

- Tak bardzo żałuję - wyszeptał. - Jak... jak pani coś takiego wytrzyma?

Uśmiechnęła się lekko, chociaż czuła, że cała drży.

- Robił pan, co pan potrafił. Myślę, że mnie jest łatwiej, ponieważ żyję z tym od urodzenia. Dla pana jest to coś odbiegającego od normy, coś, co wymaga wiary w nadprzyrodzone zjawiska. To może słaba pociecha, ale bardzo panu współczuję.

- A ja przeciwnie - wycedził Hunter. - Do diabła, tam zginęła moja córka... twoja wnuczka. Powinno być natychmiast złapać za telefon. Nie obchodzi mnie, że bałeś się zrobić z siebie głupca!

- Przestań, Hunter - zawołała Roanne nie chcąc, by stało się coś, czego już nie będzie można naprawić. - On zrobił tylko to, co zrobiłby każdy zwykły człowiek, odczuwający zwykły ludzki strach i wątpliwości.

Odwróciła się do Huntera szukając słów, które do niego trafią. Czy on ma choć mgliste pojęcie. Jak jego ojciec się dręczył? Jak go to przerażało? Teraz to wszy-

stko czuła, gdyż Leland jej na to pozwolił. Rozgniewana tym, że mężczyzna, którego pokochała, może być tak nieprzejednany, zawołała:

- Czy kiedykolwiek naprawdę wierzyłeś w to, że możesz być ze mną, jeśli **me** starasz się zrozumieć nawet własnego ojca?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Skąd te *Izy*? Chyba nie zaczęłaś wierzyć, że mimo wszystko możecie myśleć o wspólnej przyszłości? I cóż... czyżby jego gwiazda przyblakła?”

Roanne biegła przez las nie zwracając uwagi na ścieżkę, którą zwykle wracała do siebie, a w uszach wciąż brzmiałej głos Huntera, wołającego jej imię. Nie chciała na razie iść do domu. Reeve mógł już wrócić ze swojej przechadzki, a nie powinien zobaczyć jej w takim stanie.

„Joanne... Roanne... ty głupia. Nic by z tego nie wyszło”.

- Nigdy nie twierdziłam, że coś by wyszło - mruknęła równie zła, jak przybita.

„Dlatego, że w głębi serca zaczynasz już wierzyć, że jesteś taka jak ja”.

- Nigdy nie będę taka, jak ty. Nigdy!

„Ostrożnie, kochanie, mówisz do samej siebie”.

- Zostaw mnie w spokoju - wrzasnęła przyciskając ręce do uszu.

Krzyk rozplątał się w poszumie lasu, który kołysał się pod naporem wiatru. Wyglądało to, jakby jacyś giganci litowali się nad nią, wyciągali do niej ramiona. Spojrzała w górę pragnąc, by ich gałęzie znajdowały się niżej, by mogła wspiąć się do góry i znaleźć w ich błogich, kojących objęciach. Uczucie straty, przyznanie się do porażki było tak bolesne w swej świeżości, że czuła. Jakby gdzieś uleciała cała siła i chęć do życia. Sposób,

w Jaki obszedł się ze swoim ojcem, Jego gniew i pochopne sądy jedynie utwierdziły ją w przekonaniu, że musi podjąć taką decyzję. Woli żyć bez niego, niż myśleć, że się na niej zawiedzie. A teraz już nie wątpiła, że tak by się stało.

Osunęła się na kolana, na miękki dywan z mchu i torfu, przyciskając do ust zaciśnięte dłonie. Gdzieś głęboko narastał w niej szloch. Plakała z powodu całego zła, wszystkich niesprawiedliwości, jakie ją w życiu spotkały, z powodu uroku życia, którego pozwolono jej skosztować jedynie po to, by zaraz zabrać bezpowrotnie.

Kiedy już była zbyt zmęczona, by dalej płakać, usiadła i spoglądała na ziemię pod drzewami - jałową, gdyż nie docierało tam słońce. Pomyślała, że to jest obraz jej przyszłości, tego, na co zasługuje. Matka nie miała racji myśląc, że może być inaczej.

„Tak”.

Najgorsze obawy zaczęły się spełniać. Udowodniła, że w głębi duszy nie była wcale tak czysta jak matka.

.Powiedz to”.

- Lilith, jestem taka jak ty.

„Wstań i chodź spotkać się ze swoją siłą”.

Zdrętwiała, oszołomiona, niemal bez czucia, podniosła się z wysiłkiem na nogi i ruszyła przez las. Kiedy z niego wyszła, okazało się, że jest na północ od starej latami morskiej. Jakiś niejasny instynkt podpowiadał jej, że powinna skrócić w prawp i pójść do domu, ale czuła, że coś ją przyciąga z wąwozu wśród skał, który prowadził na plażę. Im bliżej niej się znajdowała, tym ciemniejsze stawało się niebo, a morze bardziej wzburzone. Mewy krzycząc wzbijały się w powietrze i wystraszone odlatywały, szukając schronienia. Po chwili słychać było jedynie uderzenia morskich fal i złowrogie zawodzenie wiatru. Wystawiła twarz w Jego stronę. Zda-

wała sobie sprawę, że zrobiło się przejmująco zimno i że nie jest ubrana odpowiednio do takiej pogody, ale Jej skóra była dziwnie niewrażliwa.

„Patrz”.

W oddali chmury i morze złąły się w Jedną, gotującą się masę. Wyglądało to groźnie, lecz jednocześnie pięknie, wznosiło się i wirowało. Z tego kłębowiska wyłoniła się po chwili jakaś potężna sylwetka, z czterema długimi nogami. Pontus wyglądałby przy niej Jak szczeniak. Jednak zaraz bestia zaczęła się znów przeobrażać: tylne nogi stały się dłuższe, tułów szerszy, jaszczurzy ogon stopniowo zanikał, aż...

Roanne stanęła jak wryta patrząc na olbrzymią postać mężczyzny, która na jej oczach wyłoniła się z chmury.

Roanne właśnie zniknęła za bramą i w uszach jeszcze dzwoniły mu Jej słowa, gdy zorientował się, że znów popełnił niewybaczalny błąd. Ale tym razem był zdecydowany, że nie będzie zwlekał z jego naprawieniem. Odwrócił się do Lelanda. Rezygnacja malująca się w oczach ojca sprawiła, że zawstydzził się i podszedł do niego.

- Tato...

Ojciec potrząsnął głową.

- Nie teraz. Nie pozwól jej odejść, obaj jej potrzebujemy.

Podtrzymany na duchu i nieco uspokojony, Hunter objął go i uściaskał.

- Przyrzekam ci, że wkrótce porozmawiamy.

- Tak, ja też tego chcę - powiedział Leland zdławionym głosem. - Ale teraz ruszaj.

Hunter pognał w dół ścieżką wiodącą do domu Roanne. Uznał za dziwne, że nie dogonił jej po drodze. Jeszcze bardziej zagadkowe było to, że obok jej domu na-

tknął się na nieznanomy samochód kombi i równie nieznanomego mężczyznę.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał mężczyzna przyjaźnie.

- Kim pan jest, do diabła? Gdzie jest Roanne?

Obcy uniósł lekko brwi, słysząc jego niezbyt uprzejme pytania.

- Cóż, domyślam się, że me Jest pan tutejszym proboszczem am członkiem komitetu powitalnego.

Hunter ruszył groźnie w jego kierunku, ale nieznanomy podniósł rękę uspokajającym gestem.

- Spokojnie, kolego. Próbuję tylko zrozumieć, o co chodzi. Najwidoczniej ona me wprowadziła pana w sytuację?

- Jaką sytuację? - wypalił Hunter czując się, jakby pomylił drzwi.

- Kupiłem ten dom. - Z imponującą zwieźłością zapoznał Huntera z transakcją, jaką zawarł z Roanne.

- Nazywam się Reeve Burton, będę tutaj weterynarzem

- powiedział na koniec, wyciągając rękę.

Hunter przywitał się z nim czując. Jak kamień spada mu z serca. Ten facet wyglądał zupełnie nieźle i dlatego przez chwilę przypuszczał, że może to z jego powodu Roanne od owej pamiętnej nocy wzniosła pomiędzy mmi mur. Ale co to wszystko znaczy i dlaczego mc mu me powiedziała? Jej samochód był przygotowany do drogi. Hunter odniósł nieprzyjemne wrażenie, że miała zamiar wyjechać, me żegnając się z nim.

- Czy ona Jest w domu? - zapytał.

- Nie, l jeżeli o tym mowa. Jestem trochę zaniepokojony. - Reeve przerwał i odwrócił się do psów, które nadbiegały od strony stodoły szcękając I baraszkując.

- Hej, wy tam, może uciszycie się trochę, dobrze?

- Roześmiał się, widząc zdumienie w oczach Huntera.

- Roanne też nie mogła w to uwierzyć. Myślę, że to za-
ważyło na jej decyzji i sprzedała mi dom.

Tak, pomyślał Hunter świadomy tego, że byłby szczę-
śliwszy, gdyby wiedział, co jeszcze chodzi jej po głowie.

- Powiedział pan, że jest pan zaniepokojony. Czy to
ma znaczyć, że jej tu nie ma?

- Właśnie. Byłem na spacerze z psami i kiedy wró-
ciłem, znalazłem to porzucone pudło, ale ani śladu
Roanne.

- Dopiero co ode mnie odeszła - odpowiedział Hun-
ter na wpeł do siebie. - Myślałem, że wróci tutaj. Była
wytrącona z równowagi i... - Jego spojrzenie powędro-
wało w stronę oceanu. Aha, pomyślał uspokojony.

- Słońce zaraz zajdzie. Może chciałby pan, żebym
razem z psami pomógł jej poszukać? - zaproponował
Reeve.

- Nie, jeszcze nie, ale dziękuję panu - zawołał przez
ramię Hunter, biegnąc w stronę ścieżki wiodącej na plażę.
Zobaczył, że Pontus przerywa swoją zabawę i robi krok
w jego stronę. Oczy mężczyzny i zwierzęcia spotkały się
i Hunter mógłby przysiąc, że zadano mu pytanie.

- Zostań - rozkazał spokojnie. - Ty znalazłeś swoje
szczęście. Do mnie należy odszukanie własnego.

Postać z pyłu wodnego prześlizgiwała się ponad fala-
mi w jej stronę. Urzeczona i przerażona zarazem, nie
była w stanie ani krzyknąć, ani drgnąć. Chłód zmroził
Ją w miejscu, a przerażenie sparaliżowało mowę. Chcia-
ła chwycić za swój krzyż, ale nawet ręce wydawały się
jak z ołowiu. Chciała się modlić, ale nie mogła odnaleźć
w pamięci słów.

„Zrobiłabyś to, gdybyś naprawdę chciała”.

Mglista postać dotarła do plaży i Roanne zmusiła się,
by wyszeptać:

- Kim jesteś? Jakim demonem?

„Znasz mnie. Jestem twoim mężem, którego zamordowałaś... twoją ciotką, od której się odwróciłaś... Jestem tym, kim chciałabyś być w najskrytszych marzeniach. Chodź ze mną ku swemu przeznaczeniu”.

Kiedy minął ją - minęło, poprawiła się w przeblysku świadomości - poczuła jakby pieśczętę na policzku. Z trudem łapała oddech z powodu napływu różnych uczuć, które przeniknęły Jej ciało: ciepła, zaufania i czegoś nienaturalnie zmysłowego. Coś zmuszało ją do podążania za postacią, która kierowała się w górę, w stronę ukrytej w skałach jaskini.

„Chodź”.

- Roanne, stój!

Na dźwięk głosu Huntera poczuła się jeszcze bardziej oszołomiona i zdezorientowana, więc zatrzymała się. To dziwne, pomyślała, ale nie zdawałam sobie sprawy, że za tym czymś idę. Do jej świadomości dotarło również, że trwa przyływ i woda podeszła jej prawie do kolan. Ale powrót świadomości miał też swoją cenę: zniknęło ciepło i dobre samopoczucie, a ona pragnęła ich powrotu, tak jak narkoman potrzebuje następnej dawki.

- Roanne, przyływ jest coraz większy - powiedział nagle Hunter, stając tuż przed nią. - Musimy wydstać się stąd, zanim będzie za późno.

- Tam w górze... bezpiecznie. Jaskinia.

Próbowała spojrzeć wokoło, pokazać mu, ale ją powstrzymał.

- Niel Nie patrz na to. Nic tam dla ciebie **me** ma. Boże, nawet **me** jestem pewien, czy wierzę w to, co widzę, ale jedno mogę ci powiedzieć - dodał żarliwie. - To me przyszło tutaj, żeby ci pomóc, rozumiesz?

- Idź stąd. Zostaw mnie w spokoju.

- Żebyś co mogła zrobić? Zginać? Stać się taka jak Lilith? Najpierw musiałabyś mnie zabić - powiedział chwytając ją w ramiona.

Fale i wiatr zagrażały im coraz bardziej, próbowały zwalić ich z nóg.

- Proszę cię - wyjąkała Roanne tuż przy jego piersi.

- Zmęczyła mnie walka z prawdą... strasznie zmęczyła. Ja do nich należę. To... on mnie wzywa.

- Tol - zawołał z naciskiem Hunter. - To nie jest żadna osoba. I to nie istnieje naprawdę, jeżeli nie chcesz, żeby istniało. - Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął. - Skoncentruj się. Weź się w garść i skup się. Tylko ty możesz to pokonać, rozumiesz? Jesteś zmęczona, masz poczucie krzywdy, ale nie możesz pozwolić, żeby to nas pokonało.

- To ja go zabiłam.

- Nie!

- Oni wszyscy mówią, że ja to zrobiłam.

- Posłuchaj mnie, kochanie. - Hunter trzymał ją w objęciach i mówił prosto w ucho. - Wierzę, że w każdym z nas są sity mogące robić i dobro, i zło. Przez całe życie toczy się między nimi walka, ale to my decydujemy, co wybrać, rozumiesz? Ty masz prawo wyboru.

Roanne jednak nie chciała go słuchać. Każde słowo sprawiało jej ból.

- Ja nie jestem taka jak Inni.

- Nie jesteś, kochana. Dzięki Bogu, jesteś inna niż pozostali ludzie na tej ziemi. Jesteś piękna, życzliwa i wybacząca. Nikt inny nie nadstawiałby za mnie karku, tak jak ty na tej autostradzie.

Chciała mu wierzyć, lecz silniejsze było pragnienie powrotu do stanu, gdy nie czuła chłodu ani bólu.

- Chciałam się zemścić, nie pamiętasz? - przypomniała mu.

- Każdy ma takie pragnienia, od czasu do czasu. Taką jest ludzka natura. Czy myślisz, że mnie nie jest wstyd za to, co zrobiłem ojcu? A czy wiesz, co osiągnęłaś? - spytał z podnieceniem w głosie. - Dzięki tobie ojciec i ja zaczniemy rozmawiać. Uściskaliśmy się, zanim pobiegłem za tobą. - Poglądził ją po policzku, po głowie.

- Przywróciłaś mi zdolność dotykania... kochania. To dzięki tobie.

Roanne uniosła głowę i po raz pierwszy tego dnia spojrzała na niego z nadzieją.

- Och, Hunter... wolałabym...

- Nie, musisz chcieć - powiedział dobitnie, zachrypniętym od zimna głosem. - Musisz tego chcieć. Tylko w ten sposób osiągniemy wspólną przyszłość. Chcę spędzić z tobą resztę życia, ponieważ cię kocham. Słyszysz? Kocham cię.

To nie była tylko namiętność, to było coś głębszego. Nie było to też coś kruchego ani przelotnego. To coś było poza granicami czasu. Roanne dotknęła jego warg. Obawiała się, że Jedyne w wyobraźni słyszała jego słowa, ale postanowiła wypowiedzieć przynajmniej to, co było w jej sercu.

- Ja... ja cię kocham. Kocham cię z całej duszy.

„Nie! Jeżeli wybierzesz go, wybierzesz śmierć”.

Uderzenie morza zważyło Ich z nóg. Siła cofającej się fali była tak obezwładniająca, że Roanne zdała sobie sprawę, iż zostałyby przez nią wciągnięta, gdyby nie Hunter, który mimo silnego prądu postawił ich oboje na nogi.

- Musimy szybko uciekać, bo utoniemy - krzyknął.

- Już za późno. - Uświadomiwszy sobie, na jakie naraziła go niebezpieczeństwo, próbowała znaleźć wyjście.

- Jeżeli pozwolisz mi za nim pójść, możesz się uratować.

- Nie ma mowy. Teraz już zawsze będziemy razem.

Pocałował ją w czoło i zaczął brnąć powoli w stronę brzegu, trzymając ją blisko przy sobie. Ale każda następna fala zdawała się być jeszcze groźniejsza. Upadli ponownie, a potem jeszcze raz. Za czwartym razem uderzył go w podbródek ciężki krzyż Roanne. Schwycił go z nadzieją.

- Jak myślisz, czy to ma dużą moc?

- Przy wypowiedzeniu właściwego zaklęcia ma moc całych pokoleń - odparła zaczynając rozumieć. Natychmiast jednak ogarnęło ją wątpliwość. - Ale jeżeli zrobiemy coś źle, to już nic nam nie pomoże.

- Powiedziałem ci już, z nami jest siła naszej miłości. Nie zapominaj o tym. A teraz pokaz im, co potrafisz, morska czarownico.

Włożył jej medalion do ręki i objął jej dłonie. Roanne uspokajała się. Miała ochotę płakać z wdzięczności za jego wiarę, ale teraz nie mogła sobie pozwolić na łzy. Wzięła głęboki oddech, zdjęła łańcuszek z szyi i pochyliwszy głowę, zaczęła szeptem wypowiadać zaklęcie. Usłyszeli przerażający ryk wściekłości. Ramię Huntera zacisnęło się wokół niej, niemal wyciskając całe powietrze z płuc, ale nie przestała mówić. Na koniec uniosła złączone dłonie w stronę jaskini.

„Bądź przeklęta!”

- Teraz pomóż mi cisnąć to jak najdalej w morze - zarządziła. - Jesteś gotowy?

Krzyż błysnął jak srebrzysta strzała żeglując w powietrzu, wzbił się wysokim łukiem i spadł jak kamień w kipiel. W chwili, gdy uderzył o wodę, z jaskini dobiegło ich wycie.

Roanne i Hunter odwrócili się. Hunter wyszeptał przekleństwo, gdy u krawędzi skał wodna postać wyla się pod naporem tych samych fal, z których wyrosła. Ku ich zdumieniu, zaczęła rozpluwać się, ściekać w dół

po granitowej ścianie, aż została połknięta przez napaśliwie fale. Morze powoli cofało się, chmury podnosiły, aż w końcu ostatnie promienie zachodzącego słońca zaświeciły nad ich głowami, nadając powierzchni wody złocistą barwę.

- Morze jednocześnie daje i zabiera - powiedziała Roanne przez łyżę. - Spoczywaj w pokoju, Drew... I ty, lilit. - Z okrzykiem radości zarzuciła Hunterowi ramiona na szyję.

Westchnął z ulgą i pocałował ją czule.

- Czy nie powinniśmy iść do domu? - spytał, kiedy usta ich niechętnie rozdzieliły się, żeby zaczerpnąć powietrza. - Inaczej przeziębimy się, a to zakłóci nasz miodowy miesiąc.

Jeśli chodzi o oświadczyzny, to te były dość oryginalne, ale Roanne wcale to nie przeszkadzało. Nie ruszyła się jednak, kiedy spróbował poprowadzić ją plażą.

- Do domu? Właśnie przypominałam sobie... Jest coś, o czym ci nie powiedziałam.

- Nic mi nie szkodzi. Spotkałem tego twojego doktora Burtona, kiedy poszedłem cię szukać. Przypomnij mi, żebym podziękował mu za to, że dzięki memu wszystko dobrze się ułożyło.

- Ale gdzie pójdziemy na noc? Nie jestem pewna, czy twój ojciec...

- Och tak. on się zgodzi. Ledwo zdążyłaś wybiec za bramę, kiedy twardo przykazał mi, żebym cię pozwolił odejść. Musisz pogodzić się z tym, kochana, że obaj cię potrzebujemy.

- A co będzie dalej? - spytała, oglądając się w stronę oceanu. - Nie mamy żadnej gwarancji, że to już nigdy nam nie zagrozi.

- Nikt ci tego nie może obiecać - powiedział ponuro. - Pamiętaj, co ci mówiłem? Ale myślę, że dopóki wie-

rżymy w nasze uczucia, nie powinniśmy spodziewać się większych problemów. - Również popatrzy! na morze.

- Czy to by złamało jakąś przysięgę, czy coś w tym rodzaju, gdybyś powiedziała mi, jakie to słowa daty ci taką moc?

- Modlitwa. - Roześmiała się widząc, że otworzył szeroko oczy. Pierwszy raz od lat roześmiała się tak szczerze. - Może jestem inna niż większość ludzi, ale nie jestem zupełną poganką.

W odpowiedzi schwyił ją w ramiona i okręcił się kilka razy w koło. Do Ich śmiechu dołączyły krzyki mew, które powróciły właśnie i nurkowały w powietrzu. Roanne westchnęła i oparła głowę o jego ramię.

- Zdajesz sobie sprawę, że to Jest czyste szaleństwo?

- Nie mogła powstrzymać się, by jeszcze raz go nie ostrzec.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Twoje życie nie będzie już takie samo.

- Boże drogi, mam nadzieję, że nie.

- Nawet nie wiem, co lubisz na śniadanie.

Jej przyszły mąż uśmiechnął się do niej szeroko i w proroczym błysku Roanne ujrziała życie, jakie ich czeka... ich synów... córeczkę.

- No więc? - szepnęła drżącym ze szczęścia głosem.

- Tylko ciebie... I mam nadzieję, że nie każesz mi czekać do rana.

Heather Graham Pozzessere

TAJEMNICE ZAMKU
FAIRHAVEN

Przełożyła
Anna Bieńkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Allyssa!

Wołanie rozległo się tak niespodziewanie, że zamarła w miejscu. Nie przstraszyła jej mgła i ciemności, ale to, że mężczyzna pojawił się przed nią zupełnie nie wiadomo skąd, jakby nagle wyrósł spod ziemi.

Znieruchomiała, starając się przebić wzrokiem gęstniejącą mgłę. Z wolna zamajaczyła przed nią sylwetka wysokiego mężczyzny. Stał nie ruszając się z miejsca, z rękami nonszalancko opartymi na biodrach, i przyglądał się jej badawczo.

Należał do tych, którzy przywykli do okazywania im szacunku.

Chłodny podmuch wiatru uderzył ją w twarz i lekko rozwiął zasłonę mgły.

Teraz widziała go lepiej. Miał przydługie, wijące się, niemal czarne, połyskujące od wilgoci włosy. Jeden skrzyżony kosmyk opadał na czoło. Przystojną, męską twarz o pełnych zmysłowych ustach rozświetlały duże, brązowe oczy. W tym dziwnym oświetleniu wydawało się, że jarzą się w nich złote iskierki. Mężczyzna był świeżo ogolony. Mimo dzielącej ich odległości czuło się, że jest człowiekiem czynu. Dobitnie świadczyły o tym szerokie bary i wysportowane, muskularne ciało. Jego strój dodatkowo to podkreślał. Miał na sobie czarne, opięte na szczupłych biodrach spodnie, wysokie czarne buty do konnej jazdy i luźną, rozpiętą na piersi, białą bawełnianą koszulę z szerokimi, ujętymi w mankiet rękawami.

Czyżby przyjechał tu konno? - zdziwiła się w duchu Allyssa. Może był to jedyny sposób, żeby dojechać tutaj w czasie takiej burzy.

Ale przecież ani przez moment me liczyła, że ktoś będzie na **mą** czekać.

- Allyssa?

Tym razem zabrzmiało to inaczej. Łagodniej.

Nie spuszczał z niej oczu. Właściwie co ją podkusiło, żeby zdecydować się na tę podróż? Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy zdecydowała się opuścić swój spokojny dom w Maryland i ruszyła do Anglii.

Do tej pory nawet przez myśl jej me przeszło, że może trafić na taką fatalną pogodę i że Fairhaven okaże się maleńką zagubioną stacją, z której zupełnie me ma jak się wydostać.

Stała w strugach deszczu, trzęsąc się z zimna i bezradnie wpatrując w mgłę, napływającą od strony wzgórz otaczających stację. Przecież wiedziała, że to małe miasteczko i me spodziewała się, że ktoś z mieszkających tu dalekich krewnych po nią wyjedzie.

Kiedy pociąg wtoczył się na peron, poczuła się zaskoczona, że jest tak cicho i pusto. Nigdzie ani śladu żywej duszy. Wyładowano jej bagaże i pociąg ruszył dalej. Po chwili znikł jej z oczu, pochłomęty przez zapadający zmrok. Zupełnie jakby ta poruszająca się masa żelastwa nigdy me Istniała. Już zaczynała wątpić, czy był tu naprawdę, czy to tylko złudzenie. W gęstniejących ciemnościach mgła przybierała jakieś dziwne, nieokreślone kształty. W końcu już sama me wiedziała, co jest rzeczywistością, a co tylko grą światła i jej wyobraźni.

Musi wziąć się w garść. Peron pod stopami z pewnością Istnieje naprawdę, tak samo stacja. Napis na

drzwiach głosił, że jest otwarta codziennie od dziewiątej do szóstej z godzinną przerwą obiadową. Nocy też nie powinna się obawiać, nie było w niej niczego zatrważającego. Jedynym problemem była jej własna głupota. Co prawda mieszkała w dużym mieście i może dlatego nie przyszło Jej do głowy, że może znaleźć się tu zupełnie sama.

Aż do chwili, kiedy pojawił się ten wysoki nieznajomy, który najwyraźniej coś o niej wiedział.

A może to też tylko wytwór jej wyobraźni? Gra światła?

Ciemności zapadły nagle. Kiedy pociąg wjeżdżał na stację, było jeszcze Jasno. Dość jasno, by mogła dostrzec łagodnie zaokrąglone zielone wzgórza i białe owce pasące się na soczystej trawie. Wyglądało to sielsko i nieprawdopodobnie pięknie. Może też trochę złowieszczo...

- Allyssa! Dziewczyno, co z tobą? Zaniemówiłaś?

Tym razem w pytaniu zadźwięczała niecierpliwość i rosnąca irytacja. W czasie długiego lotu z Waszyngtonu do Londynu oswoiła się z brytyjskim akcentem, ale ten człowiek mówił jeszcze Inaczej. Jego ton był pozornie lekki, jednak brzmiała w nim jakaś władcza nuta. Jakby przywykł do wydawania rozkazów. Kim on może być? Szybko przebiegła w pamięci mieszkające w Fairhaven osoby, o których opowiadał Jej adwokat. Czyżby to był ten daleki kuzyn? Ale przecież nikogo nie prosiła, by po nią wyszedł, nie miała na tyle rozumu - skarciła się w duchu - więc skąd on wiedział, kiedy przyjedzie?

Zresztą, w jaki sposób dowiedział się o Jej przyjeździe? Nikogo o tym nie powiadomiła i sama do końca nie była pewna, czy wybierze się w tę podróż.

W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia. Wyjechał po nią, teraz tylko to się liczyło. Lało jak z cebra i perspektywa dachu nad głową była znacznie bardziej ku-

sząca niż wizja nocy spędzonej pod wątpliwą osłoną stacyjnego daszku.

- Tak, to ja, Allyssa Evigan! - zawołała pośpiesznie, kierując się w jego stronę.

Przez mgnienie przeraziła ją myśl, że nikogo tam nie ma, że mężczyzna okaże się tylko tworem jej imagynacji, ale kiedy podbiegła ku niemu, nie zniknął. Stał nieruchomo i uważnie się jej przyglądał.

Zatrzymała się przed nim wyczekująco. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem brązowozłoty oczu, jakby chciał ją ocenić.

Ciekawe, jakie zrobiła na nim wrażenie. W normalnych okolicznościach prezentowała się całkiem niezłe. Miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, może nieco zbyt szczupłą, lecz zgrabną figurę, odziedziczone po matce delikatne, regularne rysy i duże zielone oczy ojca. Miękkie jasne włosy opadały jej na plecy. Brandon nieraz powtarzał, że ożeniłby się z nią dla samego koloru jej oczu czy włosów...

Ale od tamtej pory minęło tyle czasu. Teraz jej wspaniałe włosy mokrymi pasmami oblepiały policzki. Na podróż włożyła dzinsy i jedwabną bluzkę, która z pewnością do cna pogniotła się pod prochowcem.

Dlaczego nie zatrzymała się na noc w Londynie? Nie mogła sobie tego darować. To chyba ten długi lot odebrał jej zdrowy rozsądek. Gdyby poczekała do jutra, przyjechałaby w zupełnie Innej formie.

Teraz już za późno na niewczesne żale. Zresztą nie ma niczego do zawdzięczenia temu mężczyźnie ani, biorąc pod uwagę jego zachowanie, **me** musi się silić na uprzejmość.

- Czyżby pan zaniemówił?

Uśmiechnął się z rozbawieniem i wybuchnął gromkim, prowokacyjnym śmiechem. Allyssie zrobiło się

rażniej na duszy. Wprawdzie nadal była na niego zła, ale nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Był zuchwały, męski i czarujący.

- W tych stronach nowa osoba nie ujdzie niczyjej uwagi.

Rzeczywiście, był szczery. I bezczelny. Może w ogóle niepotrzebnie tu przyjechała. W końcu wcale ją nie obchodzi, co stanie się z Fairhaven. Przez całe życie nawet nie wiedziała, że coś takiego istnieje. Dowiedziała się o wszystkim dopiero trzy tygodnie temu, kiedy nieoczekiwanie pojawił się ten adwokat z informacją, że zmarł jej pradziadek, o którym nie miała pojęcia, i że powinna pojechać do Fairhaven na odczytanie jego testamentu.

Mogłaby w ogóle nie zwracać sobie tym głowy, poczęstować niespodziewanego gościa herbatą czy kawą i po jego wyjściu machnąć na to ręką, gdyby nie ostatnie słowa wypowiedziane przed śmiercią przez jej matkę. Słowa, które ciągle dźwięczały jej w uszach...

Przyjechała tu właściwie wbrew sobie. Odczytanie ostatniej woli zmarłego miało się odbyć w przyszłym tygodniu, ale adwokat radził jej przybyć wcześniej, by poznać pozostałych spadkobierców i obejrzeć posiadłość.

Skoro więc ten mężczyzna jest jej krewnym...

Dalekim krewnym, upomniała się w duchu. Pradziadek Paddy był jednym z trójki kuzynów i to on odziedziczył majątek po swoim dziadku. Ale jego kuzyni mieli też spadkobierców. Jeden z nich, Darryl Evgan, mieszkał w zamku.

To z pewnością on.

Mężczyzna wyciągnął rękę i wskazał na pociemniałe niebo.

- Znow nadciąga burza. Zaraz zacnie lać, lepiej ruszajmy.

- Dobrze - skinęła głową. - Dziękuję, że po mnie wyszedłeś. Nie spodziewałam się, że ktoś będzie na mnie czekać. Nikomu nie dałam znać o swoim przyjeździe. Nie przypuszczałam, że to takie małe miasteczko. Nie ma taksówek ani...

Pochylił się i zdecydowanym ruchem wyjął z jej rąk niewielką podręczną torbę. Reszta bagażu leżała pod ścianą.

- Za małe dla ciebie, co? - zapytał uprzejmie z lekko słyszalną drwiną.

- Nie powiedziałam tego.

- Ale tak pomyślałam.

- Pomyślałam tylko - odrzekła spokojnie - że mam szczęście, że po mnie wyszedłeś. Nie miałabym jak się stąd zabrać, a przesiedzieć noc na tej zimnej stacji...

Poczuła na sobie uważne spojrzenie brązowozłotych oczu.

- To rzeczywiście me należy do przyjemności - powiedział łagodnie.

Wyciągnął dłoń i lekko dotknął jej policzka, uniósł jej głowę do góry. Zapragnęła wyrwać mu się, ale z jakiegoś niewiadomego powodu nawet me drgnęła. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - powiedział miękko - że może me będziesz tu mile widzianym gościem.

Szarpnęła się w tył.

- Nie ma powodu, żeby ktoś miał się cieszyć z mojego przyjazdu. Nigdy tu me byłam i nawet me wiedziałam, że takie miejsce istnieje.

- Dopóki me usłyszałaś o testamencie.

- Dopóki me usłyszałam o testamencie.

- Uhm. Łowczym skarbów.

Uśmiechnął się. Nie wiadomo było, co kryło się za jego słowami. Równie dobrze mógł to być żart co groźba.

Był tak bezczelny, że bez skrupułów mogła odplacić mu pięknym za nadobne.

- Może zechcesz odłożyć te impertyncje na później, kiedy już dotrzemy do zamku? Już całkiem przemokłam i trzęsę się z zimna.

- Och, oczywiście! Ale ze mnie gapa! To wszystko dlatego, że ja zupełnie nie odczuwam zimna. Masz jeszcze jakieś bagaże?

- Tak, tam pod ścianą. Zaraz...

- Nie, dziś nie damy rady ich zabrać. Rano ktoś po nie przyjedzie.

- Ale...

- Nic im się nie stanie. To Jest naprawdę mała dziura, Jak sama stwierdziłaś. Nie mogę wziąć więcej rzeczy, zwłaszcza jeśli to ci wystarczy. - Uniósł w górę jej skórzaną torbę.

- Tak...

- To dobrze. Chodźmy.

Zdecydowanie ujął ją za ramię. Nawet nie dopuszcza, że ktokolwiek mógłby mu się sprzeciwić, pomyślała Alfysa. Jest zbyt pewny siebie. Dzisiaj sobie daruję, ale Jutro mu pokażę.

Wyszli ze stacji. Alfysa zmrużyła oczy, wypatrując w ciemnościach samochodu. Naraz usłyszała jakiś dźwięk i zwróciła się w tę stronę.

W mroku zamajaczyła potężna sylwetka czarnego konia. By wyjątkowo wysoki, smukły, wspaniale zbudowany.

Zerknęła na stojącego obok niej mężczyznę. Uderzyło ją łączące ich podobieństwo. Zwierzę i człowiek doskonale do siebie pasowali.

- Przyjechałeś konno?

Właściwie nie powinna być zaskoczona. Miał przecież na sobie strój do konnej jazdy i gdy tylko go ujrzała, pomyślała, że z pewnością przyjechał konno.

- Od deszczu drogi tak rozmiękły, że żaden samochód nie przejedzie. AUysson, umiesz jeździć konno?

Skinęła głową. Jeśli liczył, że ją przestraszy, przykro się zdziwi.

- Umiem. Ojciec nauczył mnie jeszcze w dzieciństwie.

- Ach taki Eviganowie zawsze kochali konie i potrafili się z nimi obchodzić. Dobrze więc, ruszajmy.

Gwizdnął cicho. Na ten dźwięk piękny czarny koń podszedł do mego. Allyssa Jeszcze nigdy me widziała czegoś podobnego.

- Pomogę ci.

Zanim zdążyła się zorientować, mocne dłonie pochwyciły ją w tali i uniosły w górę. Kiedy już siedziała w siodle, mężczyzna umocował jej torbę i sam usiadł z tyłu. Lekko spiął konia i ruszyli w noc.

Otaczały ich nieprzeniknione ciemności. Zdawało się, że czarne burzowe chmury przykryły cały świat. Jedyne ciepło bijące od siedzącego za nią jeźdźca i mocny uścisk obejmujących ją ramion dawały złudne poczucie bezpieczeństwa.

Przecież ja wcale go nie znam, kołatało Jej po głowie. Jest zarozumiały i zachowuje się z taką wyższością, jakby był me wiadomo kim.

Lecz mimo to...

Miał w sobie coś. Coś, co sprawiało, że po raz pierwszy od wielu lat poczuła jakiś dreszcz emocji, coś w mej topniało...

Nie miała co liczyć na gorące powitanie, Jego słowa me pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości. Zapewne wyszedł po nią tylko dlatego, że była legalną spadkobierczynią i chciał zachować pozory przyzwoito-

ści. Cały ten spadek w ogóle jej nie obchodził, przyjechała tu w zupełnie innym celu. Chciała odnaleźć ślady rodzinnej przeszłości, dociec przyczyn, dla których ojciec rzucił wszystko i wyjechał do Ameryki. Co go do tego zmusiło? Co takiego zaszło, że nawet na łożu śmierci matka nie mogła uwolnić się od bolesnych wspomnień?

- Popatrz - łagodny, lekko ochrypły głos rozległ się tuż przy jej uchu. - Widzisz? Chmury zaczynają się trochę podnosić.

Zrobiło się nieco jaśniej. Właśnie przejeżdżali przez malowniczo wyglądające miasteczko. Było zupełnie jak z bajki. Na niewielkich wzniesieniach i pagórkach wznosiły się domki z dachami krytymi słomą. Allyssa wyobraziła sobie świeżą zieleni porastającej okolice trawy. Mijali centrum miasteczka: pub, pasmanterię, sklep tytoniowy, gospodę i restaurację. Z wyjątkiem pubu, którego herb wisiał u wejścia, jedynie niewielkie szyldy umieszczone w oknach oznajmiały o ich istnieniu.

Ale nawet tutaj było zupełnie cicho. Nigdzie ani śladu żywej duszy.

- Popatrz teraz.

Podniosła wzrok. Przed nimi, z mroku i mgły, majestatycznie wynurzał się zamek Fairhaven. Wysoki, zwieńczony kamiennymi wieżyczkami, otoczony ciągnącymi się od wieży do wieży murami obronnymi. Słabe światło sącżyło się przez niewielkie wąskie okna, które z pewnością kiedyś były otworami strzelniczymi. Budowla wyglądała posepnie, a zarazem wspaniale. Allyssa poczuła gwałtowne podniecenie. Krew szybciej zaczęła krążyć w Jej żyłach. Taki Ten zamek, tak nieprawdopodobny i imponujący, to jej korzenie.

O Boże! Przecież po raz pierwszy widzi to miejsce!

I z jakąż tęsknotą patrzy na te majaczące w ciemnościach nocy kamienie!

- Ach, czujesz to! - usłyszała obok siebie jego szept.

- Nie możesz mu się oprzeć! Wszyscy tak samo reagujemy na ten widok. Już mamy to we krwi.

Zagryzła usta. Wyrwała się z przytrzymujących ją ramion i obróciła ku niemu.

- Chyba trochę przesadzasz. Nawet jeśli coś nas łączy, to bardzo niewiele. O ile wiem, to nasi pradziadkowie byli kuzynami. Jest duża szansa, że bliższe więzy krwi łączą mnie z każdym człowiekiem spotkanym na londyńskiej ulicy!

Być może tym razem to ona nieco przesadziła, ale była zła, że tak bezbłędnie odczytał jej reakcję.

Znów zaśmiał się uwodzicielsko.

- Czulbym się rozczarowany, gdyby zamek nie zrobił na tobie takiego wrażenia - zapewnił ją.

Już miała się znów odwrócić i oznajmić, żeby przestał sobie wyobrażać niestworzone rzeczy, kiedy nieoczekiwanie spał konia i pomknął przez noc. Przywarła mocno do końskiej szyi, chwyciła rękami za grzywę. On był zupełnie nieobliczalny. Dziki. A może był tylko świetnym jeźdźcem i gnał przez ciemność pewny, że wszystko się uda...

Chłodny powiew wiatru chłodził jej policzki, kiedy z trudem wspinali się na zamkowe wzgórze. Na moment zacisnęła powieki i znów je otworzyła.

Był tuż przed nią w całej okazałości. Zamek Fairhåiten. Ogromny i niedostępny, budzący podziw swoją potęgą i... mimowolną obawę.

A ona nie jest tu mile widzianym gościem. Powiedział jej to wystarczająco wyraźnie.

Oświetlony most, przerzucony nad wyschniętą teraz, zarośniętą krzakami i polnymi kwiatami fosą.

prowadził prosto na zalany światłem zamkowy dziedziniec.

Mężczyzna zatrzymał konia przy moście i zeskoczył na ziemię. Znow poczuła na sobie spojrzenie połyskujących złociście oczu. Mogła sama zsiść z konia, ale nieoczekiwanie, ku własnemu zaskoczeniu, bez słowa przyjęła pomoc jego silnych rąk. Zesliznęła się na dół.

- Dalej idź sama, Allyso - odezwał się do niej. - Idź prosto na dziedziniec. W najbliższej wieży zobaczysz duże drzwi. Wejdź do środka i ogrzej się przy kominku.

- Ale...

- Muszę zająć się koniem - wyjaśnił, podając jej torbę. - Idź już, ogrzej się. I jeszcze, moja droga...

- Tak?

Patrzyła w stronę zamku, ale znow odwróciła się twarzą do niego. Wpatrywał się w nią z napięciem, a jego oczy płonęły dziwnym ogniem. Przestraszona, niemal się cofnęła.

Lecz mimo to czuła jego siłę. Stała jak zahipnotyzowana i nie spuszczała z niego wzroku.

- Ogrzej się, ale miej się na baczności.

Pochylił się ku niej i przyciągnął bliżej. Poczuła na czole gorący dotyk jego ust. Odepchnął ją lekko od siebie, kierując w stronę zamku.

- Idź już.

Ruszyła w kierunku wieży. Gwałtowny podmuch wiatru z wściekłością uderzył ją w twarz. Otuliła się szczelniej płaszczem, przycisnęła mocno torbę i pobiegła przed siebie. Nie zważając na to, co Jej powiedział, zastukała do drzwi.

Masywne drzwi otworzyły się i powoli weszła do środka.

Tuż przed nią wznosiły się wspaniałe, rzeźbione schody, wiodące na wyższe piętra. Przeniosła wzrok na

ogromny ośmiokątny pokój. W wielkim, zajmującym całą przeciwległą ścianę kominku wesoło płonął ogień. Odrzuciła torbę i pobiegła ku niemu. Wyciągnęła do ognia zziębnięte dłonie. Dopiero po chwili odwróciła się i rozejrzała uważnie. Uderzył ją widok ogromnego stołu, opartego na rzeźbionych na kształt lwów nogach. Stał na środku sali. Z łatwością mogło przy nim zasiąść dwadzieścia osób. Był przepiękny. Całe pomieszczenie było umeblowane równie cennymi antykami. Przed kominkiem stały masywne stylowe fotele i stoliki z marmurowymi blatami. Wyścielane siedzenia w wykuszach trzech okien na przeciwległej ścianie były obite cenną starą tkaniną. Tarcze herbowe i skrzyżowane miecze zdobiły ściany.

Allyssa powoli zdjęła płaszcz. Na niewielkim stoliku z wiśniowego drewna dostrzegła karafkę i kieliszki. Podeszła do niego, otworzyła karafkę i powąchała. Brandy. To jej dobrze zrobi.

Napełniła kieliszek i, nie spiesząc się, wróciła do ognia. Usiadła wygodnie na leżącej przed kominkiem owczej skórze. Przeczesała palcami mokre włosy i pociągnęła łyk alkoholu.

Ależ tu jest pięknie! Doprawdy warto było przyjechać, nawet choćby tylko po to, by znaleźć się w tej sali! Zapatrzyła się w migoczący ogień. Nieoczekiwanie poczuła się bardzo dobrze, jakby spłynął na nią przyjemny spokój.

- Wszelki duch pana Boga chwali! - rozległ się niespodziewany okrzyk i zaraz potem łoskot i brzęk tłuczonego szkła.

Allyssa zerwała się na równe nogi. Jej poczucie komfortu i bezpieczeństwa prysnęło w jednej chwili. Na progu stał kamerdyner w czarnym fraku i białych rękawiczkach. U Jęgo stóp leżała taca z potłuczonymi kie-

Uszkami, a brązowy płyn powoli spływał na kamienną posadzkę.

Wysoki, siwy, dystyngowany mężczyzna o niebieskich oczach wpatrywał się w nią, jakby zobaczył ducha.

- Kto... kto...? Skąd się pani tu wzięła?

Zdumiała się. W końcu, skoro ktoś pofatygował się po nią na stację, powinien uprzedzić o jej przyjeździe domowników.

- Jestem Allyssa Evlgan. - Machnęła ręką. - Dopiero przyjechałam. Powiedziano mi, żebym się ogrzała przy ogniu.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

- Zawiadomię pana - oznajmił wreszcie I odwróciwszy się zniknął.

Allyssa znów zapatrzyła się w migoczący różnobarwnym blaskiem ogień.

- Czym mogę pani służyć?

Odwróciła się. Stał przed nią wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Oparł ręce na biodrach. Zmierzyła go wzrokiem. Miał ciemnobrązowe włosy i jasnozielone oczy. Był młody i bardzo przystojny...

Ale nie on przywiózł ją ze stacji.

Z westchnieniem przyglądała włosy.

- Przepraszam, że tak tu wszystkich zaskakuję. Darryl Evlgan zabrał mnie ze stacji. Poleciał mi tu wejść, więc weszłam. Przykro mi, że sprawiłam zamieszanie.

Zrobił kilka kroków w Jej stronę i zatrzymał się przy stoliku z karafką. Nie odrywając od niej oczu, nalał sobie kieliszek.

Był wyraźnie zaniepokojony.

- Naprawdę mi przykro - zaczęła Allyssa.

- Już dobrze - mruknął. - Cieszę się, że jesteś, tylko...

- Tylko co?
- Darryl EMgan nie wyszedł po ciebie na stację.
- Ależ on...
- Nie, Allyso. Jestem tego pewien.
- Jak możesz być tego pewien?
- Bo to ja nazywam się Darryl EMgan.

ROZDZIAŁ DRUGI

- O Boże! - krzyknęła Allyssa, - W takim razie kto...? Przepraszam...

- Nie trzeba... Nie masz mnie za co przepraszać.

- Podeszedł do niej zachmurzony. - Nie miałem pojęcia o twoim przyjeździe, ale wygląda na to, że ktoś świetnie o tym wiedział. Czy człowiek, który czekał na ciebie na stacji, podał się za mnie?

Nie. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, uświadomiła sobie, że tak nie było. To ona wzięła go za Darryla, bo tylko on wchodził w rachubę.

Powoli pokręciła głową.

- Nie, prawdę mówiąc, nie. Jeszcze raz cię przepraszam. Tak mi przykro.

- Naprawdę nie ma powodu. - Wyciągnął do niej rękę.

- Właściwie powinienem być wdzięczny temu komuś, że cię tu przywiózł. - Nie wypuszczał Jej ręki z mocnego, ciepłego uścisku. Przyjrzała się uważnie jego oświetlonej blaskiem ognia twarzy. Miał czarujący uśmiech i ujmujący sposób bycia. To niesamowite, że po tak długim czasie, jednego wieczoru, poznaje naraz dwóch mężczyzn, którzy nie pozostawiają jej obojętną. - Witaj w zamku Falrhaven!

- Ponownie uściśnął jej dłoń. - Nasza amerykańska kuzynka nareszcie w domu!

Uśmiechnęła się, ale nieoczekiwanie poczuła się nie-swojo. „Ogrzej się, ale miej się na baczności”, ostrzegł ją nieznajomy ze stacji. Nie była tu pożądanym gościem.

Nawet nie wiedziała, kim był ten mężczyzna i teraz,

kiedy znalazła bezpieczne i ciepłe schronienie w domu tego miłego człowieka o ujmującym uśmiechu, poczuła złość. To z pewnością ktoś z mieszkańców miasteczka. Zobaczył ją na stacji i postanowił spłatać figła, dowożąc ją, bez słowa wyjaśnienia, do wrót zamku. Wieść o jej istnieniu niewątpliwie rozniosła się w miasteczku.

- Nie jestem pewna, czy dość trafnie to określiłeś.

- W końcu zdołała wyswobodzić dłoń z jego uścisku.

- Mój dom jest znacznie mniejszy i stoi na przedmieściu Baltimore. Ale cieszę się, że przyjechałam. Jest tu naprawdę pięknie, a zamek robi niesamowite wrażenie. Przyjemnie jest mieć świadomość, że ktoś z rodziny, choć bardzo dalekiej, tutaj mieszka.

- Musimy spróbować to zmienić i zacieśnić więzy

- uśmiechnął się znacząco i z ociąganiem cofnął się nieco. - Wezwę Gregory'ego. Z pewnością Już zawiadomił o twoim przyjeździe Eleonor, naszą pokojówkę. Pokój dla ciebie powinien Już być gotowy, zaraz cię tam zaprowadzi. Radzę ci wziąć kąpiel i odpocząć, a potem. Jeśli me będziesz zbyt zmęczona, spotkamy się na kolacji.

- Świetnie. Dziękuję.

Kamerdyner stanął na progu z Informacją, że pokój Już czeka. Allyssa ruszyła za nim.

Pokój, który jej przeznaczono, mieścił się w tej samej wieży, dokładnie nad wielką salą. Był urządzony w podobnym, pełnym staroświeckiego wdzięku stylu. Pod oknami urządzone wygodne siedziska. Było za ciemno, żeby dojrzeć widok z okien. Ogromne łóżce z baldachimem, masywne stylowe fotele przed płonącym w kominku ogniem, potężna stara szafa z lustrem i stół z wiśniowego drewna dopełniały całości. Okna były wąskie, zapewne pierwotnie pełniły rolę otworów strzelniczych. Wpadające przez **me** o świcie dzieńne światło musi robić zaskakujące wrażenie.

Allyssa rozglądała się wokół z zachwytem.

- Po prawej stronie Jest urządzona niedawno łazienka, panno Evigan - poinstruował ją Gregory. - Eleanor powiedziała, że znajdzie tam pani wszystko, co potrzeba. W razie gdyby jeszcze coś...

- Dziękuję, na pewno dam sobie radę.

Przez szeroko otwarte drzwi do łazienki dostrzegła masywną, opartą na nóżkach wannę. Marzyła już tylko o tym, żeby jak najszybciej się w niej znaleźć. Ach, żeby tylko mieli tu ciepłą wodę...

Gdy tylko Gregory wyszedł, rzuciła się do łazienki i odkręciła kurek z ciepłą wodą. Przez chwilę nic się nie działo. Niech diabli wezmą te stare zamki! - zaklęła w duchu. I w tym samym momencie buchnęła wspaniała, parująca, gorąca woda. Allyssa aż krzyknęła z radości i odkręciła, drugi kurek, żeby dolać trochę zimnej.

Wróciła do sypialni. Wyrzuciła na łóżko całą zawartość podręcznej torby i wybrała rzeczy potrzebne do ubrania. Krytycznie obejrzała bluzkę i dzinsową spódnicę, które miała na zmianę. Na szczęście, wzięła z sobą podróżne żelazko na parę. Po chwili strój był gotowy.

Wśliznęła się do napełnionej wodą wanny. Zamurzyła się w niej, rozkoszując się cudownym, łagodnym ciepłem.

Jaki niesamowity wieczór! Na początku zapowiadał się fatalnie. Byłaby sama sobie winna, gdyby przyszło jej przeczekać noc na stacji. Bogu dzięki, że pojawił się ten nieznajomy. W dodatku Darryl okazał się nadzwyczaj czarującym dżentelmenem. I teraz jeszcze ta rozkoszna kąpiel...

Nagle poderwała się. Wydało się Jej, że z sypialni dobiegł jakiś dźwięk. Zacisnęła palce na krawędzi wanny.

- Kto tam? - zawołała.

Żadnej odpowiedzi, kompletna cisza. Powoli jej napięcie opadło. Chyba ma przywidzenia. Może to zmęczone-

nie po długim locie. A może po prostu ma zbyt wybujałą wyobraźnię.

Znów oparła się wygodnie. Ciągle nie mogła uwierzyć, że w końcu naprawdę się tu znalazła. Wprawdzie zawsze wiedziała, że jej ojczyzną jest Anglia, ale od dzieciństwa wpojono jej przekonanie, że rodzice wyjechali do Ameryki, widząc w niej kraj nieograniczonych możliwości. Nigdy nawet słowem nie wspomnieli, że mają jeszcze jakąś rodzinę.

Kiedy miała zaledwie dziesięć lat, jej ojciec zmarł na atak serca. Dopiero dobiegał pięćdziesiątki. Jego śmierć jeszcze bardziej zbliżyła ją z matką.

Nigdy specjalnie nie myślała o Anglii. Nawet kiedy była w college'u i razem ze znajomymi jeździła na wakacje za granicę, zawsze najbardziej pociągał ich Paryż. Dopiero niedawno zdała sobie sprawę, z jaką ulgą matka przyjmowała ten wybór. Potem Jane Evigan zachorowała na zapalenie płuc. Lekarze rozkładali ręce. W ostatnich chwilach, kiedy pod wpływem wysokiej gorączki zaczynała tracić przytomność, stale majaczyła o Anglii i płacząc powtarzała: „To nie ja, Ja tego nie zrobiłam!”

Allyssa daremnie starała się ją uspokoić.

Nigdy nie dowiedziała się, czego dotyczyły te słowa. Lekarze twierdzili, że to tylko gorączkowe majaki i na pewno chodzi o jakieś złasowane w dzieciństwie ciasteczko czy inne podobne wspomnienie.

Teraz oboje rodzice spoczywali w spokoju, którego już nic nie zakłóci.

Po śmierci matki Allyssa ukończyła studia i została przewodnikiem po Waszyngtonie. Przepadała za swoją pracą, w której łączyła znajomość języków oraz historii. Zachwycała ją jej ciągłość, fascynowało odnajdywanie w terażniejszości korzeni przeszłości. Podczas oprowa-

dzarda po Białym Domu wycieczki młodych polityków, poznała Brandona McKee, najmłodszego, świeżo upieczonego kongresmana z Kentucky.

Zamknęła oczy. Nie minęły jeszcze trzy lata od katastrofy śmigłowca, w której zginął Brandon oraz kilku innych obiecujących młodych ludzi. Bywały chwile, kiedy nadal me mogła sobie z tym poradzić. Czuła się taka samotna. Powtarzano jej, że musi przestać o nim myśleć, zapomnieć. Wiedziała, że jest młoda i ma całe życie przed sobą. Ale nikt me był taki jak Brandon...

Zajęła się pracą i codzienną krzątaniem. Urządzeniem mieszkania i podobnymi rzeczami. I wtedy pojawił się ten prawnik i oznajmił jej o śmierci pradziadka, o którym nawet me słyszała. Darryl pewnie nigdy w to me uwierzy, ale me zależało jej na żadnym spadku, spodziewała się najwyżej jakiejś pamiątki. Po prostu musiała tu przyjechać. Dowiedzieć się, co przez tyle lat dręczyło matkę i nie dało jej spokoju nawet na łożu śmierci.

Ta podróż jest powrotem do źródeł. I od początku zapowiada się fascynująco. Alyssa uśmiechnęła się do siebie. Gdzie me spojrzeć, wszędzie kryją się jakieś tajemnice. Czy ma to coś wspólnego z mamą?

Kim Jest ów tajemniczy nieznajomy, który zabrał ją ze stacji i którego pojawienie się tak bardzo zaskoczyło Darryla?

Wyszła z wanny i otuliła w biały kąpielowy ręcznik. Stała przed umywalką i, patrząc w lustro, zaczęła rozczesywać mokre włosy.

Nagle znieruchomiała. W sypialni usłyszała hałas.

- Kto tam? - krzyknęła.

Cisza. Ostrożnie odłożyła szczotkę i na palcach, chcąc przyłapać Intruza na gorącym uczynku, zakradła się do pokoju.

Nikogo me było.

- Jesteś w zamku, a na dworze Jest burza - przemówiła głośno do siebie.

Ubrała się pośpiesznie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę. Jak bardzo Jest głodna. Poza tym jej daleki, cudownie odnaleziony kuzyn jej oczekuje.

Darryl stał zapatrzony w ogień i popijał brandy. Na dźwięk jej kroków odwrócił się i uśmiechnął.

- Widzę, że kąpiel dobrze ci zrobiła, ale z pewnością i tak jesteś wyczerpana podróżą. Zaraz zjemy kolację i Jeśli zechcesz, możesz się wcześniej położyć.

- Dziękuję. Jesteś naprawdę mity. O wszystkim myślisz.

- No to chodźmy. Pokażę ci rodzinną jadalnię.

Podszedł do niej i podał Jej ramię. AUyssie spodobał się jego strój, staranny, choć nie przesadny: tweedowa marynarka i rozpięta pod szyją, szyta na miarę koszula, do tego jasnobrązowe spodnie.

Poprowadził Ją do pokoju po lewej stronie dużej sali. Kiedyś zapewne był to szeroki korytarz. W pobliżu Jędnej ściany umieszczono stół na osiem osób. Wystrój był podobny - na ścianach herby i mlecze, między dwoma oknami piękny gobelin starej roboty.

- No i jak ci się podoba?

- Niesamowicie. Naprawdę robi wrażenie.

- I pomyśl tylko, jak słaby i kruchy Jest człowiek w porównaniu z tym zamkiem.

Mahoniowy stół był już nakryty. Darryl usiadł naprzeciwko niej. Gregory obsługiwał ich z wprawą. Jedzenie było pyszne. Ryba i delikatnie przyprawione jarzyny. Darryl był ujmująco miły. Zabawiał Ją rozmową

o historii zamku w ostatnich trzynastu stuleciach i opowieściami o dzisiejszym życiu miasteczka.

- To naprawdę osobliwe. - Pociągnął maty tyk wina.

- Przez setki lat, my, EMganowie, żyliśmy z hodowli

owiec. I nadal tak Jest. Oczywiście, czasy się zmieniły i okres naszej świetności dawno minął.

- Prawdę mówiąc nawet o tym nie pomyślałam, ale z pewnością nie jest łatwo utrzymać teraz taki zamek.

- Bywały okresy, kiedy wiodło się gorzej. Wtedy powoli wyprzedawaliśmy ziemię. Niestety, jej zasoby już tak się skurczyły, że musimy tego zaprzestać.

Allyssa nabiła na widelec różyczkę brokuła.

- Czy to z powodu czasów, jakie nadeszły, czy może Paddy nie potrafił gospodarować? - Odłożyła widelec na stół. - Czy był despota? Jaki był? Co takiego się wydarzyło, że mol rodzice wyjechali stąd i nigdy nawet nie wspomnieli o tym miejscu?

Darryl zamrugał gwałtownie, jakby tocząc w duchu jakąś walkę. Zasepił się.

- Taki Paddy był tyranem! Chciał wszystkimi rządzić i nikomu niczego nie dać. Mógł oddać majątek twojemu albo mojemu ojcu, ale nie, nie chciał tego uczynić. Chciał sam mlec całą władzę i pieniądze, jakiegokolwiek by nie były. W ten sposób wszystkich trzymał w garści.

Allyssa pośpiesznie spuściła wzrok, zaskoczona jego wybuchem. Było jej szkoda Darryla, że musiał tyle lat żyć pod rządami twardej ręki Paddy'ego.

Ale było jej też żal pradziadka. Czy w godzinie śmierci nie było przy nim nikogo, kto go kochał?

I co w takim razie znaczyły ostatnie słowa jej matki?

Pociągnęła tyk wina. Starła się, by jej głos zabrzmiał obojętnie.

- Czy wiesz, dlaczego moi rodzice stąd wyjechali?

- Miałem wtedy niespełna dziesięć lat - zaczął cicho.

- Ty byłaś malutka, ledwie co skończyłaś trzy lata. Ale już wtedy miałaś swojego kucyka, pamiętam cię na nim.

Byłaś okropnie uparta i wszyscy musieli ci ustępować

niemal tak samo jak Pałdy'emu. - Uśmiechem złagodził swoje słowa. - Byłaś śliczna - dodał łagodnie - ale teraz jesteś jeszcze piękniejsza.

Zarumieniła się zmieszana. Miała wrażenie, że powiedział to szczerze.

- Dziękuję, jesteś bardzo miły.
- Naprawdę niczego nie pamiętasz?
- Zupełnie nic.

Gregory przyniósł kawę i wykwintne ciasto. Allyssa ugryzła kawałek. Nie była głodna, ale chciała wyciągnąć z Darryla jak najwięcej.

- Czyli mieszkałam na zamku aż do ukończenia trzech lat?

- Tak.

Uśmiechnęła się do niego.

- Czy przyjaźniliśmy się?
- Bardzo. A teraz nawet mnie nie poznałaś.
- A ty mnie?
- No cóż, muszę przyznać, że nie.

Uśmiechnął się i uścisnął lekko jej dłoń. Miał ciepłą rękę. Było to miłe, ale poczuła się jakoś nieswojo.

Uwolniła palce i dopiła kawę. Wcale na nią nie działała.

- Czy jutro opowiesz mi jeszcze coś więcej?
- Co tylko zechcesz - zapewnił ją. - Ale teraz już chyba powinnaś pójść do łóżka.

Unióś się, uprzejmie odsunął Jej krzesło i znów podał jej ramię.

- Nie musisz mnie odprowadzać na górę.
- W takim razie pójdę z tobą do schodów.

Zatrzymali się przed wejściem na górę. Darryl wyciągnął rękę i lekko unióś jej głowę.

- Witaj w domu, kuzynko. Cieszę się, że przyjechałaś.
- Dziękuję.

Musnął ustami jej czoło. Allyssa odwróciła się i pośpiesznie ruszyła do swojego pokoju. Wbiegła do środka i z zamkniętymi oczami oparła się o drzwi. Oddychała głęboko. Darryl był naprawdę czarującym mężczyzną. Tak długo cierpiała i teraz, kiedy znalazła się sama w obcym kraju, łatwiej było Jej przyjąć ofiarowane jej ciepłe uczucia. Ale przecież ona niczego nie chce...

Zresztą skąd może wiedzieć, czego pragnie? Jest tu dopiero od kilku godzin.

- Ach, moja panno! Teraz jesteś jeszcze piękniejsza! Kto by pomyślał!

Allyssa szeroko otworzyła oczy.

O Boże! Skąd on się tu wziął? Na jej łóżku wygodnie wyciągnięty leżał nieznajomy ze stacji. Z rękami pod głową, ciemnymi, nieco zmierzwionymi nad czołem włosami, przyglądał się jej badawczo spod półprzymkniętych oczu, ocienionych czarnymi rzęsami.

Później, kiedy się nad tym zastanowiła, przyszło jej do głowy, że jego widok powinien ją przerazić, ale miała Jakąś dziwną pewność, że nieznajomy nie ma złych zamiarów. Podeszła do niego z zaciśniętymi pięściami.

- Do diabła, kim ty właściwie jesteś i co robisz w moim pokoju?

Szeroko otworzył brązowe oczy.

- W twoim pokoju? - zapytał uprzejmie.

- Dopóki Jestem tu gościem, to jest mój pokój!

- Ostrzegalem cię, - Zmrużył oczy. - Musisz przez cały czas mieć się na baczności.

- A teraz ja ciebie ostrzegam. Wynoś się stąd, zanim zacznę krzyczeć! I to na całe gardło!

Uśmiechnął się. Allyssa cofnęła się nieco, spodziewając się, że nieznajomy wstanie. Ani przez moment nie czuła strachu. Może dlatego, że tak bardzo się Jej podobał. Taki przystojny i jednocześnie nieobliczalny, zupeł-

nie jak pirat z filmu kostiumowego. Chyba ją zahipnotyzował, bo przecież miała krzyczeć.

Stanął przed nią, oparł ręce na biodrach.

- Wychodź stąd!

- Już dobrze, AUyso, moja kochana! Ja tylko...

- Nie jestem żadna twoja kochana! A ty, choć nie wiem, jak się nazywasz, jesteś niezłym łobuzem! Jeśli jeszcze raz cię tu spotkam...

- To co? - zapytał podchodząc bliżej.

- Nie wiem, o co ci chodzi - zniżyła głos ostrzegawczo. - Pracujesz dla Darryla? Jeśli tak, to uważaj! Powiem mu...

- Ach tak! Tak łatwo cię podszedł! To jednak prawda, że nietrudno zwieść kobietę!

- O, bardzo dziękuję! Uważasz mnie za głupią, a przedtem wyśmiewałeś się, że pięknie wyglądam. Jeśli natychmiast...

- Ależ co ty mówisz! - przerwał jej i podszedł bliżej. Ujął w dłonie Jej ręce. Nie krzyczała. Jak zauroczona wpatrywała się w jego połyskujące brazowozłote oczy.

- Wcale się nie wyśmiewałem - powiedział cicho.

- Uważam, że jesteś piękna, bardzo piękna! Jestem tylko rozczarowany, że tak łatwo uległaś komuś takiemu jak DarryL. Nic poza tym.

Szybko wyrwała rękę.

- Wynoś się! - szepnęła.

Nie chciała wysłuchiwać podobnych rzeczy. Była gościem Darryla, który w dodatku był dla niej taki miły. Nie wiedziała, dlaczego jeszcze nie wyrzuciła tego szarlatana ze swojego pokoju.

Może podświadomie czuła, że nikt z mieszkających na zamku, łącznie z Darrylem, nie Jest w stanie tego zrobić?

Zacisnęła pięści i spojrzała mu prosto w oczy. Po chwili ruszyła w stronę łazienki.

- Nie wiem, kim jesteś i po co tu przyszedłeś, ale chcę, żebyś stąd wyszedł. I to Już!

Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Przez jakiś czas stała nieruchomo, nasłuchując. Z pokoju nie dochodził żaden dźwięk.

Do diabła! Leżał sobie na jej łóżku jakby nigdy nic! I pomyśleć, że Anglików uważa się za bardziej konserwatywnych od Amerykanów.

Dziwne tylko, że tak szybko zdążył się wysuszyć. Był w tym samym stroju, ale zarówno włosy jak ubranie miał zupełnie suche...

Przecież jednak od ich rozstania przed zamkiem minęło sporo czasu. Pewnie siedział do tej pory przed kominkiem.

Albo szpiegował. I wszystko, co mówiła, powtórzył słowo w słowo Darrylowi.

A może wcale sobie nie poszedł? Przecież nie było słychać, żeby wychodził.

Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Trudno, niech się dzieje co chce, ale ma już tego dość. Albo sam wyjdzie, albo ona go stąd wyrzuci, nawet gdyby miała dzwonić po policję!

Stała na progu. W pokoju nikogo nie było.

Nie mogła uwierzyć w Jego zniknięcie. Zajrzała do szafy, pod łóżko, potem usiadła na nim i kilka razy podskoczyła.

Naprawdę sobie poszedł.

Podbiegła do drzwi i starannie je zamknęła. Potem rozebrała się i wśliznęła pod koldrę. Kim był ten człowiek? Czego tu szukał?

Te pytania pewnie nie dadzą mi zmrzyć oka, pomyślała. Ale tak się nie stało. Zmęczenie wzięło górę.

Obudziły ją odgłosy głośnej sprzeczki. Przez jakiś czas dochodziły do niej z daleka, przez sen, wreszcie dotarło do niej, że to, co słyszy, dzieje się naprawdę.

Wstała i ostrożnie uchyliła drzwi. Na dole trwała awantura. Rozpoznała głos Darryla. Oprócz niego był jeszcze jakiś mężczyzna.

Przygryzła wargi, starając się uchwycić znaczenie słów. Daremnie.

Niespodziewanie podniesione głosy przycichły. Chyba ktoś przypomniał im o jej obecności.

Przymknęła drzwi. Właściwie to, co tu się dzieje, wcale nie powinno Jej obchodzić. Ale jednak nie potrafiła powstrzymać ciekawości. Przecież tu kryła się tajemnica z jej przeszłości.

Pobiegła do łazienki i szybko przygotowała się do wyjścia. Miała nadzieję, że zdąży, zanim nieznamy mężczyzna odejdzie.

Z dołu nadal dobiegały podniesione głosy. Chodziło o jakieś owce, ziemię i historyczną powinność. Zbiegła po schodach.

Mężczyźni byli w dużej sali. Dostrzegła wykrzywioną złością twarz odwróconego w jej stronę Darryla.

Jego rozmówca stał tyłem do niej. Miał szerokie, muskulane bary i czarne włosy. Sądząc po głosie, był mocno zirytowany.

- To naprawdę nie jest aż tak skomplikowane. Jak sobie wyobrażasz. Życie idzie naprzód i nic na to nie poradzimy. A jeśli nie nadążymy za zmianami, to wszyscy źle na tym wyjdziemy.

- Nie mam najmniejszego zamiaru brać w tym udziału - odciął się Darryl. - Czy mam się wyrazić jaśniej? - Poderwał się na widok wchodzącej Allyssy. - Allyssy, tak mi przykro, że cię obudziliśmy. Skoro już tu Jesteś, poznaj Briana Wilde'a.

- Brian Wilde?

Teraz sobie przypominała. Adwokat wspominał o nim, jako o kolejnym spadkobiercy. Z tego, co wie-

działa, nie mieszkał na zamku, a w stojącym nie opodal domku myśliwskim.

Mężczyzna gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Więc w końcu się tu zjawiłaś, Ailysso.

Zmierzył ją wzrokiem. Zaparło jej dech. Przecież to on był wieczorem w jej pokoju i to on wyjechał po nią na stację.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, kim Jesteś? - wyszeptwała.

Zmarszczył czoło i popatrzył na nią dziwnie.

- Co takiego?

- Dlaczego nie... - urwała, nie spuszczając z mego wzroku.

On wcale nie chce się przyznać do tego, że już się spotkaliśmy.

- Czego nie zrobiłem? – powtórzył pytanie.

Chyba ma w tym jakiś cel. Przez chwilę może grać rolę, jaką jej wyznaczył, ale prędzej czy później musi Jej to wyjaśnić.

- Nie, już nie.

Popatrzył na nią tak, jakby była niespełna rozumu. Ciemne brązowe oczy pobłyskwały w blasku ognia złotymi Iskrami.

- Tu wszystko jest dla ciebie nowe, co? Pewnie niewiele pamiętasz. Kiedy wyjeżdżaliście, miałaś najwyżej trzy lata. A teraz znów się spotykamy. Pomyśleć, tyle lat! I ani słowa od ciebie. Ale w końcu przyjechałaś. Na odczytanie testamentu. Pięknie.

Poczuła się, jakby wymierzył jej policzek. Nie dał Jej czasu na odpowiedź.

- Darryl, przykro mi, że obudziłem twojego gościa. Zostawiam was, żebyście mogli nacieszyć się tym cudownym odnowieniem dawnej znajomości. Muszę jechać, robota mnie goni.

Zatrzymał się w drodze do wyjścia i obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Po chwili ruszył dalej i wyszedł trzaskając drzwiami.

- AUyso, przepraszam za niego. Zachował się okropnie - zaczął Darryl.

- W porządku, poczekaj chwileczkę. Mam mu coś do powiedzenia!

Dogoniła Briana, kiedy już miał wskoczyć na uwiązane do mostu konia.

- Zaczekaj! - krzyknęła biegnąc ku niemu. Musiało być coś w jej głosie, bo zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Ty draniu! Jak mogłeś! Wczoraj wieczorem zabrałeś mnie ze stacji, w nocy przyszedłeś do mojego pokoju, a teraz udajesz, że po raz pierwszy mnie widzisz!

- Oczywiście, że kiedyś cię widziałem.

- Nie kiedyś, tylko wczoraj! Przyznaj, że...

- Mogę najwyżej przyznać, że byłaś najbardziej samowolnym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałem! - Oczy błysnęły mu złością. Niecierpliwie odgarnął z czoła niesforny kosmyk i wycelował w nią palcem. - Już wtedy przez ciebie mieliśmy za swoje. A teraz to śliczne dziecko stało się pełną kobietą, która, jak mogę się domyślać, nadal uwielbia łamać ludziom serca.

- Co ty w ogóle możesz o mnie wiedzieć? - wykrzyknęła z wściekłością.

Znów zmierzył ją wzrokiem.

- O ile wiem, to zabierając cię stąd, złamali serce Paddyemu.

- Przecież byłam wtedy dzieckiem! Co ja mogłam zrobić!

Złowróżbnie postąpił krok ku niej.

- Ach taki Ale od paru lat chyba już Jesteś dorosła? I dopiero, kiedy go pochowaliśmy, ty łaskawie raczysz przyjechać.

- Ale ja nie wiedziałam...

- Nie wiedziałaś?

Popatrzyła na niego zdumiona. Jak mógł ją osądzać, skoro nie miał zielonego pojęcia o jej życiu. I dlaczego tak się zmienił od wczorajszego wieczoru? Dlaczego wczoraj jej o to nie pytał?

- Nie, nie wiedziałam! - Podeszła bliżej i ze złością wymierzyła mu mocny policzek. - To za wczorajszy wieczór! - wyjaśniła i odwróciła się na pięcie.

- Allyssa!

Serce jej waliło. Przeraziła się swojej napastliwości. Teraz ją złapie i stłucze.

Brian tymczasem stał nieruchomo. Zatrzymała się i obejrzała za siebie.

- Powtarzam ci po raz ostatni. - Oczy płonęły mu złością. - Dziewczyno, ty chyba jesteś niespełna rozumu. Nie widziałem cię wczoraj wieczorem. Z Darrylem możesz wyprawiać co chcesz, ale tylko spróbuj mnie jeszcze raz uderzyć, panno Evlgan, a zapłacisz za to - Chwył cugle i wskoczył na konia. - Obiecuję!

Spiął konia i pomknął w dal, pozostawiając ją w zdumieniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Do południa Allyssa spędziła czas z Darrylem. Potem miał coś pilnego do załatwienia i z żalem musiał pozostawić ją samą.

Allyssa już chciała zaofiarować się do jakiejś pomocy, ale powstrzymała się. Jeszcze gotów uznać to za delikatną próbę wtrącania się do nie swoich spraw. Darryl był nieco staroświecki, co tylko dodawało mu uroku. Był doskonale wychowany i często odnosiła wrażenie, że traktuje ją z przesadną atencją. Mimo jej nalegań, nie zdradził powodu kłótni z Brianem.

W takim razie sama musi do tego dojść.

Już kilka razy, kiedy spacerowali po ogrodzie, czy w zamku, kiedy Darryl wskazywał na jakiś mebel, który według niego mogła pamiętać z dzieciństwa, chciała powiedzieć mu, że to Brian odebrał ją ze stacji i potem przyszedł do jej pokoju. Ale on tak stanowczo się od tego odżegnywał...

O co w tym wszystkim chodzi? Czyżby to jakaś zardawniona rywalizacja?

Jeśli rzeczywiście tak było, to Brian nieźle sobie zasłużył za te sztuczki ze znikaniem i wyrastaniem spod ziemi, których potem tak stanowczo się wyparli

W końcu nic Darrylowi nie powiedziała. Kiedy została sama, z chęcią zgodziła się na zaproponowaną przez Gregory'ego przejażdżkę po okolicy. Szybko przebrała się i poszła do stajni. Liam, młody człowiek zajmujący się szóstką zamkowych koni, polecił jej Lady Luck,

szybka, lecz łatwą do prowadzenia, Allyssa rozejrzała się wokół z zaciekawieniem. Za stajniami, mieszczącymi się na tyłach zamku, rozciągały się pola i dalekie wzgórza. Można było dostrzec pasące się na nich owce.

- Teraz trzeba się porządnie narobić, żeby jakoś szło - Liam uśmiechnął się do niej. - Oprócz owiec mamy też kurczęta i nawet jeszcze teraz czasami zdarza się trzymać świnkę. Ten zamek to prawdziwe gospodarstwo, panno Evigan.

- Aliyso - uśmiechnęła się do niego.

Wreszcie znalazł się tu ktoś nie tylko miły, ale i normalny.

- Posiadłość ciągnie się na północ i na zachód. W lesie jest kilka ładnych ścieżek, doskonale nadających się do przejażdżki. Miasteczko leży na południe od zamku. Polecam gospodę pani McKenzie, chociaż ostrzegam, że Jest wszystkiego ciekawa.

Allyssa podziękowała mu i ruszyła. Łady Luck okazała się świetna. Rozległe, zielone pola kusily do szybkiej jazdy. Rześkie powietrze chłodziło jej policzki, wiatr targał włosy. Dojeżdżając do lasu, Allyssa ściągnęła wodze. Wjechała na leśną ścieżkę. Było naprawdę pięknie. Ogromne gałęzie przewieszały się nad jej głową, promienie słońca przenikały przez liście, złocistym blaskiem kładły się na miękką od mchu ziemię.

Nieoczekiwanie drzewa się przerzedziły i wjechała na dużą polanę, na której stał rozległy, kryty strzechą dom, otoczony różanym ogrodem. Za domem ciągnęły się stajnie. Słup dymu unosił się z komina. Wszystko wyglądało jak z bajki. Dom, choć podobny do tych widzianych w miasteczku, był dużo większy, niemal wielkości zamku, choć zatopiony w zieleni wydawał się znacznie skromniejszy.

Zatrzymała konia i zapatrzyła się przed siebie. Az podskoczyła, kiedy tuż za nią rozległ się czyjś głos.

- O, kogo my tu widzimy! Nasza amerykańska kuzyneczka! Szpiegujemy dla Jankesów, panno Evigan?

Musiła niechęć spiąć konia, bo skoczył do przodu. Poklepała go uspokajająco i zawróciła.

Z zielonych zarośli wynurzył się Brian Wilde, ubrany w dżinsy i roboczą bawełnianą koszulę. Ruszył ku niej, opierając ręce na biodrach i obrzucił ją taksującym spojrzeniem,

- Odwiedzamy ubogich, co? - uśmiechnął się.

- Nawet nie mam pojęcia, gdzie jestem - rzekła ostrym tonem. - A jeśli w Anglii tak wyglądają siedziby biedaków, to my, Jankesi, możemy wam tylko pozazdrościć.

- No, sam sobie na to zasłużyłem - uśmiechnął się do niej, poklepując po szyi Lady Luck. - Przepraszam. Pomyślałem sobie tylko, że po zamku Fairhaven ten dom wyda ci się nie niewart.

- Ależ skąd! Jest uroczy.

- Mhm - wymamrotał, przyglądając się jej uważnie.

- W każdym razie ma ciekawą historię. Został postawiony w czasach Henryka VIII. Pan zamku Fairhaven zakochał się w mężatce z wysokiego rodu. On też był żonaty. Za pomoc Henrykowi VII w zdobyciu tronu zyskał ogromne bogactwo i dzięki temu wybudował ten dom dla swojej ukochanej. Dobrze to sobie obmyślił. Mówił żonie: „Kochanie, jadę na polowanie” i jechał prosto tutaj.

- Wymyśliłeś sobie tę historijkę, żeby mnie zadziwić.

- Nie, panno Evigan - zaśmiał się. - Naprawdę nie.

- Zresztą to nie ma znaczenia. I tak Jest piękny.

- W pewnym sensie to ma znaczenie - powiedział.

- I powinien być piękny, piękniejszy od zamku, bo to miłość doprowadziła do jego powstania.

Nieprawdopodobne. Czy był to ten sam Brian? Zmieniła się krańcowo z minuty na minutę. Teraz też patrzył na nią tymi swoimi złotymi oczami i nie wiedziała, co czai się w jego spojrzeniu. Rozbawienie, czy może coś innego?

- O co kłóciliście się dzisiaj z Darrylem?
- Trzeba go było zapytać.
- Pytałam, ale nie chciał powiedzieć.

Gwałtownie wyciągnął ręce, ujął ją w talii i postawił na ziemię. Nawet nie zdążyła zaprotestować. Przez moment poczuła dotyk jego ciała i odskoczyła. Zdawało się jej, że pali ją żywym ogniem.

- Chodź, pokażę ci dom i spróbuję ci odpowiedzieć.
- Ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę domu.
- Ale Lady Luck...

- Nie przejmuj się, ona czuje się tu jak u siebie. Poskubie sobie trawę i poczeka. Tak, Lady?

Klacz uniosła głowę i zarżała z cicha. Allyssa wytrzezczyła oczy.

- Mam rękę do zwierząt - wyjaśnił Brian wzruszając ramionami.
- Zwłaszcza rodzaju żeńskiego, co?
- Może - uśmiechnął się szerzej. - No chodź.

Poszła za nim, z zachwytem przyglądając się kwitnącym wokół domu różom. Delikatnie dotykała świeżych pąków.

- Odkąd pamiętam, zajmuje się nimi Pete Tomason - popatrzył na **mą**. - Pamiętasz starego Petea?
- Nie pamiętam absolutnie niczego. Byłam za mała.
- Może rzeczywiście **me** pamięta się rzeczy, które są tak odległe w czasie. - Wzruszył ramionami. - Trudno mi o tym sądzić, spędziłem tu prawie całe życie.

Rozłóścił ją jego ton. Odwróciła się ku memu i wbiła palec w jego pierś.

- Mógłbyś łaskawie przestać? Mam już dość tych twoich złośliwości! Potrafisz być bezczelny! Przychodzisz do mojego pokoju, pozwalasz sobie na uwagi, a potem się wykręcasz. Jak śmiesz? Jak możesz...

Zacisnęła pięści i uderzyła go z całej siły. Chwycił ją za nadgarstki.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał ze złością. - Nigdy nie byłem w twoim pokoju, ile razy mam ci to powtarzać! Gdyby rzeczywiście tak było, to zapewniam cię, oboje byśmy to zapamiętali!

Oczy płonęły mu gniewem. Chciała zaprzeczyć, odrzucić jego słowa, ale nie zdążyła.

Zanim cokolwiek powiedziała, Brian pochylił się ku niej. Poczula dotyk Jego ust.

Wiedziała, że powinna się wyrwać, uciec mu, przecież wcale go nawet nie знаła, ale nie mogła. Nigdy nie przydarzyło się jej coś podobnego. Całował Ją tak, Jakby pragnął tego od pierwszej chwili, kiedy Ją ujrzał; jakby było to jego największe marzenie, z którym nie miał siły walczyć, które nie dawało mu żyć...

Całował ją namiętnie, gorąco. Jej palce, zaciśnięte w pięści, teraz chwyciły jego koszulę; rosło w niej dziwne, nieznanne, przyjemne uczucie; rozgrzewało ją bijące od niego ciepło. Zakręciło się jej w głowie od jego ledwo wyczuwalnego zapachu, mieszaniny woni surowej skóry i wody po goleniu. Ale przecież to tylko pocałunek, tylko pocałunek, nic więcej...

We włosach czuła delikatny dotyk Jego palców. Ich ciała tak doskonale do siebie pasowały, tak lgnęły do siebie...

I nagle wszystko się skończyło. Cofnął się gwałtownie, ze złością.

- Powiedziałem ci już, że gdybym rzeczywiście był u ciebie, oboje byśmy to pamiętali!

Szarpnęła się i pobiegła do konia. Chciała chwycić cugle, ale przestraszone zwierzę odbiegło kilka kroków.

Brian gwizdnął cicho. Lady Luck odwróciła się i, posłusznie jak owieczka, podeszła do niego, a on podał cugle Allyssie.

Znów okazał się szybszy. Zanim zdążyła wskoczyć na konia, ujął ją w tali i posadził w siodle. Złapała cugle i popatrzyła na niego.

- Nie obejrzałaś domu.
- Zejdź mi z drogi!
- Uciekasz? - zapytał unosząc brwi. - Nie myślałem, że można cię tak łatwo przestraszyć.

- Odejdź!
- Dalej nie wiesz, o co kłóciliśmy się z Darrylem.
- Nic mnie to nie obchodzi...
- Obchodzi cię, obchodzi... Powiem ci. Hodowla owiec przestaje wystarczać. Nie damy rady utrzymać zamku i tego miejsca. Jeśli niczego nie zmienimy. Możemy otrzymać kredyty od rządu, Jeśli zgodzimy się udostępnić oba obiekty turystom przez dwa popołudnia w tygodniu. To nas ratuje.

- W takim razie, panie Wilde - zapytała zjadliwie - czemu pan sam nie otworzy swego domu i nie zostawi Darryla w spokoju?

Przytrzymał cugle, unieruchamiając ją i popatrzył jej prosto w oczy.

- To ty nic nie wiesz?
- O czym?
- Paddy pozostawił trzech spadkobierców: ciebie, Darryla i mnie. Ja zawsze wolałem domek myśliwski i tu zamieszkałem. Ty me dawałaś znaku życia. Zamek przypadł Dany łowi. Ale żadne z nas nie może wykonać najmniejszego ruchu, na przykład sprzedać czy podpisać porozumienia z rządem, bez zgody pozostałych.

Paddy tak zarządził jeszcze za życia. Ale teraz wszystko może się zmienić. W końcu adwokatowi udało się ciebie odszukać. I przyjechałaś.

- Po spadek - odrzekła z sarkazmem. Spróbowała wyrwać mu cugle. - Puszczaj mnie!

- Dlaczego? Spieszysz się do zamku, żeby współczuć Darrylowi?

- Bez względu na to, co o nim myślisz, Darryl jest o niebo miłszy od ciebie!

W mgnieniu oka puścił konia i cofnął się.

- W dodatku nosicie to samo nazwisko! To dodatkowo zaleta!

Nie odpowiedziała. Spięła konia i pomknęła przed siebie.

Darryl jeszcze nie wrócił. Poszła do pokoju i zanim zrobiła sobie kąpiel, nerwowo przeszukała wszystkie kary. Nikogo nie było.

Dopiero w gorącej wodzie zdała sobie sprawę, że czuje się rozczarowana. Zagryzła usta. Co się z nią dzieje? Przecież on jest okropny, ciągle się jej czepia, jest..

Niesamowity. Fascynujący. W niczym nie przypomina delikatnego, zapatrzonego w ideały Brandona. Nawet nie przypuszczała, że istnieją tacy jak Brian. Jak on ją trzymał... Smak jego ust...

Jak mógł tak daleko się posunąć! Bezczelny! Chce się z nią droczyć czy co?

W takim razie czemu było to tak... ? Naturalne, namiętne, tak nieprzytomnie podniecające. Jakby czekał na to od dawna, jakby marzył o tym... Podniosła do ust drżące palce. Tak łatwo było to sobie przypomnieć. Zbyt łatwo...

Wydało Jej się, że z sypialni dobiega jakiś hałas. Wy-skoczyła z wanny i, owinięta w ręcznik, wpadła do pokoju. Nikogo nie było.

Kolację zjadła samotnie. Wróciła do pokoju i wśliznęła się do łóżka. Długo leżała, wpatrując się w ciemność.

Dopiero tuż przed zaśnięciem zdała sobie sprawę, że cały czas czeka.

Nazajutrz rano Darryl oczekiwał jej w dużej sali. Nakryty do śniadania niewielki stół był suto zastawiony. Darryl nalał jej kawę.

- Jeszcze raz przepraszam, że wczoraj byłaś zdana sama na siebie. Niestety, przyjechali flamandzcy kupcy i nie mogłem się wykręcić.

- Nie przepraszaj - uśmiechnęła się. - Przecież takie jest życie.

- Tak - odrzekł cicho. - Ale cieszę się, że tu jesteś. Masz może ochotę na jeszcze jedną przejażdżkę? Moglibyśmy pojechać do miasteczka, poznałabyś parę osób.

- Wspaniały pomysł.

- Jaki pomysł? - zniecierpliwiony rozległ się niski głos.

Do sali wkroczył uśmiechnięty Brian. Czuł się jak u siebie. Wziął talerz i nałożył sobie potraw.

- Brian - Darryl zrobił kwaśną minę - czemu zawdzięczamy zaszczyt dostąpienia twojego towarzystwa?

- Jakże mógłbym nie przyjechać, kiedy przybyła tu nasza piękna amerykańska kuzynka?

Unosząc brwi, musnął jej policzek. Z trudem zwalczyła pokusę, by uderzyć go w twarz.

- Wybieramy się na przejażdżkę - oznajmił wprost Darryl.

- To świetnie. Przyjechałem konno.

- Ale nie jesteś zaproszony - wycedziła mu patrząc na mego Allyssa.

Czuła na sobie palący wzrok. Jego brązowozłoty oczu i z trudem powstrzymywała się, by na mego me zerknąć. I tak zauważyła jego świeżo umyte, opadające

na czoło włosy. Cała płonęła. Wiedziała, że jest nieo-bliczalny i nieokrzesany, ale mimo to chciała, żeby pojechał.

Ale prędzej umrze, niż mu to powie!

Brian postawił na swoim. Ruszyli w stronę miaste-
czka i od razu zaczęli tę swoją nie kończącą się kłótnię.

- Nie mam ochoty, żeby mi zaglądali we wszystkie kąty - upierał się Darryl. - Skąd mogę wiedzieć, co to za ludzie będą przyjeżdżać?

- Amniejestwszystkojedno, kto przyjedzie, jeśli tyl-
ko dzięki temu nie stracimy obu miejsc! Sam wiesz, że
właśnie to nam grozi!

- Ale teraz decyzja nie zależy tylko od ciebie. Co, ku-
zynie? - zapytał Darryl i triumfująco spojrzął na Alty sse.

- Jeśli będą dwa głosy do jednego, to nie mam
o czym mówić - uprzejmie wyjaśnił Brian, widząc jej
zmarszczone czoło. - Ale na razie chyba za wcześnie na
takie rozmowy, przecież nikt z nas nie wie, co będzie
w testamencie. Poczekajmy z tym jeszcze trochę.

- To dziwne. Łączy nas tylko jeden wspólny pradzia-
dek - wymamrotał DanyL

- Naprawdę dziwne - roześmiał się Brian. - Podobne
pokrewieństwo może nas łączyć z pierwszym lepszym
człowiekiem spotkanym na ulicy.

Puścił oko do Allyssy. Teraz był zupełnie taki sam,
jak w ten pierwszy wieczór.

- Ze względu na Allyssę spróbujmy się zachowywać
przynajmniej poprawnie - poprosił Darryl.

- Ale po co będziemy mieć to dziecko?

- Nie Jestem dzieckiem! - obruszyła się AUyssa.

- Och jesteś, jesteś - mruknął Brian, obrzucając Ją
spojrzeniem.

Zrobiło się jej gorąco i naraz wszystko sobie przypo-
mniała. I na nowo zapagnęła...

- Nie zwracaj na niego uwagi, jeśli będzie niegrzeczny - pouczył ją Darryl. - Ja sam robię tak od lat.

- Ścigamy się do pierwszej góry! - Brian z uśmiechem krzyknął do Darryla,

W jednej chwili obaj puścili się pędem przed siebie. Lady Luck pogalopowała za nimi. Allyssa minęła Darryla i wpadła na górkę tuż za Brianem.

- Popatrz - wskazał na kolejne wzgórze i leżące u jego stóp miasteczko. To był przepiękny widok. - Ludzie tutaj też są tacy - powiedział miękko, nie spuszczać z niej wzroku. Odwrócił się do nadjeżdżającego Darryla. - Wpadniemy na piwo?

- Chyba na kilka! - Zabrzmiało to nieco kwaśno.

W gospodzie pani McKenzie usiedli przy ciemnym piwie i chipsach. Brian i Darryl zabawiali AUysę rozmową o muzyce, filmach i politykach. Potem zaczęli grać w rzutki. Allyssa nigdy tego nie próbowała i nie dała się wciągnąć do gry.

Zamyślona przyglądała się im, popijając piwo. Obaj są tacy przystojni. Wprawdzie są spokrewnieni, ale bardzo daleko...

Brian. Przygryzła usta. Co się z nią dzieje? Przecież on jest okropny, taki gbur. W dodatku zaprzeczał, że był u niej, zapewniając, że gdyby tak było, oboje by tego nie zapomnieli.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Był bardzo przystojnym wysokim brunetem, wspaniale zbudowanym, pełnym wewnętrznego ognia. Ale to Darryl przejmował się nią i myślał o niej.

Poczuła się winna. Musi dać mu odczuć, że docenia jego wysiłki.

Zamówili po jeszcze Jednym kuflu i wyruszyli w drogę powrotną. Brian odprowadził ich do zamku.

- Zapowiada się księżycowa noc - powiedział, ba-

dawczo spoglądając na niebo. - Też tak sądzisz, kuzynie? - dziwnie znacząco zapytał Darryla.

- Tak, chyba tak.

- Uwważaj na siebie, Allyssol

Spiął konia i odjechał.

- Idź do diabła! - mruknął za nim Darryl. Zerknął na Allyssę. - Przepraszam. Ale od lat jest zawsze tak samo.

- Nic w tym dziwnego, przecież nawet bracia wojują ze sobą. A co dopiero kuzyni.

- Nawet mniej niż kuzyni - uśmiechnął się. - Nie, to nie to. Po prostu się nie lubimy.

Ruszyli do stajni.

Darryla znów wzywały jego sprawy. Zaczął się usprawiedliwiać.

- Nie przejmuj się mną, dam sobie radę.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa, AUyso. - Postąpił krok ku niej, dotknął jej policzka. - Piękna, Inteligentna i taka miła.

Z żalem stwierdziła, że Darryl nie wzbudza w niej żadnych uczuć. Wszystko przez tego Brianal Po co ją całował?

- Ty też jesteś pełen zalet - powiedziała łagodnie, cofając się nieco.

- Na szczęście mamy sporo czasu, żeby nadrobić stracone lata.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Uśmiechnęła się i poszła na górę.

Wykapła się, przebrała i zeszła na dół. Słońce właśnie zachodziło. Postanowiła pójść na przechadzkę.

Dopiero teraz dostrzegła w dali stary cmentarz. W tym oświetleniu wyglądał tajemniczo i pięknie. Z daleka widziała sylwetki kamiennych aniołów, pokruszone ze starości rzeźbione kamienie, jakiś rodzinny grobo-

wiec. W ostatnich promieniach słońca cmentarz wyglądał malowniczo, choć...

Wzdrygnęła się. Ktoś wchodził do krypty. Zmrużyła oczy, żeby lepiej zobaczyć.

Darryl.

Ruszyła w stronę cmentarza. Był dalej, niż jej się wydawało, zaczęła więc biec. Potknęła się o kamień, który zagroził jej drogę. Słońce już zaszło, zaczynał zapadać zmrok.

Wreszcie dotarła do grobowca. Wryty w marmurze napis głosił: „Eviganowie”. Poczula ciarki na plecach.

- Darryl? - zawołała cicho.

Żadnej odpowiedzi. Otwarte drzwi lekko skrzypnęły.

Było już prawie ciemno. Rozejrzała się wokół i powoli zaczęła schodzić w dół.

W krypcie było jaśniej, niż przypuszczała. Mijała ustawione na półkach i kamiennych płytach trumny. Poczula się nieswojo.

- Darryl!

Cisza. W mroku coś majaczyło, przesunęło się, dziwacznie zwiijało. Chyba zaczynam tracić rozum...

Chociaż nie, teraz chyba naprawdę coś było i natychmiast zniknęło.

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Chciała się odwrócić, ale w tej samej chwili poczuła mocne uderzenie w tył głowy.

Ogarnęły ją absolutne ciemności. Osunęła się na zimną kamienną posadzkę, a w jej głowie w tanecznym korowodzie zawirowały niezwykłe zjawy...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Poczuła, że podnoszą ją czyjeś silne ręce. Chłodna dłoń dotknęła jej twarzy, palce delikatnie przesunęły się po jej głowie. Odniosła wrażenie, że gdzieś z daleka słabo dochodzi jakiś głos.

- Wszystko będzie dobrze.

Może to tylko sen, wystarczy otworzyć oczy. Spróbowała unieść powieki, ale wzrok z trudem przebijał się przez otaczającą ją ciemność.

Nagle go ujrziała. Znow był przy niej i uśmiechał się dziwnie, jakby z czułością. W tych swoich czarnych bryczesach i białej koszuli, w wysokich butach do konnej jazdy. Nie cofnął ręki, ponownie lekko przeciągnął dłonią po jej twarzy.

- Wszystko będzie dobrze.

Chciała przyjrzeć mu się lepiej, ale jego obraz rozplywał się przed nią, ulatywał w dal. I ciągle ta mgła przed oczami. Czy to dzieje się naprawdę? Chyba śni...

Świat się kręcił, wirowała razem z nim, zapadała w Jakaś otchłań. Oczy same się zamykały. Jakby rządziła nimi jakaś dziwna siła, której nie mogła się przeciwstawić.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, kiedy znow się ocknęła. Czy były to tylko sekundy, czy całe wieki? Znow ktoś ją wołał, niespokojnie powtarzał jej imię.

- Allyssa! O Boże, co...?

Spróbowała otworzyć oczy, przebić się przez otaczającą ją mrok.

- Brian.

Coraz wyraźniej widziała jego twarz, poblyskujące w oczach znajome złote iskierki. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Powoli wszystko zaczynało wracać na swoje miejsce.

- Brian.

- Co ci się stało?

Znów poczuła dotyk jego rąk, gładził jej policzki, przesuwał palcami po głowie. Objął ją.

Zamrugnęła oczami. Dlaczego nie może pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak? Teraz miał na sobie czarne dżinsy i czerwony sweter.

- Zdążyłeś się przebrać - wymamrotała. - Teraz masz inny strój.

- O czym ty mówisz? - zaniepokoił się. Podniósł się i pomógł jej wstać. - Chodź, zabieram cię do domu. Przyjedziemy, to opowiesz mi, co się stało.

- Do zamku - wyszeptwała.

- Nie - popatrzył na nią z wahaniem. - Może powinienem odwiedzić cię do miasta do szpitala.

- Nie, nie! - wyszeptwała obejmując go jeszcze mocniej.

- No dobrze, zobaczymy.

Poprowadził ją do wyjścia. Posadził ją na konia, podtrzymał, kiedy na chwilę straciła równowagę, wreszcie sam usiadł za nią.

- Jak się czujesz?

Oparła się o niego plecami. Pulsujący ból rozsadzał jej głowę, ale powoli zaczynała wracać do siebie. Wszystko będzie dobrze. Nawet wcale się nie bała, choć przecież miała prawo być przestraszona. Ale tak dobrze było opierać się o niego, czuć ciepło obejmujących ją ramion.

- Dobrze - szepnęła. - Wiesz, teraz znów jest tak, jak

w ten pierwszy wieczór, kiedy się poznaliśmy. Jakie to dziwne.

Poczuła, że lekko zeszywniał, ale nie odezwał się ani słowem.

Jechali przez ciemność. Wbrew temu, co wcześniej przepowiadał, noc wcale nie była księżycowa. Najmniejszy promień księżycy nie oświetlał drogi. Wreszcie minęli las i wyjechali na polanę. Brian zeskoczył z konia i podał jej rękę. Popatrzył na nią uważnie.

- Chodźmy do środka - powiedział z westchnieniem.
- Jest tak ciemno, że wcale cię nie widzę. - Lekko klepnął konia. - Wracaj szybko do stajni, zaraz tam przyjdę. - Zwierzę posłusznie wykonało polecenie. - Allyso, tym razem chyba wejdiesz do domu?

Nie mogła oderwać oczu od znikającego w oddali konia.

- O Boże! Czy on zawsze tak ciebie słucha?

- Dobrze wie, że w stajni czeka na niego siano. No, chodźmy już.

Ruszyła za nim. Niechcący potknęła się o kamień. Złapał ją w ostatniej chwili.

- Sama dam sobie radę.

- Nie jestem tego taki pewien.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Więc dobrze, w takim razie mnie zanieś.

Wziął ją na ręce, objęła go mocno za szyję. Kopnięciem otworzył drzwi i weszli do środka. Allyssa, nie zwalniając uścisku, rozejrzała się wokół. Oniemiała z wrażenia. Wnętrze, w którym się znaleźli, było naprawdę piękne, niemal czuło się w nim tchnienie historii. Spozobregła wspinały, rzeźbiony w ciemnym drewnie kominek, ściany ozdobione bogatą sztukaterią i potężne drewniane belki na suficie. Nad ogniem wisiał miedziany czajnik. Wypełnione książkami półki przy ścia-

nach 1 solidne, wygodne meble dawały wrażenie ciepła i przytulności. Na górę prowadziły szerokie kręcone schody. Brian posadził ją na jednym z dużych foteli, stojących przed kominkiem. Przykląkł przy niej i zaczął rozcierać jej ręce.

- Zimno ci?

Potrząsnęła przecząco głową i przyjrzała mu się uważnie.

- Dlaczego ty tak się ciągle zmieniasz?

- Wcale się nie zmieniam.

- Ależ tak. Zachowujesz się tak, jakbyś nie chciał mnie tu widzieć.

- Bo nie chcę.

- Dlaczego?

- Nie chciałbym, żeby spotkała cię jakaś przykrość. Zaczynam zastanawiać się nad tym, co się zaczyna dzieć. Ty nagle spadasz ze schodów, rozbijasz sobie głowę...

- Ależ ja wcale nie spadłam ze schodów! - wykrzyknęła ze zdumieniem. - Ktoś mnie uderzył!

- Kto? - zapytał zwięźając oczy.

Nie wierzył jej. Z trudem pohamowała złość.

- Nie wiem. Poszłam za Darrylem do grobowca...

- I to on cię uderzył?

- Wcale tego nie powiedziałam! Zresztą nawet nie miałby jak. Kiedy weszłam do środka, już go tam nie było.

- Przed chwilą powiedziałaś, że poszłaś za nim.

- Tak, ale chyba musiałam się jakoś zagapić, bo nie zauważyłam, kiedy wyszedł.

Podniósł się i usiadł na stojącym obok niej fotelu. Zapatrzył się w tańczące w kominku złote ogniki.

Allyssa chciała coś powiedzieć, ale zanim zdążyła otworzyć usta, odwrócił się do niej.

- Już rozumiem. Ktoś z naszych drogich przodków powstał z grobu i walnął cię w głowę.

Poderwała się z miejsca. Ależ była naiwna! Słabnący już ból głowy znów odezwał się z nową siłą.

- Nic takiego nie powiedziałam! - parsknęła ze złością.

- Siadaj!

Też był wściekły. Zerwał się i złapał ją za ramiona. Nie miała siły z nim walczyć. Usiadła zagryzając usta.

- Ten, kto mnie uderzył, z całą pewnością był żywą osobą - nie dawała za wygraną. - Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Zawahał się. Milczał, rozważając coś w duchu.

- No, dlaczego?

- Dlatego - zaczął cicho - bo wydaje mi się, że masz nadmiernie wybujałą wyobraźnię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wyjechałem po ciebie na stację ani nie byłem w twoim pokoju.

Odwróciła się od niego i zapatrzyła w ogień. Z trudem hamowała łzy, napływające jej do oczu. Co tu się dzieje? Czyżby naprawdę zaczynała tracić rozum?

A może on kłamie? Może to właśnie jego powinna się strzec?

Popatrzyła na niego twardo. Za nic nie da niczego po sobie poznać.

- W takim razie masz sobowtóra, który kręci się po okolicy, ubrany w bryczesy i białą koszulę. Zabrał mnie ze stacji, a potem przyszedł do mojego pokoju, żeby mnie ostrzec przed Darrylem.

- Bardzo rozsądnie.

- Czyżby? - Znów poderwała się z miejsca. - Wiem tylko jedno: Darryl przynajmniej nie znika i nie pojawia się nieoczekiwanie, nie wiadomo skąd...

- Ja też nie - popatrzył na nią złowroźnie.
- W każdym razie coś tu nie gra - nie ustępowała.
- Przecież widziałam cię na własne oczy.

- Ale to nie byłem ja!

Odwróciła wzrok do ognia. Dopiero po chwili popatrzyła na Briana.

- Jest wiele możliwości.
- Owszem - skinął głową. - Po pierwsze: to wszystko mogło się zdarzyć jedynie w twojej wyobraźni. Nie zapominaj, że byłaś bardzo zmęczona wyczerpującą, długą podróżą. Druga możliwość, to rzeczywiście ktoś z nie wyjaśnionych powodów odebrał cię ze stacji. Trzecia...
- Wiąże się z twoją osobą - powiedziała cicho, mierząc w niego palcem. - To ty byłeś na stacji! I ty próbujesz mi wmówić, że jestem niespełna rozumu!

Poderwał się, oczy zapłonęły mu złością.

- Tylko po co miałbym to robić! - Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. - No, po co?
- Nie mam pojęcia, ale na pewno jeszcze nie zwariowałam! - odcięła się. - Więc jeśli przyjmujemy, że jest to jakaś możliwość...
- I uważasz, że to ja uderzyłem cię dzisiaj w głowę, tak? - zapytał z sarkazmem.
- Nie wiem, w każdym razie na pewno nie spadłam z tych cholernych schodów! - nie zrażała się. - A ty tam byłeś...
- Kiedy tam byłem? - ryknął nie panując nad sobą i jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

Zadrżała. Ze strachu przed nim czy dlatego, że tak ją trzymał? Dlatego, że był tak blisko?

Zwalczyła pokusę, by mu się wyrwać. Popatrzyła na niego pogardliwie.

- Puść mnie! - wycedziła.
- Allyssa, jeszcze raz powtarzam ci...

- Odejdź ode mnie!
- Nie potrafię...
- Nie potrafisz pogodzić się z myślą, że mówię prawdę.

Znów zacisnął palce na jej ramieniu.

- Cholera! Idź do diabła!

Puścił ją, a sam, z zaciętą twarzą, jakby ciągle toczył w duchu walkę ze sobą, podszedł do ognia.

Allyssa poczuła lzy w oczach i zamrugowała gwałtownie. Ruszyła do drzwi. Ucieknie stąd, choćby nie wiem co, nawet gdyby miała na piechotę wracać po nocy do zamku.

- Allyssa!

Odwróciła się. Był już przy niej. Zanim się zorientowała, przycisnął ją mocno do siebie.

- Nie pozwolę ci samej wracać do zamku! - Oczy mu płonęły. - Nie ma mowy!

Szarpnęła się z wściekłością, ale nieoczekiwanie przygarnął ją jeszcze mocniej. Zaparło jej dech. Brian pochylił się i gwałtownie, jakby popychany jakąś siłą, której nie potrafił się oprzeć, przywarł do niej ustami.

Uciekaj! Ostrzeżenie jak błyskawica przemknęło jej przez myśl i zniknęło gdzieś bezpowrotnie. Silny, niemal brutalny uścisk Briana nagle złagodniał. Jego gorące usta w jednej chwili roztopiły jej opór, obejmował ją tak mocno, tak czule, tak cudownie było czuć dotyk jego silnego ciała...

Jak przez mgłę przypomniawszy sobie Jego słowa: Gdyby był w jej pokoju, oboje by to zapamiętali...

Tak, tak właśnie by było. Teraz już by w to nie wątpiła. Nie przestawał jej całować. Kręciło się jej w głowie, cały świat wirował w szalonym pędzie, odkrywały się przed nimi nieznanne lądy, przed zachwyconymi oczami przesuwwały się niezmiernie piękne krajobrazy, żeglowali

w chmurach... Całą sobą odczuwała to niezwykle piękno, jak nigdy przedtem czuła, że żyje... Oderwał od niej usta, złote oczy płonęły zmysłowo. Dotknęła jego policzka, w milczeniu, jakby bała się słowem naruszyć to, co nagle się objawiło. Delikatnie przeciągnęła palcami po jego czarnych włosach.

Porwał ją w ramiona. Nadal nie odezwała się ani słowem. Niósł ją po schodach, potem przez ciemny korytarz pełen tańczących cieni. Pchnął drzwi do pokoju. Srebrne światło księżyca wpadło nagle przez masywne okna, w jego blasku niewyraźnie majaczyło ogromne łóżko z baldachimem, ciemny kominek.

Nie widziała niczego poza nim. Ułożył ją na łóżku, sam wyciągnął się obok niej. Znów ją całował. Całował, dotykał, tulił... Oszołomiona, z radością oddawała mu pocałunki. Przyciskała go do siebie, pod palcami czuła szorstką tkaninę jego swetra, napięte, twarde mięśnie, ciepło bijące od jego ciała. Brian odsunął się na chwilę i szybko ściągnął sweter. Księżyc obsypał srebrnym blaskiem jego nagą skórę. Wyciągnęła rękę, nieśmiało dotknęła jego piersi. Znów przypadł do niej ustami, całował usta, szyję. Opadła niepotrzebna bluzka. Nie przestawał jej pieścić, dotykać... Drżała.

Chciała się podnieść, ale nie pozwolił jej. W ciszy rozległ się dźwięk rozpinanego suwaka. Zamknęła oczy. Całował ją namiętnie, każdym pocałunkiem rozpalając w niej nowe pragnienia. Jej dżinsy lekko uderzyły o podłogę. Podniósł się, widziała go teraz wyraźnie w świetle księżyca. Oswobodzony z ubrania ogrzewał ją swoim ciałem, błdził ustami po jej skórze. Uwolnił jej piersi, zaczął całować je żarliwie, znów odszukał jej usta. Jęknęła cicho i objęła go mocno. Znów poczuła na skórze jego gorący oddech...

Świat wirował jak oszalały, płynęli gdzieś zawieszeni

między niebem i ziemią, jego dotyk palił jej ciało, здавало się jej, że płonie żywym ogniem.

Kłęczeli przed sobą. Obejmowała jego szyję, całowała ramiona, tuliła do siebie. Tak bardzo go chciała, tak bardzo była tego pewna. Zapomniała o wszystkich wahanjach, wszystkich obawach. Być z nim, czuć cudowny dotyk jego ust, jego rąk, patrzeć w jego pociemniałe z pragnienia oczy, w których radośnie płonęły złote ogniki, rozświetlające noc otulającą ich nagłe ciała.

Popatrzył na nią przeciągle. Jęknęła cicho i zamknęła oczy, kiedy zrobił ostatni krok. Na moment zamarła. Spleceni miłosnym uściskiem zapomnieli o wszystkim. Zagamął ich odwieczny, szalony rytm; nieprzytomnie, do utraty tchu sycili się sobą, umierając z rozkoszy i pragnienia, by przedłużyć tę chwilę w nieskończoność.

Jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś takiego, nie wiedziała, że istnieje taka mamiętność i nigdy nie zaznała takiego szczęścia... Było jej z nim tak cudownie. Patrzeć na niego, dotykać go. To wszystko było tak zaskakująco nieprawdopodobne: jego skóra, taka jedwabista, szerokie piersi, siła drzemiąca w twardych mięśniach, tkliwość, jaką budziło w niej dotykanie jego policzków, bicie jego serca...

Przytuliła się do niego i zamknęła oczy, wsłuchując się w Jego zdyszany oddech. Dopiero teraz zastanowiła się nad tym, co przed chwilą się wydarzyło. Prawie go nie знаła. Co się z nią stało? Zapragnęła go tak bardzo, że zapomniwała o wszystkim, zapomniwała nawet o Brandonie. A przecież od jego śmierci nigdy ani przez moment nie myślała o innym mężczyźnie. Jęknęła.

- Co się stało? - pogładził ją po włosach.
- Nie powinniśmy... tego robić.
- Dlaczego?
- Przecież się nie znamy.

- Teraz już chyba tak.

Usiadła i popatrzyła na niego. Dlaczego tak bardzo się jej podobał, dlaczego był aż tak przystojny?

- Powinnam mieć się przed tobą na baczności - szepnęła.

- Dlaczego? - uśmiechnął się. - Boisz się stracić cnotę?

- Równowagę psychiczną - powiedziała cicho - albo życie.

Jego uśmiech zgasł w jednej chwili. Poderwał się.

- O Boże! Całkiem zapomniałem! Twoja głowa...

- Nic jej nie będzie - wyszeptała.

- Naprawdę?

- Tak.

Położył się, ale nie spuszczał jej z oczu. W cieniu nie widziała Jego twarzy.

- Nie powinnam była tu zostać. Naprawdę. Muszę wracać. Jeśli Darryl...

- Zostawił cię samą - przypomniał jej. Przymrużył oczy. - To za nim weszłaś do grobowca. Skąd wiesz, że to nie on cię uderzył, jeśli rzeczywiście tak było?

- Mówiłam ci już...

- Dobrze, już, dobrze! Ale nie musisz się spieszyć.

Możesz zostać tutaj.

- Tak? Z kimś, kto uważa, że powinnam się leczyć!

- Co?

- Przecież nadal mi nie wierzysz...

- Sama zaczęłaś.

- Do diabła, Brian, czy my naprawdę musimy się ciągle kłócić?

- Chodź tu! - wyciągnął rękę.

- Ale...

- Mam na to sposób - wyszeptał przyciągając ją do siebie.

- Ale...

Nie pozwolił jej dokończyć. Odszukał jej usta. świat znów zawirował razem z nimi. Co ona robi. przecież nie powinna mu ufać. nie powinna...

Ale nie potrafiła się oprzeć tajemnej magii tej srebrzystej nocy. Byli tylko we dwoje i nic innego nie istniało.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwa dni później Allyssa znów wybrała się do krypty. Tym razem przysłała w środku dnia. Nie znalazła niczego ciekawego, choć sama nie wiedziała, czego właściwie szuka.

Krypta była starannie utrzymana, ale nawet w dziennym świetle Allyssa czuła się tu nieswojo. Niektóre trumny były naprawdę dziełami sztuki. U boku zakutych w zbroję rycerzy, sztywno ściskających w dłoniach swe miecze, spoczywały ich żony. Powierzchnię starszych trumien pokrywały rzeźbione szkielety i czaszki, niektóre były ozdobione epitafiami. Z upływem lat trumny stawały się inne, prostsze. Allyssa odszukała trumnę Paddy*ego, ostatnią. Na kremowym marmurze było wyryte tylko Jego Imię i nazwisko. Ktoś nadal o nim myślał, bo leżały na niej świeże polne kwiaty.

Oprócz ogromnej głównej sali, w której znajdowały się najstarsze i najświeższe trumny, było tu Jeszcze kilka mniejszych pomieszczeń.

Allyssa rozejrzała się wokół. Musiała tu wrócić, choć bała się tej wyprawy. Ale przecież nie spadła sama ze schodów.

Było kilka możliwości. Przypomniała sobie Briana i poczuła ucisk w sercu. W końcu skłoniła go, by ją odwiózł do zamku. Przystał na to niechętnie, z goryczą i drwiną w głosie. Patrzył na nią wyczekująco, kiedy wyjaśniała Darrylowi, że została u niego na kolacji. Może spodziewał się, że powie coś jeszcze, ale zawiodła go. On

sam, powstrzymany jej spojrzeniem, nie odezwał się. Ale od tej pory nie pokazał się.

Darryl jak zwykle był czarujący. Obwoził ją po posiadłości, zabrał do gospody, gdzie poznała kilka osób z okolicy. Ze śmiechem zapewniali ją, że na zamku, zgodnie z tradycją, zamieszkują duchy.

Duchy? Może to też powinna wziąć pod uwagę? Ciekawe, co Brian by na to powiedział. Ale nie miała jak go o to zapytać. Nawet nie zadzwonił.

Z westchnieniem przysiadła obok trumny Paddy'ego. Nagle zadrżała i niespokojnie rozejrzała się wokół. Ogarnęło ją dziwne uczucie, że nie jest sama.

Wprawdzie to grobowiec, ale jest rozsądna i nie wierzy w duchy. Przez szeroko otwarte drzwi na zewnątrz wpada jaskrawe światło słońca. Nikogo poza nią tu nie ma, przecież dokładnie obejrzała wszystkie ściany, szukając drugiego wyjścia. Niczego nie znalazła. Tylko w tych małych salkach panował mrok i unosił się zapach...

Zapach śmierci.

Poczuła ciarki na plecach. Najwyższy czas stąd wyjść. Podniosła się i ruszyła w stronę schodów. Nagle zamarła.

Z zewnątrz ktoś nadchodził. Podniosła rękę, by osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Ktoś wysoki, ciemny, stał na progu i patrzył na nią. Sparaliżował ją strach. To już koniec...

- Na litość boską, co ty tu robisz?

Zwolniła wstrzymany oddech. Serce trzepotało jej w piersi. To był Brian.

- Co ty tu robisz? - powtórzył zbiegając ku niej po schodach.

- Nie twoja sprawa!

Rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał.

- Skąd mam wiedzieć, czy nie przysłaś tu szukać skarbów albo obrabować trumny?

Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i określiła się na pięcie, ale zanim zrobiła krok, złapał ją i obrócił do siebie. Przeraziła się.

To on ją tu wtedy znalazł. Skąd może wiedzieć, czy to nie on ją uderzył? Przecież to on ciągle pojawiał się i znikał... i za każdym razem się tego wypierał.

- Znow przysłaś tu za Darrylem?

- Nie. - Popatrzyła na niego zdumiona. - Dlaczego?

- W takim razie co tu robisz?

- Nawiązuję kontakt ze zmarłymi - odczęła się. Jego oczy lśniły złością. - Właśnie skończyłam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym stąd wyjść.

Nawet nie drgnął. Stał i wpatrywał się w nią.

To już koniec. Ale byłam głupia. Zakochałam się w nim, w jego spojrzeniu, w jego głosie, w jego dotyku. Zaufałam mu ślepo i teraz muszę za to zapłacić.

Przesiał się Jej przyglądać. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Westchnął głęboko.

- Dobrze, wyjdźmy stąd. - Wziął ją za ramię i pociągnął do wyjścia.

Dwa kamienne anioły strzegły wejścia do krypty. Al-lyssa usiadła na schodach w ich cieniu. Brian przyłączył się do niej.

- Jak tam nasz kuzyn, Darryl?

- W porządku.

- Nadal uważa cię za wzór cnót?

Wlepiała w niego oczy i poczuła, że się rumieni.

- A niby co mam mu powiedzieć? Przepraszam cię, ale nie miałeś dla mnie czasu, więc poszłam sobie do krypty i ktoś uderzył mnie w głowę? Na szczęście odnalazł mnie Brian, zabrał do siebie i...
- urwała.

- Wstydzisz się tego? Żałujesz?

Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwał.

- Rozumiem. Kiedy się mieszka z jednym mężczyzną, to nie wypada przespać się z innym.

- Przestań!

Zerwała się i pognąła do wyjścia.

- Zaczekaj! - Dopędził ją w jednej chwili i złapał za rękę. Chciała się wyswobodzić, ale nie puścił jej. - Wybacz mi, ale nic nie poradzę, że tak cholemie mi się podobasz! - syknął, obracając ją ku sobie.

- Ale...

- Zjedzmy razem lunch.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie. Podążyła za nim. Przed cmentarzem stało małe BMW.

- To twój?

- Tak, czasami się przydaje.

Po drodze nie odezwali się ani słowem. Zatrzymali się dopiero jakieś pół godziny później, w niewielkim miasteczku. Przyjemna restauracja pod gołym niebem, z widokiem na staw, po którym pływały czarne łabędzie.

Zamówiła poleconą jej przez Briana rybę. Czekaając na jedzenie, popijali ciemne piwo. Allyssa zamyślona przyglądała się łabędom.

- No, więc po co poszłaś do krypty?

- Przywiozłeś mnie tutaj, żeby mnie o to wypytać?

- Nie. Dlatego, bo chciałem znów cię zobaczyć, ale nie na tym cholemy zamku.

Uśmiechnęła się i szybko opuściła wzrok. Bała się, że oczy ją zdradzą. Ona też chciała go zobaczyć. Choć nie, chciała o wiele więcej. Marzyła o tym, by powtórzył się czar tamtej nocy, by znów znalazła schronienie w jego ramionach...

- Chciałam poszukać... - wymamrotała.

~ Czego?

- Sama nie wiem. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Jakiegoś innego wyjścia. Czy Jest inne wyjście?

- Nie wiem - zastanowił się. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nie szukałem.

- Myślę, że nie ma. Ja nie znalazłam.

Brian oparł się o krzesło i spojrzał na nią poważnie.

- Trzymaj się od tego miejsca z daleka.

- Przecież poszłam tam w środku dnia...

- Ale pod ziemią jest ciemno i zimno, i już raz znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

- Spadłam ze schodów, według ciebie.

- Słuchaj, nie wiem, co się wtedy stało. Oboje tego do końca nie wiemy. Chyba się z tym zgadzasz?

Uśmiechnęła się, mrużąc powieki.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek uda nam się mieć takie samo zdanie. Ale przynajmniej teraz mógłbyś się postarać i przekonać mnie, że zgadzasz się ze mną.

Pochylił się ku niej i dużą opaloną dłonią nakrył jej ręce. Serce jej zabiło.

- Chcesz powtórzyć tamtą noc i sprawdzić, czy potrafimy się zgodzić?

Tego właśnie chciała...

Do stolika podeszła kelnerka z zamówionymi potrawami i Brian szybko cofnął rękę.

- Och, nie zapominajmy o Danyimi

- Mógłbyś to sobie darować!

- A ty mogłabyś skończyć te swoje gierki.

- Ależ o czym ty mówisz! Sama nie mam zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. A ciebie też prawie nie znam i...

- Nie znasz mnie? - zapytał cicho, a kiedy nie odpowiedziała, przysunął się bliżej. Ciemne włosy opadły mu na czoło, oczy płonęły. - Znasz mnie bardzo dobrze.

I powinnaś nauczyć się zawierzyć temu, co podpowiada ci instynkt.

- Świetnie! Ty nie wierzysz w ani jedno moje słowo, ale za to ja powinnam kierować się intuicją! Powtarzam ci jeszcze raz, że nie wiem, co tu się wyrabia. I nadal zupełnie nie rozumiem, o czym mówiła moja matka...

- Twoja matka? - przerwał jej, nagle zaciekawiony.

- Tuż przed śmiercią ciągle powtarzała, że ona tego nie zrobiła, że nie jest winna. Była już wtedy w takim stanie, że nie mogłam dowiedzieć się od niej niczego więcej. Ale nie mogę o tym zapomnieć. To dlatego tu przyjechałam, kiedy dowiedziałam się o testamencie i istnieniu tego miejsca. Przedtem nikt mi o nim nawet nie wspominał, a ja niczego nie pamiętałam.

Brian zapatrzył się na pływające łabędzie. Zamyślony bawił się szklanką.

- Ja pamiętam - odezwał się po chwili - chociaż jak przez mgłę.

- Naprawdę? - gwałtownie pochyliła się ku niemu.

- W piwnicy z winem wykopano kilka przedmiotów, jeszcze z czasów normańskich. Między innymi wyjątkowo piękny krzyż.

- I co?

- Nagle krzyż gdzieś zniknął. Twoja matka od początku była nim zafascynowana i Paddy, jak to on, oskarżył właśnie ją. Zaczęła płakać, twój ojciec wpadł w szal. Nie przebijając w słowach oznajmił, że nie pozwoli mu traktować jej w ten sposób i zagroził, że wyjedziecie, jeśli jej nie przeprosi.

- Dobrze zrobił!

- Też tak sobie pomyślałem - uśmiechnął się Brian.

- Miałem wtedy jakieś jedenaście lat. Bardzo wcześnie straciłem matkę i ciotka Jane zawsze była dla mnie piękna, miła i dobra. Cieszyłem się, że twój ojciec stanął

w jej obronie. To wtedy Paddy popełnił błąd. Powinien był ją przeprosić i może nawet chciał to zrobić, ale zawsze był zawzięty i uparty jak dziki osioł. Nie odezwał się. Twój ojciec dotrzymał słowa i zabrał was do Ameryki. Tam przynajmniej miał spokój.

- Aż zmarł.

- Mhm. Wydaje mi się, że zaraz po jego śmierci Paddy odszukał was, ale nie udało mu się nakłonić twojej matki do powrotu. Twój ojciec zawsze był jego ulubieńcem. Przypuszczam, że zapisał ci coś w spadku. Może w ten sposób chciał cię tu ściągnąć.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Pytałam Darryla, ale on niczego nie pamięta.

- Nie pamięta! Obaj jesteśmy w tym samym wieku. Świetnie wie, co się wtedy wydarzyło!

- W takim razie nie chciał mi powiedzieć. Może wolał oszczędzić mi przypuszczenia, że moja matka coś ukradła.

- Kto wie? - powiedział z nagłą irytacją. - Tylko taki gest wcale do niego nie pasuje.

- Dlaczego ty się tak ciągle go czepiasz?

- Bo przez całe życie jest pasożytem i rozrzutnikiem - powiedział spokojnie.

- Doprawdy? - zapytała z podejrzaną słodyczą w głosie. - I pewnie marnotrawi to, co ci się słusznie należy?

- Do diabła, nie. Ja... - urwał. - W porządku. Możesz sobie myśleć co chcesz, panno Evigan. Możesz go bronić. - Przynął się jeszcze bliżej. - Ale uważaj! Nie wiem, czy zawsze zdążę na czas, zwłaszcza że jesteś taka beztrocka.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz!

- I byłoby najlepiej, żebyś się nigdy nie dowiedziała! Już nie jesteś? Może powinniśmy wrócić, zanim Darryl stęskni się za tobą.

W powrotnej drodze oboje milczeli. Brian zatrzymał się przy moście do zamku. Allyssa już sięgała do klamki, kiedy zniemacka pochwycił ją w ramiona. Chciała się wyrwać, ale jej opór stopniał w jednej chwili. Znow ją całował, znow odżyły cudowne wspomnienia...

Puścił ją równie nieoczekiwanie, jak przytulił, i wyszeptał tuż przy jej ustach:

- Pamiętaj, to dopiero początek. Czeka cię dużo więcej, jeśli tylko wyrwiesz się biednemu Darrylowi!

Zacisnęła zęby i odepchnęła go ze złością. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Biegiem puściła się przez most, ale jeszcze tam dobiegającego głośny śmiech. Drżącymi palcami dotknęła znow nabrzmiałych ust.

Darryl czekał na nią w dużej sali i czytał gazetę.

Podniósł się szybko na Jej widok.

- Już zaczynałem się martwić. Wiem, że cię zaniedbuję. Co byś powiedziała na kino? Potem moglibyśmy pójść na kolację.

- Wspaniały pomysł.

Dlaczego ten Brian tak ją opętał? Darryl jest taki miły, tak o niej myśli! Poczula się winna.

Dlaczego Brian tak stanowczo zaprzeczał, że to nie on był na stacji 1 u niej w pokoju? Jeśli nie on, to kto? Coś w głębi duszy mówiło jej, że musi mu ufać. Co powinna zrobić?

- Poczekaj, wezmę tylko płaszcz. Może się ochłodzić.

- Świetnie - ucieszył się Darryl. - Czeka nas cudowny wieczór. Chyba dobrze nam razem, co?

Pospiesznie skinęła głową.

- Zaraz przyjdę.

To naprawdę był mity wieczór. Film okazał się bardzo zabawny. W przerwie wypili herbatę, a potem zatrzymali się na rybę i frytki. Kiedy wrócili do zamku, Darryl

objął ją i przyciągnął do siebie. Chyba poczuł, że cofnęła się nieco, bo tylko lekko pocałował ją w czoło.

- Dobrej nocy, Allysso. - Pochylił się i wyszeptał niemal niedosłyszalnie: - Daj mi szansę.

W czwartek prawie go nie widziała. Brian też nie dawał znaku życia.

Zobaczyła go dopiero w piątek, kiedy o dziesiątej rano zebrawali się razem ze służbą w dużej sali na odczytanie testamentu.

Jak strasznie długo to trwało! Paddy nie zapomniał o niczych zasługach. Adwokat czytał i czytał. Allysso zapatrzyła się w ogień na kominku, potem zaczęła przyglądać się rozwieszonym na ścianach mieczom.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z ciszy, jaka niespodziewanie zapadła.

Oczy wszystkich zgromadzonych patrzyły na nią.

- Co się stało? - szepnęła.

Darryl podniósł się z miejsca.

- Przepraszam - mruknął ponuro. Ciężkie drzwi trzasnęły za nim z głuchym hałasem.

- Co się stało? - powtórzyła, przenosząc wzrok z adwokata na Briana.

Brian wstał i pochylił się ku niej.

- Panno Evigan, czyżbyś nie słuchała? - zapytał z lodowatym uśmiechem. - Paddy wszystko zapisał tobie. Oczywiście, pod pewnymi warunkami. Ale wszystko należy do ciebie. Czy właśnie po to tu przyjechałaś?

Po raz drugi drzwi z jękiem uderzyły o futrynę.

Tym razem poczuła się tak, jakby ten cios został wymierzony w jej serce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Aż do poniedziałku męczył ją ból głowy. Od chwili, kiedy po odczytaniu testamentu Brian i Darryl demonstracyjnie wyszli, a wszyscy pozostali mierzyli ją wrogim spojrzaniem, czuła się fatalnie. Nawet adwokat nie chciał z nią rozmawiać, umówił się dopiero ma poniedziałek.

Chciała wytłumaczyć się jakoś przed Darrylem, kiedy w piątek wieczorem zeszła na dół, ale on zbył ją machnięciem ręki.

- Nie ma w tym twojej winy. To sprawka Paddy*ego. Zresztą prawdę mówiąc, nawet jestem zadowolony, że to tobie wszystko zapisał. - Uśmiechnął się z goryczą.
- Wolę, że tobie, a nie Brianowi! Tylko trudno mi się z tym od razu pogodzić. W końcu to ja przez tyle lat mieszkałem z Paddym pod jednym dachem, ja zajmowałem się zamkiem. Przykro mi, że tak mnie potraktował, chyba to rozumiesz? Ale ty nie masz czym się przejmować. Przepraszam, że rano wyszedłem z sali. Wiesz, jeszcze przez Jakiś czas wolałbym być sam.

Wróciła do siebie. Przez całą sobotę Darryl jej unikał. W niedzielę pojechał z nią do kościoła. Na mszy ujrzała również Briana.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, wreszcie drwiąco skinął głową. Nie czekał na nią przed kościołem. Resztę dnia spędziła na samotnej przejażdżce.

Kiedy mijala cmentarz, zatrzymała wzrok na rodzinnym grobowcu. Paddy, coś ty najlepszego zrobił? Czy

w ten sposób chciałeś naprawić krzywdę wyrządzoną moim rodzicom? Czy zdajesz sobie sprawę, Jak bardzo skomplikowałeś mi życie?

Odetchnęła z ulgą, kiedy w poniedziałek przyjechał po nią przysłany przez adwokata samochód. Przynajmniej oszczędzi sobie proszenia Darryla o podwiezienie. Spotkanie ciągnęło się w nieskończoność. Prawie trzy godziny adwokat objaśniał jej warunki testamentu. Wszyscy spadkobiercy mieli prawo zamieszkiwać w zamku tak długo, jak tylko zechcą, ale tylko ona może podejmować istotne dla funkcjonowania zamku decyzje. Testament powierzał opiece Briana domek myśliwski, a Darryl nadal miał zarządzać gospodarstwem i pilnować interesów, otrzymując za to wynagrodzenie. Pozostały dochód miał należeć do Allyssy. Ona sama nie może niczego sprzedać bez zgody Darryla i Briana. W razie jej śmierci kontrola nad zamkiem przechodzi na Darryla, a Brian przejmuje zarząd nad domkiem myśliwskim. To wszystko było tak skomplikowane i stresujące, że kiedy wreszcie dotarła z powrotem do zamku, marzyła tylko o tym, by położyć się do łóżka i natychmiast zasnąć albo spić się na umór.

Gregory chłodno zakomunikował jej, że pana Evigana nie będzie na kolacji, a on chętnie przyniesie jej posiłek na górę.

Dobrze wiedziała, że najchętniej wcale by jej tu nie oglądał. Poprosiła, by przyniósł też butelkę wina.

Zabrała się do jedzenia. Powieść z dreszczykiem, którą sobie przygotowała do czytania, zupełnie jej nie pociągała. Wypiła kieliszek wina, drugi w trakcie jedzenia, potem jeszcze jeden i jeszcze. Przyszło jej do głowy, że dobrze jej zrobi gorąca kąpiel. Zgasiła światło. Teraz tylko buzujący na kominku ogień, rozpalony przez jakąś litościwą duszę, ciepłym blaskiem rozjaśniał tonący

w ciemnościach pokój. Allyssa napełniła wannę gorącą wodą i zanurzyła się w niej z rozkoszą.

Powietrze było przesycone gorącą parą. Allyssa wyciągnęła się wygodnie, oparła głowę. Powoli zaczynała się rozluźniać, zapominając o zmęczeniu, było tak przyjemnie... Rozmarzyła się. Naraz przestraszyła się, że zaraz zaśnie i się utopi. Wyszła z wanny i owinęła się w puszysty kąpielowy ręcznik. W drzwiach do sypialni zamarła.

Ciepły blask ognia słabo oświetlał ciemne wnętrze, pełne tańczących cieni. Napływające z łazienki kłęby pary unosiły się w powietrzu, przesłaniając majaczące w mroku zarysy przedmiotów.

W pokoju ktoś był. Jakiś wysoki, ciemny mężczyzna. Stał z rękami opartymi na biodrach i wpatrywał się w nią.

Para rozrzedziła się nieco i odsłoniła jego twarz.

Brian.

Allyssa zagryzła usta i ciałniej owinęła się ręcznikiem. Wyszła z łazienki i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę. Patrzył na nią w milczeniu. Chciała pozostać niewzruszona; ironicznie pouczyć go, że należy pukać, zanim się wejdzie; poprosić o informację, czy dostał się tutaj przez okno.

A nade wszystko zapytać, czy jutro też wyprze się tego, że do niej przyszedł...

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Brian brutalnie przyciągnął ją ku sobie, przypadł do niej ustami. Chciała się wyrwać, jakoś zaprotestować, ale naraz cały jej opór stopniał. Pocałunek zdawał się trwać wiecznie. Dopiero kiedy ugięły się pod nią kolana, Brian odchylił głowę. Delikatnie zdjął otulający ją ręcznik, zaczął całować jej ramiona, szyję, piersi, znów odszukał jej usta.

- Upajasz Jak wino - wyszeptał tuż przy Jej twarzy. Nie przestawał Jej pieścić. Oddychała z trudem, czuła zawroty głowy. Bała się, że za chwilę upadnie. Podtrzymał ją ramieniem, przycisnął do siebie Jeszcze mocniej. Czuła ciepło jego rozpalonych ust na wilgotnej skórze. Objęła go z całej siły.

Krzyknęła cicho. Wirowało jej w głowie, ziemia uciekała spod nóg. Brian porwał ją i zaniósł na łóżko. Potem kochał się z nią, i jeszcze, i jeszcze...

Szalona noc zdawała się nie mieć końca. Gwałtowna, nieujarzmiona namiętność nieoczekiwanie roztopiała się w łagodność i znów przepelniała ich czułość. Płonący w kominku ogień ciepłym blaskiem złocił ich nagie ciała. Noc otulała ich ciemną zasłoną, osłaniając przed całym światem. Allyssa patrzyła w połyskujące złociście oczy Briana, jego dotyk znów przywracał czucie jej zmysłom, na nowo wzniecał ten oszałamiający, bezlitosny żar, który palił jej ciało... I znów już nic nie istniało, byli tylko oni dwoje i noc wokół nich, znów sięgnęli nieba...

Chciała coś powiedzieć, odezwać się choć słowem, ale ta noc była tak piękna, aż dławiło w gardle, zapierało dech. Przepelniona czułością, przytuliła się do niego i zasnęła.

Kiedy się obudziła, słońce było już wysoko. Przez wąskie okna wpadało Jasne światło. Przycisnęła dłonie do głowy, by ukoić rozsadzający ją ból.

To od tego wina. Po co je piła?

Nagle przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy...

Gwałtownie wyciągnęła rękę. Nie było go. Poszedł sobie. No tak, przecież mogła się tego spodziewać.

Przygryzła usta i popatrzyła po sobie. Pośpiesznie

przykryła się koldrą. Tym razem na pewno był tutaj I Przecież nie zwariowała! Musi go odnaleźć!

Pobiegła do łazienki, szybko wykapała się i ubrała.

Darryla nigdzie nie było. Wyszła na dwór i poszła do stajni. Poprosiła Liama, żeby osiodłał jej konia.

- Cieszę się, że chociaż ty chcesz ze mną rozmawiać. Dlaczego?

- Bo znalazłem pana Paddy'ego. Jestem pewien, że wiedział, co robi. To, że tych dwóch zostało rozdzielonych, jest najlepszym wyjściem, jakie można sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że teraz w końcu dowiemy się, co tu się naprawdę dzieje. Proszę, Allyso. lady Luck jest już gotowa do jazdy.

- Dziękuję ci, Liam. Za konia i za zaufanie. Powiem ci coś. - Pomógł jej wsiąść. - Wczoraj poprosiłam adwokata, żeby spróbował znaleźć jakieś wyjście. Nie chcę tego spadku. - Zawahała się. - Znalazłam Już odpowiedź na pytania, które mnie tu przywiodły. Naprawdę po nic innego nie przyjechałam. A już na pewno nie po to, żeby cokolwiek odebrać Darrylowi czy Blianowi.

- Często dostajemy coś, o co wcale nie prosimy, prawda?

Liam pomachał jej i poszedł w stronę stajni.

Wybrała drogę przez pola, wiodącą do lasu i domku Briana. Była już w połowie, kiedy tuż przy zarosłach dostrzegła sylwetkę jeźdźca. Mignęła jej przez moment i zaraz zniknęła między drzewami. Czyżby to Brian?

Puściła się w jego stronę. Cudownie było tak pędzić przed siebie! Czuć wiatr na policzkach, całą sobą odbierać płynny ruch galopującego konia! Przywarła mocno do jego szyi, rozkoszując się szybkością i poczuciem dzikiej, niczym nie ograniczonej swobody. Zamknęła oczy, by chłonąć uszami tętent końskich kopyt.

Ktoś ją wolał. Otworzyła oczy i ujrzała Briana. Wyrzucił się z zarośli po lewej stronie i krzychał coś do niej.

Nie ma zamiaru go słuchać, niech sobie krzyczy. Ilekroć się widzą, tylekroć drą ze sobą koty. Bez przerwy się Jej czepia, wszystkiego się wypiera i ciągle doprowadza ją do szału, a potem przychodzi do niej i zostawia bez słowa.

Odwróciła się i dalej gnała przed siebie. Nie będzie zwracać na niego uwagi. Porozmawia sobie z nim, ale jeszcze nie teraz, dopiero kiedy będzie gotowa.

Ziemia za nią zadrżała. Odwróciła się, nie wiedząc, co się stało. Brian, z zaciętą twarzą, poganiał konia, z każdą chwilą był coraz bliżej. Pędziła jak szalona, ale jego koń był szybszy, tuż za sobą słyszała głuchy stukot jego kopyt.

- Zatrzymaj się!

Nie posłuchała. Był już obok niej. Nagle w pędzie zeskoczył z konia i poszybował prosto na nią. Krzyknęła z przerażenia, poczuła gwałtowne uderzenie i naraz oboje znaleźli się w powietrzu. Z hukiem spadli na ziemię. Oszołomiona nie wiedziała, co się dzieje. W ostatniej chwili Brian pochwycił ją i, spadając, przyjął na siebie całą siłę uderzenia. Nie mogła złapać tchu. Poruszyła się niezdarnie, badając, czy nie jest ranna.

- Ty idioto! Ty draniu! - zaciśniętymi pięściami zaczęła z całej siły walić go w piersi.

- Przestań, do cholery! - Złapał ją za nadgarstki i umieruchomił sprawnie. - Czy ty zwariowałaś? Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Ratowałem ci życie!

Zdumiona popatrzyła na niego. O czym on bredzi? O mały włos jej nie zabił, zrzucając z konia w takim galopie. Wprawdzie sam ucierpiał bardziej niż ona, ale i tak oboje będą poobijani.

- Co ty...

Nagle do jej uszu dobiegło pełne bólu oraz przerażenia rzenie. Urwała i wlepiła oczy w Briana.

- Co to było? Co się stało?

Podniósł się, podał jej rękę i pomógł wstać.

Na skraju pola, tam gdzie ścieżka wchodziła w las i nikała między drzewami, leżała Lady Luck. Musiała się o coś potknąć i upadła. Próbowwała się podnieść, parskała przestraszona, siodło obluzowało się i zwiślało przekrzywione pod jej brzuchem.

- O Boże! - wykrztusiła Allyssa. - Nic nie rozumiem. Co się stało?

- Ktoś przeciągnął drut w poprzek ścieżki - ostro wyjaśnił Brian. - Zobaczyłem to w tej samej chwili, kiedy się pojawiłaś. Dlaczego mnie nie usłuchałaś! Przemaszuję cię, ale pójde zobaczyć, czy to biedne zwierzę przeżyje!

Ruszył przed siebie. Bez słowa pobiegła za nim. Koń podniósł się niepewnie, zachwiał i znów przewrócił.

- Już dobrze, koniku. - Brian łagodnie przemawiał do zwierzęcia, próbując je uspokoić.

- Może ja spróbuję - poprosiła Allyssa. - Ona mnie zna.

Przemawiając cicho, zaczęła podchodzić coraz bliżej. Nie przestając mówić poklepała ją po szyi, pogładziła po nosie. Brian ostrożnie przeciągnął palcami po nogach zwierzęcia, badając, czy nie są złamane.

- Teraz powiedz jej, żeby wstała.

Zachęcana przez Allyssę, Lady Luck powoli podniosła się na nogi i zrobiła kilka niezdamnych kroków.

- I co z nią będzie? - Allyssa z niepokojem popatrzyła na Briana. - Wyjdzie z tego?

- Myślę, że tak. Chodźmy do mnie. Napijesz się czegoś, to ci dobrze zrobi.

- O, nie! - potrząsnęła głową. - Nie chcę już więcej żadnych drinków

- W takim razie może być herbata albo kawa.

Nadal się wahała. Brian uśmiechnął się.

- W domu jest pani Griffin, moja gospodyni. Możesz się niczego nie obawiać.

Powoli dotarli do domku. Zostawili konie w stajni, a sami weszli do środka. Allyssa zerknęła na kominek i w jednej chwili odżyły wszystkie wspomnienia. Nerwowo przysiadła na brzegu fotela. Brian wyczuł jej nastrój, bo nie zwlekając zawołał gospodynię.

Pojawiła się krągła, rumiana kobieta koło sześcioletniej. Serdecznie powitała Allyssę.

- Cieszę się, że mogę cię poznać, moje złotko. Tyle o tobie słyszałam!

Ciekawe, co takiego, pomyślała w duchu Allyssa, uśmiechając się do niej szeroko. Pani Griffin przyniosła kawę i herbatniki. Kawa okazała się przepyszna.

Po jej wyjściu oboje poczuli się trochę nieswojo. Siedzieli wpatrując się w kominek. W końcu Allyssa popatrzyła na Briana.

- Czy to znaczy - starała się mówić obojętnie - że ktoś czyha na moje życie?

Podsunał się do ognia i powoli sączył kawę. Dopiero po dłuższej chwili popatrzył na nią.

- Jak myślisz?

- Sama nie wiem, co myśleć! - Zagryzła usta. Po chwili zaczęła cicho: - Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić! Najpierw ktoś uderzył mnie w głowę, teraz znów zastawił na mnie pułapkę... i za każdym razem ty, w ostatniej chwili, mnie ratowałeś.

- A więc - rzucił ostro - uważasz, że to ja chcę cię zabić? W takim razie dlaczego bym cię ratował?

- Nie wiem - potrząsnęła głową. - Może chcesz do-

wieść, że jestem psychicznie chora. Czy w takim przypadku cała posiadłość nie przeszłaby w twoje i Darryla ręce?

- Prawdopodobnie. - Powoli wciągnął powietrze w płuca. - A czy przyszło ci do głowy, że może tak nie jest? Że nie chcę cię zabić ani doprowadzić do uznania za osobę chorą? I że w takim razie może w grę wchodzi jeszcze ktoś inny?

- Jest wiele możliwości - odrzekła cicho.

- Musisz stąd wyjechać.

- Niel W żadnym wypadku! - Gwałtownie przysunęła się do niego. - Przecież coś tu się dzieje. Jeśli teraz wyjadę, to nigdy się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi!

- Do diabła! Co ty sobie wyobrażasz? Że zawsze znajdzie się w porę?

- Dotąd tak właśnie było.

- Allyssa! - wycedził przez zęby. - Jeszcze raz ci mówię, że nie byłem na stacji! Nie byłem...

- Tak wiem, wiem! - aż podskoczyła. - Nie byłeś na stacji! Nie byłeś w moim pokoju tamtej nocy, kiedy przyjechałam! I tak samo - dodała drżącym szeptem - nie byłeś u mnie wczoraj, tak? Jak cię znam, tego też się wyprzesz!

Okręciła się na pięcie i pobiegła do drzwi. Już sięgała za klamkę, kiedy usłyszała Jego głos.

- Allyssa!

Zatrzymała się. Dopadł Ją w Jednej chwili, złapał za ramiona i obrócił ku sobie.

- Tamtej nocy, kiedy przyjechałaś, nie byłem ani na stacji ani w twoim pokoju.

- Puszczaj mnie!

- Ale nigdy, przenigdy, nie wyprę się tego, że wczoraj wieczorem byłem u ciebie. To była jedna z najcudowniejszych nocy w moim życiu.

Zadrzała, kiedy wziął ją w ramiona i opuszcła głowę.

- To dlaczego tak odszedłeś bez słowa? - wyszeptala.

- Bo stale się martwisz, żeby przypadkiem w niczym nie uchybić grzeczności w stosunku do Darryla. Sądziłem, że nie chciałabyś, żebym został do rana.

Popatrzyła na niego. Jego oczy znów lśniły złością.

- A skąd wiedziałeś, że zechcę cię u siebie wieczorem? Zwłaszcza po tym, jak mnie potraktowałeś...

- Naprawdę nie wiesz? - Nieoczekiwanie głos mu się zmienił. Popatrzył jej prosto w oczy. - Nie, chyba jeszcze nie wiesz. - Uwolnił ją z uścisku i cofnął się nieznacznie. - W takim razie nie mam ci nic do powiedzenia. Tym bardziej, że mi nie ufasz.

- Ależ ufam ci - zaprzeczyła. - Przynajmniej tak myślę - dodała ciszej.

Czy naprawdę tak było? Wprawdzie teraz przyznał, że wczoraj był u niej, ale ciągle tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Kim był ten człowiek, który wyszedł po nią na stację? Kto tej pierwszej nocy przyszedł do jej pokoju, żeby ją ostrzec? Kto zaatakował ją na cmentarzu i kto rozciągnął drut w poprzek ścieżki?

Komu może zależeć na jej śmierci, kto na niej skorzysta?

Darryl Evigan.. i Brian Wilde.

- Muszę już wracać - wyszeptala spłoszona.

- W porządku, uciekaj. Jeśli chcesz. Ale zastanów się, czy dobrze robisz, Allyss! I czy dobrze wybrałaś, u kogo szukać schronienia!

Szarpnęła drzwi, przebiegła ścieżką między różami, doskoczyła do cierpliwie czekającej na nią Lady Luck.

Wracała powoli, ostrożnie oglądając drogę, by nie wpaść na drut. Kiedy wreszcie dotarła do zamku, oddała konia Liamowi, a sama zamknęła się w swoim po-

koju. Zasnęła od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Nawet we śnie nie zaznała spokoju. Ledwie zamknęła oczy, znów pojawił się ten wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Był zupełnie taki jak Brian, uśmiechał się tak samo jak on. Jak poprzednio miał na sobie czarne bryczesy, białą bawełnianą koszulę i wysokie czarne buty.

- Uważaj na siebie, Allyso - powtórzył ostrzeżenie.

- Uważaj na siebie.

Poruszyła się we śnie. Może jeśli otworzy oczy, ujrzę go naprawdę?

- Teraz śpij - dodał łagodnym tonem. - Jestem przy tobie.

We śnie zamknęła oczy i uspokoiła się. Jego obecność napełniła ją spokojem, nieoczekiwanym poczuciem bezpieczeństwa. Wszystko gdzieś umknęło, odpłynęło w dal. Zapadła w głęboki sen.

Kiedy się ocknęła, pokój był pogrążony w mroku. Słabe światło gasnącego dnia ledwie przesączało się przez wąskie okna. Pierwsze cienie wieczoru kładły się po kątach. Allyssa zerwała się z łóżka. Dochodziła pora kolacji. Wykąpała się szybko, pośpiesznie założyła miękką, czerwoną dżersejową sukienkę i zbiegła na dół.

Darryl już na nią czekał.

- Napijesz się sherry? A może masz ochotę na coś innego?

- Poproszę sherry.

- Właściwie - ze skrucną w głosie odezwał się Darryl

- nie powinienem proponować ci czegoś, co już do mnie nie należy.

Dotknęła jego ręki.

- Darryl. posłuchaj. Postanowienia testamentu są dla mnie równie przykre jak dla ciebie. Ale to nadal jest twój dom, a Ja Jestem tu tylko gościem. Sama już nie

wiem, co powinnam zrobić. Może wrócić do domu, a może...

- Wyjść za mnie! - przerwał jej niespodzianie.

- Co? - wykrztusiła.

- Wiem, że wyrwałem się z tym jak Filip z konopi. Wybacz mi, powinienem być bardziej powściągliwy. To wszystko dlatego, że chyba dobrze nam razem, co? To byłoby takie cudowne być razem, mieszkać pod jednym dachem. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, od chwili, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem. Siedziałas przy ogniu, taka piękna, z tymi swoimi wielkimi oczami, twoje wspaniałe włosy... Ciągłe zakochuję się w tobie, coraz bardziej. Zachowuję się jak głupiec, co? Może to dlatego, że gdzieś w głębi duszy jestem dziwnie pewien, że w końcu i ty mnie polubisz, że też...

- Ależ lubię cię! - zapewniła go. - Tylko że...

- Nie, proszę cię! - Położył jej palec na ustach. - Niepotrzebnie się z tym wyrwałem, zupełnie nie w porę. To spadło na ciebie tak nieoczekiwanie, nawet nie miałaś czasu, żeby się zastanowić. Zapomnijmy o tym, dobrze? Zacznijmy wszystko od początku. Daj mi szansę - poprosił żarliwie. Uśmiechnął się. - Tym razem będę bardziej subtelny.

Allyssa pośpiesznie opuściła oczy. Przepelniało ją zawstydenie i poczucie winy. On się niczego nie domyśla. Nie ma pojęcia o jej spotkaniach z Brianem. Nie przeczuwa, że jest zakochana...

- Jesteś taki miły i taktowny - wyszeptala zmieszana. - Ja...

- Nie mów teraz nic więcej! - uciszył ją.

- Chcę, żebyś wiedział - ciągnęła dalej, nie zrażona.

- Uważam, że jesteś wspaniały. Brian opowiedział mi o tym, jak Paddy oskarżył moją matkę o kradzież krzyża. Powiedział, że ty z pewnością o tym pamiętasz. Je-

dnak wolałeś mi tego oszczędzić, nie chciałeś ranić moich uczuć. To dlatego twierdziłeś, że o niczym nie wiesz. Naprawdę to doceniam i dziękuję ci za to z całego serca.

- Niepotrzebnie ci o tym powiedział.

- Ale już to zrobił.

- Nigdy nie uwierzyłem, by twoja matka była winna - zapewnił ją. - Ale teraz to Już nie ma znaczenia. I twoi rodzice, i Paddy, odeszli od nas. Chyba najlepiej będzie, jak zapomnimy o tym, co było.

Allyssa skinęła głową. Darryl podał jej ramię.

- Panno Evigan, czy łaskawie zechce mi pani towarzyszyć? Spodziewam się, że kolacja wkrótce zostanie podana.

Po jego nieoczekiwanym wyznaniu Allyssa czuła się nieswojo, ale podczas posiłku Darryl ani razu nie pozwolił sobie na bardziej osobistą uwagę.

Nadal dręczyło ją poczucie winy. Powinna mu wszystko wyznać. Małżeństwo z nim w żadnym przypadku nie wchodzi w grę, przecież spała z Brianem.

Była zakochana w Brianie.

Ale jak może mu teraz o tym powiedzieć, skoro przed chwilą już przeżył z jej powodu jedno rozczarowanie? Za nic nie wyrządzi mu kolejnej przykrości. Zmusiła się do uśmiechu, udawała ożywioną. Darryl nawet się nie domyślał, z jakim trudem jej to przychodzi.

Odetchnęła z ulgą, kiedy po kolacji przeprosił ją i oznajmił, że znów musi wyjść w interesach. Poszła do siebie. Zeszła na dół dopiero wtedy, kiedy zamknęły się za mn masywne drzwi.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Cały świat tonął w jego ciepłym blasku, wszystko wyglądało niezwykle pięknie. Allyssa nie mogła się oprzeć. Nie zastanawiając się ani chwili, wyszła na dwór. Przecież jeśli nie będzie się zanadto oddalać, nic złego nie może Jej spotkać.

Zatrzymała się na progu i zamarła.

W promieniach zachodzącego słońca wyraźnie rysował się daleki cmentarz i sylwetka rodzinnego grobowca.

Na schodach prowadzących do krypty poruszyła się jakaś postać. To Darryl wchodził do środka.

Popatrzyła w niebo. Lada moment zrobi się ciemno.

Zachowałaby się jak skończona idiotka, gdyby za nim poszła!

Ale nie ma innego wyjścia! Musi wreszcie odkryć, co się za tym kryje. Raz na zawsze przekonać się, czy rzeczywiście dostała pomieszania zmysłów, czy może zakochała się w szaleńcu, albo czy to może Darryl chciał ją zabić...

Odepchnęła od siebie te myśli. Zagryzła usta i biegiem puściła się przez zapadający zmrok. Wbiegła na cmentarz, minęła pokruszone ze starości kamienne groby, zostawiła za sobą milczące figury aniołów i dziewic. Zatrzymała się dopiero przed kryptą.

Drzwi były otwarte. Skradając się na palcach, zeszła na dół i wśliznęła się do środka.

Ogarnęły ją głębokie ciemności. Z trudem odróżniała ledwie majaczące w mroku zarysy trumien, w których spoczywali pogrążeni w wiecznym śnie jej przodkowie. Cisza dzwoniła w uszach. Nagle z jednej z dalszych sal dobiegł ją jakiś dźwięk. Skoczyła w tamtą stronę, wyęzając wzrok, by przebić otaczającą ją ciemność, starając się za wszelką cenę zdusić w sobie dławiący strach.

Dostrzegła słabą, ledwie widoczną poświatę. Błede światło dochodziło skądś z daleka, jakby z tunelu. Więc Jednak było jeszcze jedno wejście! Było ukryte za ogromnym, otoczonym figurami aniołów, pomnikiem piętnastowiecznego rycerza. Z pewnością musiał istnieć jakiś wymyślny sposób otwierania tego przejścia. Możliwe, że miało to związek z tym marmurowym posągami,

bo tuż za nim otwierał się tajemniczy tunel. Ciągnął się daleko, ginał w mroku, jedynie równomiernie rozmieszczone lampy słabo oświetlały ciemne, kamienne ściany.

Tyle wystarczy, nie ma zamiaru posuwać się dalej. Nie będzie taka głupia, żeby ryzykować. Zerknie tylko i zaraz stąd wyjdzie. Dowie się w miasteczku, jak zawiadomić policję. Niech ona się tym zajmie. Pochyliła się i zajrzała do tunelu. Wydawało się, że nie ma końca. Dokąd on może prowadzić? Dlaczego Darryl w nim zniknął?

Dobiegł ją jakiś szelest. Odwróciła się i krzyk zamarł jej w piersi. Z trumny wyłoniła się niewyraźna postać.

- Nie! - wykrzyknęła, kiedy ktoś zarzucił jej na głowę wstrętny, śmierdzący worek.

Znalazła się w potrzasku. Czyjeś silne, bezlitosne ręce ścisnęły ją boleśnie. Próbowwała walczyć, krzyczeć, ale jej rozpaczliwy głos ledwie przebijał się przez duszącą ją tkaninę. Ktoś trzymał ją z taką bezwzględnością, że z trudem się poruszała. Ciągle próbowała się wyrwać, wołać o pomoc, ale wszystko daremnie.

Nagle podniesiono ją i, jakby była przedmiotem, zaczęto nieść gdzieś w dół.

Czy tego chciała, czy nie, dowie się, dokąd prowadzi ten tunel.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie miała pojęcia, dokąd zmierza jej prześladowca. Cały czas schodzili w dół. Na początku próbowała się opierać, ale po chwili przestała walczyć. Z trudem łapała powietrze, dławił ją zarzucony na głowę worek, bała się, że zaraz się udusi. Znieruchomiła, oddychała z wysiłkiem.

Wreszcie zatrzymali się.

- Tym razem odkryła wejście - powiedział cicho, niemal szeptem, wyraźnie zdenerwowany. - Za późno się za nią wzięliśmy. Znalazła...

- A ty przyniosłeś ją tutaj! - wybuchnął ktoś inny. Próbowała rozpoznać głosy, ale worek tłumił dochodzące do niej, zniekształcone echem dźwięki.

- Ty głupcze! Nie słyszałeś, co powiedziałem? Odkryła wejście do tunelu! Co innego mogłem zrobić? A zresztą, co to ma za znaczenie? Dobrze wiesz, że i tak musielibyśmy się nią zająć.

O Boże! Co to miało znaczyć... Co oni chcą z nią zrobić?

Kim są ci ludzie?

- Ja już obmyśliłem na nią pewien sposób.

- W takim razie jesteś kompletnym idiotą. Naprawdę nie wiesz, że ona spotyka się z Brianem? Jeśli łudzisz się, że wyjdzie za ciebie, to możesz wybić to sobie z głowy.

Zamarła. Ależ była głupia! Przecież to Darryl! Nie miała pojęcia, co mógł tu robić. Z pewnością był zamieszany w jakieś ciemne interesy. Co teraz z nią będzie?

- Postaw ją - polecił. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że wcześniej nie rozpoznała jego głosu.

Puścił ją tak brutalnie, że niemal upadła na podłogę. Zaczęła ściągać z siebie obrzydliwy worek. Otrząsnęła się. To była obszyta koronką wiktoriańską narzuta na trumnę. Ze wstrętem odrzuciła ją od siebie i rozejrzała się wokół, by zbadać sytuację.

Nie zapowiadało się dobrze. Znajdowała się w dużej sali, zastawionej stertami jakichś pudeł.

Podniosła wzrok. Na wprost niej stał Danył i patrzył na nią groźnie. Ubrany w jedwabną koszulę, starannie uprasowane spodnie i marynarkę, wyglądał jak dżentelmen w każdym calu.

Nawet w tym zimnym tunelu, prowadząc jakieś zakazane Interesy i szykując dla niej jakąś zasadzkę, potrafił zachować zimną krew i nienaganne maniery.

Zmroziło ją. Poczula, jak ogarnia ją paraliżujący strach. Spróbowała podźwignąć się na nogi, zdusić w sobie panikę, nie poddać się.

- Co ty sobie wyobrażasz, do cholery! - wykrzyknęła z furią i nagle wstrzymała oddech.

Zza Darryła wynurzył się Gregory, wzorowy kamerdyner. Czy to możliwe, by był jego współnikiem?

Znów spojrzała na Darryła, łudząc się, że może zaskoczy ich brawurą.

- Jeszcze raz cię pytam, co ty, do diabła, wyrabiasz? Co ty sobie myślisz! Za takie traktowanie mogę podać cię do sądu! I nie będę się oglądać na łączące nas pokrewieństwo! A ty, Gregory! Jak śmiałeś założyć mi na głowę coś takiego!

Niestety, nic tym nie wskórała. Darrył i Gregory wymienili spojrzenia i popatrzyli na nią.

- Przykro mi, Allyso. Naprawdę mi przykro - odezwał się cicho Darrył z krzywym uśmiechem. - Wiesz,

ja naprawdę się w tobie zakochałem. Ale Gregory twierdzi, że spotykasz się z Brlanem. Czy to prawda?

- To nie twój interes! - wycodziła lodowatym tonem.

- Ach tak, więc Jednak to prawda. Zresztą, to nie ma znaczenia. I tak nie mógłbym ci ufać. Prędzej czy później pokazałabyś ten tunel jemu czy komuś innemu, a wtedy wszystko dla mnie by się skończyło. Przecież nie może być tak, że przyjeżdżasz tu sobie z Ameryki i wszystko niszczysz, Allysson! Chyba, żebyś chciała tu zostać...

- Posłuchaj - przerwała mu, starając się mówić jak najspokojniej. - Chcę zapomnieć o wszystkim. Mam już dosyć tego kraju. Nie obchodzi mnie to, co tu się dzieje. Marzę tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. **Jak** tylko stąd wyjdę, wsiadam w pociąg i jadę do Londynu, a potem...

- Przykro mi, Allysson, ale nic z tego. - Zaczął się do niej zbliżać.

- Poczekaj! - wykrzyknęła. - Przecież ja nie mam zielonego pojęcia, co ty tu robisz. **Ja...**

- Naprawdę nie? - Zatrzymał się i, jak pełen wdzięku inkwizytor, z udanym zdziwieniem uniósł \$owę. - Nie-bywało. A przecież powinnaś, to trwa już od tak dawna. Kiedy zacząłem się tym zajmować, jeszcze tu mieszkałaś. Zaczęło się od tego normańskiego krzyżyka. Ktoś w miasteczku zaproponował mi za niego niezłą sumkę, wtedy wydawało mi się to ogromną fortuną. Prawdę mówiąc nieźle mnie wtedy oszukano, ale byłem za mały, żeby zdawać sobie sprawę z jego prawdziwej wartości. Tak czy inaczej, udało się. Winę przypisano twojej matce, a ja zdobyłem pieniądze. Miałem kolejne oferty, ale już nigdy nie dałem się tak oszukać. Nauczyłem się, jak i gdzie warto szukać, które miejsca są najlepsze na prowadzenie wykopalisk. Znalazłem sposób na przemyca-

nie odnalezionych dzieł sztuki: tym tunelem, prowadzącym do rzeki, a potem przez kanał La Manche do Francji. To naprawdę szalenie lukratywny interes. Co sobie myślisz? W dzisiejszych czasach nie da się utrzymać takiego zamku bez dodatkowych źródeł dochodu!

Nagle przestała go słuchać. Odetchnęła głęboko. Więc jej matka była niewinna! Mówiła prawdę! To on! A tak niewiele brakowało, by zniszczył życie jej rodziców!

Całe szczęście, że ich miłość okazała się silniejsza. Ojciec wołał porzucić dom rodzinny i zerwać wszelkie kontakty, by nie narażać matki na pomówienia. Darryl miał krzyż, ale to matce przypadło w udziale to, co naprawdę się liczy.

A jednak...

Nagle przepelniła ją złość.

- Ty perfidny lizusie, ty wstrętny draniu! - wycodziła szeptem i zniemacka rzuciła się na niego. Nie panowała nad sobą. Wpadła na niego z taką siłą, że nim zdążył się zorientować, oszołomiony i zdumiony upadł na podłogę. Tłukła go pięściami, w dzikiej furii drapała, gdzie popadło.

- Cholera! Zabierz natychmiast tę wściekłą kocicę! - krzyknął w stronę służącego. - No, pomóż mi!

Gregory tylko wyglądał niepozornie. Pochwycił ją z bezlitosną siłą. Chciała się wyrwać, ale ścisnął ją jeszcze mocniej i wykręcił jej ramię do tyłu. Skrzywiła się i pobladła z bólu. Bała się, że jeszcze chwila i złamie jej rękę. Znieruchomiła w jego uścisku.

- Tracimy tylko czas - Gregory rzucił krótko w stronę Darryla.

- Nie popędzaj mnie. Musimy to dobrze zrobić.

- Zwiążmy ją, zakneblujmy i zostawmy tutaj - zaproponował Gregory.

Darryl aprobująco pokiwał głową. AUyssa z przerażeniem pomyślała, co ją czeka, kiedy po nią wróci.

- A co ze śladami od sznura? - zapytał Darryl.

- Nie pozwolimy, żeby się szarpała - odrzekł spokojnie. - Ale musimy się pośpieszyć. Jeszcze chwila i zaraz dojdzie woda.

- Woda... - z niedowierzaniem zaczęła AUyssa.

- Woda - odezwał się Darryl, zbliżając się do niej z rękami za sobą. - Jaka szkoda. Już raz musiałem to zrobić. Myślałaś, że to Brian, co? Naprawdę mi przykro, moja droga kuzyneczko. Bardzo przykro.

Jego ręka poruszyła się błyskawicznie. Coś w niej załśniło. Jakby marmurowy posążek.

Kolejny przedmiot, jaki zamierzał przeszmygłować za granicę, zdążyła pomyśleć.

Naraz myśl się urwała. Darryl doskonale wiedział, jak uderzyć. Poczula gwałtowny, obezwładniający ból i nagle zapadła w ciemność.

Bezglóśnie osunęła się na podłogę.

To była dziwna noc. Po odejściu Allyssy srebrna mgła opadła na ziemię.

Brian stanął na progu domu i, wsparty o framugę, wpatrywał się w ciemniejszy las, obserwując gęstniejącą mgłę, spowijającą srebrzystym tumanem ziemię.

Dlaczego ona niczego nie rozumie? - zapytywał się w duchu. Ogarnęło go dziwne uczucie, z którego nie mógł się otrząsnąć. Serce mu pękało, kiedy w milczeniu patrzył na znikającą w ciemnościach sylwetkę Allyssy. Nie potrafił znaleźć słów, by ją zatrzymać. W tym stanie ducha nie był do tego zdolny. I znów jak poprzednio, za każdym razem, kiedy odchodziła, obudził się w nim dręczący niepokój, uporczywa obawa, że może ją spotkać coś złego.

Paddy też się czegoś obawiał. Postanowienia testamentu jednoznacznie o tym świadczyły. Nie pozostawił swojej ukochanej posiadłości w rękach Darryla. Wprawdzie daleki był od tego, by całkowicie go wydziedziczyć, ale najwyraźniej miał jakieś podejrzenia.

Tak samo jak Ja, zreflektował się Bran. Darryl albo coś knuł, albo był w coś zamieszany, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Jednak bez względu na to, na czym polegają te Jego ciemne interesy, przecież nie skrzywdzi Allyssy.

Właściwie na czym opiera tę pewność? Darryl może to zrobić równie dobrze jak każdy inny. Przecież już raz ktoś ją zaatakował i uderzył.

Chociaż może było zupełnie inaczej. Może po prostu spadła ze schodów? Do tej pory był całkowicie przekonany, że właśnie tak się stało. Przypuszczał nie dlatego, że znalazł ją leżącą na schodach. Już wiele razy snu! najprzeróżniejsze domysły, zastanawiał się, czy przypadkiem Allyssa nie jest w zмовie z Darrylem. Dlaczego tak uparcie wmawiała mu, że wyszedł po nią na stację? Z taką stanowczością i determinacją. Za nic nie chciała uwierzyć w Jego zapewnienia. Wyglądało na to, że nie ma za grosz zaufania ani do niego, ani do Darryla. Ale czy tak było w Istocie? To wszystko było takie dziwne. Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Zamknął oczy. W gruncie rzeczy wcale mu nie zależy na zamku ani domku myśliwskim. Już dawno przestały go obchodzić. Od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Allyssę, liczyła się tylko ona. Cała reszta mogła nie istnieć. Już tyle razy, kiedy był z nią sam na sam, cisnęły mu się na usta słowa: Kocham cię. Tylko to, tak po prostu, zwyczajnie. Ale tak trudno było się na nie zdobyć, kiedy tak wiele ich dzieliło.

Chłodny podmuch wiatru uderzył go w twarz. Mgła zawirowała mu przed oczami.

Idź do niej...

Czy to tylko złudzenie? Czy tylko wydało mu się, że słyszy te słowa? Może to tylko jęk i zawrodoenie wiatru? Ogamał go jakiś dziwny lęk. Darryl jej nie skrzywdzi, upewniał się w duchu. Nie odważy się...

Niebezpieczeństwo...

Tym razem mógłby przysiąc, że ktoś powiedział to głośno. Ale przecież poza nim nikogo tu nie ma. Pani Griffin ma wolny dzień. Jimmy, który pracował w stajni, i Mary, pomocnica gospodyni, już dawno wyszli.

Był zupełnie sam. Tylko on i gęstniejąca, wirująca w podmuchach wiatru mgła. Nie bał się ani ciemności, ani mgły. To było coś, z czym zżył się od dziecka. Mieszkał tu zawsze, z wyjątkiem kilku lat służby w RAF-ie i krótkiego pobytu w Londynie. To były jego rodzinne strony. Kochał te okolice, te tak znajome krajobrazy, kochał Paddy'ego. Mieszkając w domku, nie był zależny od jego kaprysów ani od dochodów z ziemi. Tutaj niczego się nie obawiał. Kochał tę mgłę i ciemności...

Nagle jakaś lodowata dłoń ścisnęła go za serce. Coś popychało go do przodu. Czy to wiatr? Zawodzący dziko, szepczący coś... ostrzegający go?

Nieoczekiwanie przepelnił go lęk. Kochał Allyssę, pragnął, by i ona uświadomiła sobie, że też go kocha. Próbował otworzyć jej oczy, ale dał się ponieść złości. Pozwolił jej odejść do Darryla. A jeżeli tam groziło jej niebezpieczeństwo?

Och, ty głupcze! Ty zaślepiony głupcze! Dopiero teraz go olśniło. Tak bardzo był sceptyczny, tak uparcie broił się przed nią, stale miał się na baczności. Kiedy przyjechała po tylu latach milczenia, był święcie przekonany, że wróciła tylko po to, żeby jak najwięcej wyrwać

dla siebie z rodzinnego dziedzictwa. Ale pomylił się, źle ją ocenił. A jeśli teraz ją utraci, jego życie już nigdy nie będzie takie samo. Ona tak całkowicie go odmieniła. Te jej ogromne oczy, jej niewinność. Nie mógł jej dowieść czystości swoich intencji, ale mimo to go pokochała. Chociaż może nawet jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Allyssó! - wykrzyknął w ciemność. Echo powtórzyło jego wołanie.

- Allyssó!

Jakim był głupcem! Nagle nie miał już żadnych wątpliwości. Intuicja mówiła mu, że Allyssa znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Biegiem rzucił się przed siebie.

Allyssa ocknęła się, kiedy coś chłodnego delikatnie dotknęło jej policzka, przytulonego do kamiennej podłogi. Po chwili musnęło jej nogę, biodro, ramię. Z trudem otworzyła oczy. Leżała na podłodze, z ręką wyciągniętą przed sobą. Z niedowierzaniem popatrzyła na zanurzone w wodzie palce. Skądś napływała woda, jej poziom stale się podnosił. Usiadła z wysiłkiem. Ból rozsadzał jej czaszkę. Przycisnęła ręce do czoła. Usiłowała przypomnieć sobie, gdzie jest i co się stało. Otaczały ją przerażające ciemności, jedynie z daleka dochodziło słabe, ledwie widoczne światło, jakby daleki odbłask srebrnej poświaty księżyca. Daremnie wyteęzała wzrok, żeby dojrzeć coś wokół siebie.

Tunel. Teraz sobie przypomniała. Tak strasznie bolała ją głowa. Zaciśnęła zęby, żeby stłumić ból. Była w tunelu. Poszła śladem Darryla. To on uderzył ją w głowę. Nawet się nie pofatygował, żeby ją związać. Okazał się kryminalistą. Przystojnym, ujmującym, elegancko ubranym przestępcą.

Chciał ją zabić.

I niewiele brakowało, by jego plan się powiódł.

Woda ciągle napływała. Jej poziom podnosił się coraz szybciej. Spróbowała się podnieść. Kiedy wreszcie się jej to udało, woda sięgała już do kolan.

Przeraziła się. Dopiero teraz dotarła do niej groza sytuacji. To woda przyptywu zalewała tunel. Na tym polegała tajemnica tego miejsca. Tunel dochodził do rzeki, która łączyła się z oceanem. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, zatapiały go fale przyptywu. Allyssa nie miała pojęcia, kto wpadł na ten pomysł i kiedy wybudowano tunel. Przypuszczalnie jego historia sięgała odległych czasów. Zapewne Eviganowie nieraz korzystali z niego, kiedy chcieli pozbyć się wrogów albo oddać przysługę politycznym sojusznikom. A teraz...

Wolała o tym nie myśleć. Woda podnosiła się tak strasznie szybko! Już miała ją powyżej kolan. Była przejmująco zimna. Jeszcze chwila i zamarznie, nie będzie w stanie myśleć, straci czucie i nie będzie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Rzeczywiście się o nią zatroszczyli! Utopi się w tym tunelu. Dartyłowi i Gregory'emu pozostanie tylko przetransportować jej zwłoki do rzeki. Kiedy ją odnajdą, jej płuca będą wypełnione wodą i policja bez wahania uzna jej śmierć za nieszczęśliwy wypadek.

Ciemność ją przerażała. Rozejrzała się wokół, próbując przebić ją wzrokiem. Nie wiedziała, w którą stronę powinna się kierować, by dojść do krypty. Chyba w lewo.

Woda sięgała jej niemal do pasa.

Starła się posuwać do przodu. Jak najszybciej, ale już tak przemarzała w lodowatej wodzie, że poruszanie się przychodziło jej z coraz większym trudem. Woda ciągle przybierała.

Dochodziła Jej już do piersi. Jej poziom podnosił się z każdą chwilą. Już dotyka jej ramion. Spróbowała płynąć. Zgrabiałe członki poruszały się z trudem.

Coraz więcej wody. I ciągle podnosi się coraz wyżej...

Straciła grunt pod nogami. Płynąc wychyliła się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Przestrzeń między wodą a sklepieniem tunelu kurczyła się z każdą chwilą. Znowu zaczęła płynąć. Szybciej! Wzięła kolejny oddech. Woda była tak przejmująco zimna. Zaczynało brakować jej sił. Nie mogła się zmusić do wykonania najprostszych ruchów. Może lepiej się poddać? Jak to jest, kiedy się tonie? To musi być straszne. Zacznie rozsadzać jej płuca, walić w głowie. Organizm do końca będzie walczyć o powietrze, nie będzie mogła przestać oddychać, woda wedrze się w płuca, wypełni ją... wreszcie umrze.

Wynurzyła głowę na powierzchnię. Zapas tlenu był coraz mniejszy. Czy woda całkowicie zatopi tunel? Z trudem zaczerpnęła powietrza. Już chyba zaczyna się dusić. Oddychała gwałtownie, głośno. Och, nie! Tylko nie to! Chyba straciła orientację. Wystarczyło, że przez moment skupiła się na oddechu i teraz nie miała pojęcia, w którą stronę płynąć. Już chyba na zawsze zostanie w tych ciemnościach...

- Złap mnie za rękę! Trzymaj się!

Zamrugwała oszołomiona. Czyjaś silna dłoń wyciągała się w jej stronę, wyraźnie widziała długie, mocne palce. Brian? Nie. Zresztą kto wie. Czyżby ktoś chciał ją ocalić? Może po to, by zabić ją szybciej, oszczędzić jej cierpień?

Poczuła, że ktoś mocno ją chwycił za rękę. Ciągnął ją gdzieś za sobą. Przedzierała się przez stawiającą opór wodę. Może to była śmierć? Może to tak się umiera?

Zamknęła oczy. Nagle mocny uchwyt złagodniał. Już nikt jej nie trzymał. Znowu była sama, bezładnie próbo-

wała wydostać się na powierzchnię, rozpaczliwie walczyła o łyk powietrza, powietrza...

Nieoczekiwanie coś przed nią zamajaczyło. To chyba jakaś ściana. Ostatkiem sił dopłynęła do niej. Uchwyciła się jej mocno. Nabrała odrobinę powietrza, zdyszana odychała rozpaczliwie.

- Na pomoc! O Boże! Ratunku!

Zgrabiałe palce omsknęły się nagle, utraciła oparcie, znów zanurzyła się w wodzie. Zapadała się w nią coraz głębiej. Gdzieś daleko rozległ się jakiś plusk.

Ktoś ją złapał. Czyjeś silne ramiona objęły ją mocno, przyciągały do siebie. Były silne i ciepłe. Naraz poczuła się dziwnie bezpiecznie. Wydawało się jej, że teraz już nic złego nie może się jej stać.

Poczuła gwałtowne uderzenie wody i jakaś siła popchnęła ich w górę. Ktoś ciągnął ją za sobą, popychał do przodu. Nieoczekiwanie poczuła twardego gruntu. To podłoga krypty. Przesunęła się nieco. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Popatrzyła za siebie, w dół, tam gdzie ciemniało wejście do tunelu.

Woda wypełniała go teraz całkowicie, niemal wpływała do krypty, ale nie podnosiła się wyżej.

Przymknęła oczy. Wydało jej się, że znów ktoś ją trzyma. Zakrztusiła się, otworzyła szeroko oczy. Biiian. Był kompletnie przemoczony, czarne włosy mokrymi kosmykami oblepiały mu czoło, nasiąknięty wodą sweter ściśle przylegał do ciała. Jedyne oczy płonęły ciepło swym złotym ogniem, który potrafił tak rozpalać...

- Och, Brian!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Objął ją mocno, przytulił do siebie. Wokół nich piętrzyły się trumny zmarłych, ale teraz już nic nie mogło Jej przerazić.

Brian podniósł się, nie wypuszczając jej z objęć.

- Musisz jak najszybciej się ogrzać.

- Skąd wiedziałeś? - wyszeptala. - W jaki sposób mnie tu znalazłeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Nie wiem.

- Brian, musimy uważać! To Danyl tak mnie załatwił! Okazuje się, że on zajmuje się przemysłem dzieł sztuki. I to od lat.

- I pewnie Paddy zaczął się czegoś domyślać - mruknął Brian. Pociągnął ją za sobą w stronę wyjścia. Zatrzymał się przed schodami i popatrzył na nią. - Och, cała się trzęsiesz z zimna! - szepnął. Przycisnął ją mocniej do siebie. - O Boże! Co bym zrobił, gdybym cię stracił? Boże, cóż ja bym wtedy zrobił? Chodź, musisz się ogrzać. - Nie odrywając od niej oczu, zaczął wspinać się na schody.

- Kocham cię, Brian - powiedziała AUyssa niemal szeptem. Była roztrzęsiona i zmarznięta. Głos jej się łamał. - Kocham cię - wyszeptala ponownie, kiedy wbił w nią spojrzenie płonących oczu.

- Och, jakie wzruszające wyznanie! Jakże wzruszające!

Brian odwrócił się gwałtownie. Oboje spojrzeli w górę schodów.

W wejściu do krypty ujrzeli sylwetkę Darryla. Czekał z bronią w ręku.

AUyssa wstrzymała oddech. Brian zatrzymał ją, a sam, nie odrywając oczu od Darryla, zaczął wspinać się w górę. Wydawało się, że nie zauważa pistoletu.

- Brian! - rozpaczliwie zawołała Allyssa.

- Zatrzymaj się, idioto! - ostrzegł go Danyl. - Jeszcze krok, a strzelę bez mrugnienia okiem...

- Chyba właśnie tak sobie zaplanowałeś - zadrwił Brian. Zamarł na ułamek sekundy i nagle runął na Darryla.

Rozległ się huk wystrzału.

Allyssa krzyknęła z przerażenia, rzuciła się w górę po schodach. Nigdzie ani śladu pistoletu. Kula chyba nikogo nie trafiła. Darryl i Brian walczyli zaciekle, splątani ze sobą tarzali się po podłodze, uderzali o kamienne postumenty, odbijali od nich. Znieruchomieli na moment w cieniu klęczącego anioła.

- Ty sukinsynu! - usłyszała pełen wściekłości okrzyk Briana i zaraz potem głuchy odgłos uderzenia, jeden, drugi. Zapadła cisza. Brian był silniejszy od Darryla, w dodatku wpadł w furję. Chwycił przeciwnika i jeszcze raz rzucił nim o ziemię.

Nareszcie. Nareszcie skończył się ten koszmar...

Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Z ciemności wynurzyła się czyjaś sylwetka. To Gregory, wierny sługa, skradał się z długim, kuchennym nożem w ręku. Jeszcze chwila i wbije go w plecy Briana, który, nieświadom zagrożenia, nawet nie zdąży się odwrócić.

- Brian! - krzyknęła Allyssa.

Machinalnie zacisnęła pięści. Przelotnie spojrzała na coś, co wyczuła pod ręką. Marmurowy posążek, którym Darryl dwukrotnie pozbawił ją przytomności. Chwyciła go mocno. Naraz zamarła. Gregory, usłyszawszy jej wołanie, zbliżał się do niej.

Zamachnęła się i z całej siły rzuciła w niego posążkiem. Gregory, trafiony prosto w czoło, zachwiał się i osunął w ramiona Briana. Ten wyjął nóż z jego ręki i upuścił bezwładne ciało kamerdynera na podłogę.

Przeniósł spojrzenie na Allyssę.

- Nieźle się spisiałaś!

Uśmiechnęła się do niego, ale już nie mogła opanować drżenia. Chciała wstać, Jednak nie dała rady. Pochwycił ją mocno.

- Teraz zabiorę cię do zamku. Zawiadomię policję. Zaraz cię ogrzeję - przemawiał do **mej** czule.

- To Danyl ukradł ten normański krzyżyk, sam mi to powiedział. Moja matka była niewinna - powiedziała tuląc się do niego.

- Zawsze tak uważałem.

Uśmiechnęła się do Briana. Jak dobrze było być w jego ramionach!

Policja przybyła bardzo szybko. Allyssa i Brian złożyli zeznania, Danyl i Gregory zostali aresztowani i przesłuchani. Komisarz serdecznie podziękował za pomoc w ujęciu przestępców.

- Od lat próbujemy odkryć, w jaki sposób dzieła sztuki są przetrucane za granicę. Dzisiaj oddaliście nam ogromną przysługę. Wiedzieliśmy o przemyśle, ale nie mogliśmy wpaść na żaden trop.

Allyssa miała jedynie nadzieję, że już nigdy nie ujrzy Darryla. Z ulgą przyjęła zapewnienie, że jej prześladowca długo pozostanie w zamknięciu.

Wreszcie zostali sami. Zbliżała się północ. Allyssa z radością zanurzyła się w gorącej kąpiele. Brian przyrządził dla obojga rozgrzewający napój z cukrem, cytryną i whisky. Popijała go powoli. Czuła się cudownie. Owinięta w puszysty ręcznik leżała w ramionach Briana. Dotknęła jego policzka.

- Byłeś wspaniały - wyszeptała. - Zszedłeś do tunelu, żeby mnie ocalić!

- Nie, to ty byłaś cudowna, moja kochana. Nie wiedziałem, co robić. Zachowywałem się jak szaleniec. Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. Domyśliłem się dopiero wtedy, kiedy zza tych fałszywych drzwi usłyszałem twoje wołanie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ale przecież to ty dociągnąłeś mnie do tych drzwi. Potrząsnął przecząco głową.

- Ależ...

- Zostawmy Już ten tunel - przerwał łagodnie Brian.

- Wróćmy lepiej do tego, w czym tak grublańsko przeskodził nam Darryl.

- To znaczy?

- Do chwili, kiedy powiedziałaś, że mnie kochasz.

Powiedz to jeszcze raz.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie kochasz mnie?

- Zanim to powiem, wolałabym usłyszeć to najpierw od ciebie.

- Kocham cię - szepnął z czułością, całując jej usta, czoło, czubek nosa. Znów dotknął jej ust. - Kocham cię. Zakochałem się w tobie chyba już od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Zresztą sam nie wiem. Nie chciałem tego, próbowałem jakoś z tym walczyć. Ale kocham cię. Kocham cię z całego serca.

- Och, Brian! Tak bardzo cię kocham! Przepiszemy ten zamek na ciebie. Znajdziemy jakiś sposób na życie, coś innego niż owce...

Położył Jej palec na ustach.

- Nie utrzymuję się z hodowli owiec.

- Nie?

- Trzymam je, bo tak pięknie wyglądają na tle zielonych wzgórz. Na życie zarabiam pisaniem powieści z dreszczykiem.

Wybuchnęła śmiechem, po chwili znów oparła się o niego.

- W takim razie wcale ci nie zależy na tym odziedziczonym przeze mnie spadku!

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Niestety. Przykro mi, ale me.

Znów spoważniała.

- Ale wiesz co, Brian, przecież wtedy ktoś mnie zabrał...

- Nie zaczynajmy się spierać - jęknął. - AUyso, kocham cię, kocham cię z całej duszy. Marzę tylko o tym, byś za mnie wyszła, była przy mnie, została moją żoną. Teraz już nic ci nie grozi, a ja. Już nigdy nie pozwolę ci odejść.

Wreszcie była bezpieczna. Tak dobrze było być w jego ramionach. W końcu może jest tak, że nie wszystko naprawdę ma znaczenie. Może na niektóre pytania nie trzeba szukać odpowiedzi i może są tajemnice, których rozwiązania lepiej nie dochodzić.

- Nigdy? - zniżyła głos do szeptu. Zadrżała pod złościstym spojrzeniem wpatrzonych w nią oczu.

- Nigdy - potwierdził. - Dalej ci zimno?

- Nie - wyszeptwała.

- Przyrzekłem, że cię ogrzeję - powiedział miękko, wpatrując się w nią błyszczącymi oczami. - Zaraz to zrobię.

Z uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię! - powtórzyła szeptem.

- I Ja cię kocham!

Dotrzymał obietnicy. W jego gorącym uścisku zapomniała o chłodzie.

EPILOG

Nie było żadnych powodów, by zwlekać ze ślubem. Szybko dopełnili niezbędnych formalności. W osiem tygodni od dnia, kiedy Allyssa po raz pierwszy przestąpiła próg zamku, w czternastowiecznym kościele w Fairhaven odbyła się ceremonia zaślubin.

Dla gości, którzy na nią przybyli - przyjaciół Allyssy ze Stanów i znajomych Briana z Londynu - przygotowano pokoje na zamku. Allyssa i Brian nie mieli ochoty tam zamieszkać. Postanowili, że ich siedzibą zostanie domek myśliwski.

Nie rozstawali się, razem podejmowali wszystkie decyzje, wspólnie dyskutowali o najlepszych rozwiązaniach. Ze względów historycznych i finansowych postanowili na dwa popołudnia w tygodniu udostępnić publiczności zamek i domek myśliwski. Oczywiście, część pomieszczeń miała pozostać zamknięta. Przyszłość rysowała się różowo. Oboje przepadali za podróżami i nie mogli się doczekać, kiedy ruszą w świat.

Allyssa nigdy, nawet w marzeniach, nie sądziła, że będzie kiedyś taka szczęśliwa.

W podróż poślubną wybierali się na kilka dni do Paryża. Stamtąd zamierzali pojechać na Riwierę Włoską i zatrzymać się tam na kolejne parę dni. Samolot mieli dopiero następnego dnia w południe. Zgodnie postanowili, że wymkną się z wesela i tę pierwszą małżeńską noc spędzą w domku myśliwskim, w miejscu, gdzie po

raz pierwszy zapłonęli wzajemną miłością i które teraz będzie ich domem.

Opuszczali zamek obrzucani deszczem ryżu i kwiatów. Brian ruszył w stronę Londynu, lecz gdy tylko zamek zniknął za nimi, skręcił w drogę prowadzącą prosto do domu. Pani Griffn właśnie zaczęła urlop, a jej pomocnica miała wolne. Nikt nie zakłóci ich samotności.

Brian zatrzymał samochód przed domem. Wziął na ręce ubraną w powiewną białą suknię Allyssę i poniosł ją ścieżką między różami. Na progu przytulił ją. Jeszcze mocniej i odnalazł jej usta. Całował ją długo i czule.

- Teraz chyba muszę cię postawić na ziemię! - westchnął uśmiechając się do niej.

Roześmiała się i wysliznęła z jego objęć.

- Och, nie! Bo pomyślę sobie, że nasz miesiąc miodowy właśnie się skończył. A przecież jeszcze się nawet nie zaczął!

- Ach taki

Wybuchnął śmiechem i, nie zważając na jej sprzeciw, znów chwycił ją na ręce. Ruszył po schodach. Nie odrywał od niej oczu.

Dotarli na podest pierwszego piętra. Nagle Allyssa zadrżała.

Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia. Na ścianie wisiał duży, niemal naturalnej wielkości, portret mężczyzny. Wysokiego, ciemnowłosego, łudzaco podobnego do Briana.

Miał na sobie czarne obcisłe bryczesy, białą bawełnianą koszulę i wysokie czarne buty do konnej jazdy. W ręku trzymał bat. Tuż za nim, na tle szerokich pól i rysującego się w głębi zamku, stał ogromny, czarny koń. Mężczyzna przykuwał uwagę, zdawało się, że jego połyskujące złociście oczy badawczo oceniają każdego, kto tędy przechodzi.

Coś się stało? - zaniepokoił s^lS Brian.

Allyssa nie mogła wydobyć /./ siebie głosu. W milczeniu wyciągnęła rękę i wⁿknza^ln na obraz. Z trudem łapała oddech.

- Kto... kto to JentY wydusiła wreszcie.
- Chodzi ci o I^{PII} pni li cl?

Skinęła głową I^{PK} M^{LOWU}.

- To Paddy. Jptfo portret z młodości. Umarł, kiedy był dobrze po d^lrwłędziesiątce. Tak wyglądał, kiedy miał Jakies Irzyd/irriel lat.

W jego płonic zubr/inłał Jakiś szczególny ton. Domyśliła się, że luiwrl J^rn^{li} Brian nie zawsze się z nim zgadzał, to Jeriimk darzył Paddy'ego głęboką miłością.

I może, nn r^owⁿl sposób, Paddy kochał go bardziej, niż Brlun mógł przypuszczać.

- Allysho! Co z tobą? Dlaczego tak pobladał? - przeraził się Hrlun. - Co się stało?

Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

- Jesteś bardzo do mego podobny. Bardzo.
- Tak uważasz? Ciekawe, przecież to twój pradziadek, nie mój.

Oparła głowę na jego ramieniu i pocałowała go tkliwie.

Jakie to wszystko dziwne. Pradziadek, który przysporzył tyłu cierpień Jej rodzicom, **me** przestał Ich kochać.

Również i ją kochał. W końcu ofiarował jej wszystko, co miał. Nie tylko rodzinną posiadłość. Dał jej coś jeszcze, coś dużo ważniejszego. Miłość. Briana.

Brian przyglądał się jej badawczo. Był wyraźnie zaniepokojony. Alyssa przesłała mu promienny uśmiech.

- Lepiej chodźmy do sypialni, póki jeszcze **me** opadłeś z sił i dasz radę mnie tam donieść - zażartowała.

- Mam mnóstwo siły! - zapewnił ją i uśmiechnął się tajemniczo.

- Naprawdę? - droczyła się z nim. - I udowodnisz mi to?

Ruszył bez słowa. Allyssa ponad jego ramieniem patrzyła na mężczyznę na portrecie.

Aż zamruła z niedowierzaniem. Mogłaby przysiąc, że mężczyzna puścił do niej oko i znów znieruchomiał. Nie. niemożliwe, przecież to tylko obraz...

Paddy. Przepełniło ją nagle smutne przeświadczenie, że już nigdy więcej się nie spotkają. Jego plan się spełnił.

- Dziękuję ci! - wyszeptła bezgłośnie w jego stronę.

- Mówiłaś coś? - zapytał Brian.

Odwróciła się do niego i popatrzyła w jego złote oczy.

- Dziękuję ci! - wyszeptła cicho.

Brian nagle przyspieszył i biegiem ruszył w stronę sypialni. Ich sypialni.

W końcu to była Ich noc poślubna. Tym razem Allyssa była pewna, że są zupełnie sami. Już nic nie może zakłócić ich samotności. Już nie nawiedzi ich żaden duch.

Już nic... Jedynie siła ich miłości.

